



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy). rs. 10	{	Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart		

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów).	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów).	„ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

Główni współpracownicy:

Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 564,
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 132.

208

Suryawansa

Ewveli-Beja.

- ⇒ Powieść
- ⇒ na tle życia
- ⇒ Ormian tureckich.



Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

884-3112

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy Świat 47.

1900.

211

SURYAWANSA.

Ewweli-Baj.

Suryawansa

POWIEŚĆ

NA TLE ŻYCIA

ORMIAN TURECKICH.



884-3M.2

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.



Дозволено Цензурою.
Варшава 29 Марта 1900 года.

PRZEDMOWA

Powieść „Suryawansa” jest utworem nowym i oryginalnym.

Autor jej, mimo tureckiego pseudonimu, jest Polakiem. Zajmując jednak dość wybitne stanowisko w Turcyi, której stosunki opisuje krytycznie, nie życzy sobie być poznanym i dlatego prosił nas, ażebyśmy nie podawali ani jego portretu, ani szczegółów biograficznych.

Sądzimy, że brak tych danych nie zmniejszy zajęcia, jakie obudzić winna powieść, malująca całkiem nieznane u nas stosunki i obyczaje, z niewątpliwym talentem.

Objaśnienie tytułu podał autor w przypisku, na czele swego utworu.

Redakcyja.

W wierzeniach Indusów duchy, przed ich wcieleniem w ciała ludzkie, w zaświeciu jeszcze, są podzielone na dwie rasy: Suryawansa, słoneczną rasę, i Induwansa „Szanda“, księżycową rasę. Słoneczna rasa jest szlachetniejszą, jako posiadająca świadomość, podczas gdy Induwansa, nie posiadająca tej ostatniej, bywa podlejszą i ztąd do niewoli stworzoną. Braterstwo ludzi i głębsze ich sympatyje z tego właśnie źródła pochodzą, ale nie z węzłów szczepowych lub rodzinnych.

Pełnia księżycowa sypała snopy widmowego światła na Angorę, starożytną Ancyre. Kupy i kupki ludzi, obleczonych w długie szaty, w kopiaste turbany, zalegały uliczki wąziutkie i place miasta, oraz „hissaru“, cytadeli starożytnej, przeważnie zamieszkałej przez muzułmanów. Powiew wiatkeru wiosenne-go, napojonego miłą wonią kotków wierzby azjatyckiej, przypominającą zapach daktyli, przepłatało wy-cie psów ulicznych, czegoś niezwykle zaniepokojonych. Po galeryjkach minaretów, ostro sterczących w osrebrzeniu księżycowem, snuły się postacie „muezzinów w milczeniu.

Na „konaku“ „wali-paszy“ wionęła chorągiew. Miarowo z cytadeli huknęły działa. W górze zabrzmiały jęklive nawoływania muezzinów. Zahuczała z ręcznej broni palba, w towarzystwie wrzasków napół wojowniczych, napół modlitewnych. Ogień

z dział, ze strzelb i pistoletów, jęki „muezzinów” i puszczyków z psiem wyciem — tworzyły jedyny koncert zabobonnej trwogi i rytualnego guślarstwa.

Muzułmanów to gorliwość religijna odpędzała smoka Huta, co zamierzał obecnie połknąć — zapewne na wieczerzę... — święty „aj”, księżyc, pozostałość saboizmu, remanentowo przeszła do islamizmu. Zaćmienie księżyca tak było spotykane w drodze obrzędu religijnego na horyzoncie angorskim, zresztą niczem się nie różniącego od popisów urzędowych tego dnia na całym obszarze, jak i wszędzie, gdzie „zbawcza wiara”, „islam”, pozamraczała szerokogłowe i wązkogłowe szczepy: białe, żółte i czarne...

Nauka „Pana światów” i „ozdoby wszystkich proroków i wysłanników” — wydawała swe wspaniałe owoce...

Na Dzykrikdżilar-sokak, Tokarskiej ulicy, głównej arterii komunikacji miejskiej, między dwiema aptekami naprzeciw leżącymi, stało grono ludzi, śledzące ciekawie postępy zaćmienia. Snadź było ono inteligencją miejską. Rzeczywiście, stał tu wybór oświaty miejscowej, tak muzułmańskiej, jak i chrześcijańskiej, pod postacią bądź europejczyków, bądź „rajasów”, chrześcijan tureckich.

Wśród europejczyków wyróżniał się chudy, zwinny, z bródką i wąsikami szydelkowatymi, młodzieniec w hełmie angielskich podróżników, białą krepą obmotanym. Obok niego stało dwóch fezowych, o pokrewnych plemiennych rysach twarzy, mianowicie na punkcie kabłąkowatych nosów, typu ormiańskiego i owalu oblicza nieco wydłużonego, chociaż się wyrazem wielce różniły. Jeden z posiadaczy kabłąkowatych nosów, przysadkowaty krępak, szpakowaty, który stał na przodzie, przy stroju cywilnym europejskim, obok niepomiarnie szerokich szarawarów, miał ostrogi przy butach, czem się wyróżniał całkowicie od reszty publiczności.

— No i cóż, szanowny mister Robinson Puku,

co to jesteś z rodu elfów, musisz się też znać i na sztuczках księżycowych? — rzekł ostrogowiec do europejczyka w hełmie — może nam przecież wytłómaczysz ich bliższe powinowactwo z religią?

— Widzę, że inżynier musiałeś być kiedyś na przedstawieniu „Snu nocy letniej” — odpowiedział Robinson Puk, patrząc przez binokle — bo posadzać pana Abramowicza o znajomość całego Szekspira nie śmiem...

— Ho! ho! mister, jak widzę, ma język raczej do kłócia, niż do odpowiadania na zadane pytania... A możebyście uczynili nam łaskę w tym wypadku?

— I owszem, język więc mój nie jest, zawsze do kłócia, ale bywa niekiedy używany i do nauczania... przyzwoitego zapytywania... Co zaś dotyczy religii, to choć jestem Anglikiem, a do tego Irlandczykiem, ta mnie najmniej obchodzi; dajmy na to, nie więcej np., niż kutas na fezie szanownego Abrama — ogłu...

— „Aman”, co też wam mój kutas zawadza?! — zawołał drugi fezowy, Abram-ogłu, potężny grubas na kłyszawych nogach z nosem, jak u tuka — ot wolelibyście raczej objaśnić zagadkę zaćmienia, he! he! he!

— Dobrze, czekajcież chwilkę — i mister Puk, opuściwszy binokle, zaczął coś mierzyć piędzią przed nosem pytającego. — Wybornie! musisz mi opuścić cztery „piastry” na „oku” „tłitiku” (kożim puchu), inaczej wchodzę w stałe stosunki, zamiast z tobą, z szanowną firmą Altyn-Topa.

— Co ty, beju mosju, alboż to możliwe? Jak to?... cztery piastry?...

— Ależ to okragle, jak dajmy na to, głowa pana Abramowicza, która chce zbadać okragłe głupstwa rytualnego zaćmienia mózgów...

— „Waj! waj!” ależ to niemożliwe, niemożliwe, raz jeszcze powtarzam. Cóż za zarobek mi zostanie?

— Łatwiej go panu obliczyć, niż stosunek islamu do kosmografii... Na wszelki wypadek dodać chyba wypadnie, że gdyby targ obecny do skutku nie doszedł, wówczas i wszelkie nasze układy co do eksploatacji min węgla w łeb też wezmą... Ludzie, jak dotąd, będą jeździli do Czorby, do bajecznie zagadkowych jej wód mineralnych i po wcale bajecznie drogie drzewo, jak cynamon np...

— Zmłuj się, beju-mosju, nie godzi się choćby żartami tak straszyć ludzi uczciwych!... Tcs! tcs! ¹⁾, wy, Franczy, jesteście straszliwie gorący. Raz, dwa i jużbyście chcieli mieć wszystko pokończone. Po woli, duszko, uszanujcież przedewszystkiem zwyczaj.

— My szanujemy przedewszystkiem czas, i na tem daleko lepiej świat wychodzi, niż na ślepym przesądzie. Nasze postępowanie wydaje: słowność, pracowitość, a z niemi i wielki dostatek, a wasze co? chyba łamańce patryarchalizmu, bokiem wyłazące delikatniejszym i szlachetniejszym żywiołom, nie mówiąc już o zdrowym rozumie. Zważ tylko, cny tradycjonalisto, że „oko” węgla co najmniej cztery razy tak się długo pali, jak drzewo i będzie prawie tyleż taniej kosztowało?

— „Aman!” ²⁾ duszko-baranku, ja twą uwagę na to zwrócić muszę, że ty jako spółwierca, katolik, powinieś przedewszystkiem szanować patryarchalizm: bo czyż nie pochodzi on od patryarchy Abrahama, czyż nie z niego powstał cały boski porządek na ziemi, a człowiek z bydłęcia stał się człowiekiem? he?

— Racyę teologiczną na bok usuwam i pytam ponownie: targu dobijamy, czy nie?

— Cóż ty doprawdy tak naglisz, alboż tu wiesz „Inkil-terra?” ³⁾ No, no, niech już będzie pół piasra mniej...

¹⁾ Młaskawe cmokanie, jak u żydów.

²⁾ Zmłuj się! ach!

³⁾ Anglia po turecku.

— Jak trzech i pół nie dodasz, zrywamy wnet spółkę i oddajemy was na pastwę szanownego zwyczaju, dzięki któremu siedzicie zimą w skrzynkach ogrzewanych, w waszych „tandurach”, nie przymierzając, jak u nas zwierzęta dzikie po menażeryach; przyczem palą wam na wiwat, podobnie jak te dzikie osły do księżycy, wasze szklanki i karatki, gdy od mrozu pękać zaczną...

— Tcs! tcs! duszko-baranku, ależ to grzech wielki tak zwyczaj wyszydzać: pamiętaj, że nam przedewszystkiem o zbawienie duszy chodzi, czyż my doprawdy jakie farmazony?

— Wolisz więc, aby twój naród był raczej dziekiem zwierzęciem, niż farmazonem: to zależy od gustu... A cóż powiesz o trzech i pół piasrach?

— Jaktó, ja mój naród katolicki, którego jestem „milet-wekilem” (prezydentem), jabym go chciał zwierzęciem uczynić, i to dzikiem? „Waj! waj!” co ty doprawdy, przecieżeś dobry katolik?

— Ale też i trzy i pół piasra są dla mnie bardzo dobre; zechciej więc odpowiedzieć poprostu: tak, czy nie?... Altyn-Topa tylko co nie widać, a prócz sumienia czystego względem narodu własnego, sądzę, jako też i milionik, dołożony do twej patryarchalnej kasy, powinienby mieć u niego pewne uwzględnienie?

— „Język twój gorzej niż szabla zabija.” Zmłuj się, jażbym dobro narodu własnego miał oceniać według własnego zarobku? Tcs! tcs! nie mów tego tak, duszko-baranku, bo to grzech i nieprawda. Alboż to nie mnie wszyscy zwą angorskim patryarchą? Jestże w narodzie porządniejsza „mahalé” (część miasta), jak mego rodu? Czyżby to mogło było nastąpić, gdybym naprawdę tak za groszem przepadał? Ja to dobrze pamiętam, com winien memu narodowi i rodowi własnemu, jako zwierzchnik. Obyś lepsze miał o mnie wyobrażenie!

Kot kudłaty, jak przystało na Angorę, gdzie

nietylko koty puszyście kędzierzawieją, ale nawet i osły — usiadł nu rynnie dachu sąsiedniego i zaczął czule pomrukiwać, miaucząc; wnet go jednak strzały rytualne i hałasy spłoszyły. W półcieniu, nieopodal, na ulicy, ukazało się kilka nowych postaci ludzkich, zdążających do grona inteligencji. Przodem postępowało dwóch pod ramię: jeden w hełmie angielskim, drugi w fezie, w „setre à la franka” (surdut urzędniczy), sturczonym stroju europejskim. Obaj głośno rozmawiali po turecku i jak przystało, gestykulowali zamaszyscie.

Na spotkanie ich wyszedł z bocznej uliczki, gdzie stało grono kobiet, jak widma w białe mantyle, „czarczafy”, głowy okrywające, przystrojone — mężczyzna w fezie i w stroju europejskim; postępowali za nim dwaj inni, w chałaty narodowe ubrani i powierzchu ich kurtki, futerkiem bramowane. Mężczyzna, w dojrzałym wieku, był przystojny, w całym tego słowa znaczeniu, choć twarz miał też ormiańskiego typu; to samo wypada powiedzieć i o obu młodzieńcach chałatowych, którzy z niezmiernym szacunkiem i uwagą słuchali, co im mówił.

— Nie zapominajcie, moi drodzy przyjaciele, że tu do was przybył — mówił mężczyzna do młodzieńców — aby jako rodak, choć innego narodu, bez buntowania podniósł u was poziom patriotyzmu ormiańskiego, straszliwie w konserwatyzmie patriarchyalizmu ugrzęzłego. Musimy najprzód życie towarzyskie odpowiednio do wymagań cywilizacji europejskiej zreformować, a czyż jest dzielniejsze potemu narzędzie nad teatr?

— „Tcs! tcs!” doskonale! teatr — powtórzyli cmokając młodzieńcy — „waj! waj!” opera i „baletrysy” (baletniczki). Czy to prawda Walery-Alfendi?

— Tak dalece nie; musimy na czemś mniejszem poprzestać, bo korzystamy niby z okoliczności budowania u was dróg. Zresztą wiecie, jak się Turcy i tego boją?... Byłżeś, Artinie, u „wartabeta”?

— Kazał ci się pięknie kłaniać — odpowiedział Artin, chłopak jak malina, z gębusią malutką — powiada, że już przestudyował wszystkich najnowszych autorów: Kornejła, Płauta, Mołiera...

— To może i Arystofanesa?! Nic to nie szkodzi, że poznał tych „najnowszych” dramaturgów, rzecz główna: czy pisze już swą komedję?

— „Tcs! tcs!” widziałem to, Walery-effendi, na własne oczy — rzekł drugi młodzieniec, z nosem zuchwale kabłąkowatym — i już dla mnie rolę wybrał, według mego nosa, jak powiada... A czy ja tam wiem, co to znaczy? Powiada mi: Ohanesie, nos twój jest dla mej sztuki umyślnie stworzony.

Obaj idący zaśmiali się, a Artin towarzysza zlekka w bok trącił.

— Doskonale, Ohanesie — zakończył Walery-effendi — rad jestem, że masz odwagę wystąpienia na scenie.

— Ależ i ja gotów jestem — wtrącił Artin pięszczośliwie — byle tylko w mej roli tańczyć wypadło...

— Powiem o tem „wartabetowi”, a tymczasem wracaj do kuzynki Diurju (Darya), i powiedz jej na uszko, że Wacław wrócił. Słyszysz? na uszko...

— Cha! cha! już to potrafię, effendi...

Artin, a za nim i zuchwale nosaty Ohanes, zawrócili do kobiet, gdy Walery-effendi szedł na spotkanie głośno nadciągających hełmowca i fezowca w „setré.” Nie widzieli go atoli, jako z boku nadchodzącego.

— Zkąd wracają Litwini? — zadeklamował Walery-effendi po polsku — czy nie z nocnej wycieczki?...

— A niechże cię św. Kirko na kozie do nieba zawiezie! — odezwał się hełmowiec, stając i wyciągając rękę — takeś mnie przestraszył. Ty bo w twej szerszej ojczyźnie rozpuściłeś skrzydła wallenrodyzmu, i mnie też posadzić chcesz o spiskowanie!?

— Co mówi? co mówi?—pytał fezowy po turecku hełmowca.

— Powiada, że wszyscy Ormianie podziwiają cylindry i polkę tańczyć zaczął...

— Doskonale, widać chcą nosy poukrywać — ciągnął wesoło Turek— a co do polki, to znakomicie. He! Walery-effendi, czy tylko prawdę mówi twój rodak, Wacław-bej?

— To są rzeczy przyszłości, Hüsni-beju—odpowiedział Walery-effendi, zwracając się do Wacława-beja — niezawodnie z „konaku” wracacie, cóż z drogą?

— Wszystko skończone dzięki naszym brzęczącym argumentom—odpowiedział Wacław—zaczny Hamdi-pasza kręcił się tędy owędy, widocznie pod wpływem smoka Huta; ale na ostatku po wyszeptaniu z poczesnym Hüsni-bejem, uroczyście zapewnił, że aprobuje projekt budowy drogi do kopalni węgla, na które niebawem mamy dostać „firman”, koncesję. Tak to mój koziniarzu, po tej drodze, mam nadzieję, że nasz Leander zajędzie prędko do swej Hero...

— Co mówi? co mówi? — pytał Hüsni-bej — cóż to za Hero, czy nie ten, co z niego „héroïne?”

— A ty wiecznie z twą „gramera!...” Mówię tu o greckiej dziewicy—i zwrócony do Walerego, dodał:—jutro rozpocząć macie rekonesans...

— „Tcs! tcs!” daj pokój Grekom i Greczynkom—odcinał się Hüsni-bej—to niesmaczna potrawa: wolę stokroć nasze smakowite, jak śmietanka, Ormianeczki katolickie... Czy tak, Walery-effendi?

— Ja za niego odpowiem: tak! — a w stronę Walerego Wacław zadeklamował z „Ducha Stepu:

„Różdżka złota—och! ta sama,
Przesadzony szczep Adama —
Z pod namiotu Abrahama”

a na nasz język prozaiczny: śliczna córa Abrama-
ogłu, toć jest śmietanką mego Walka, co? A idziesz-
że z nami? he?

— Chybaś zapomniał?— szeptał Walery.

— Co mówi? co mówi? — wtrącił Hüsni-bej—
a „salami” macie, a „dżambon” będzie?... (salami
i szynka).

— Tyle, ile tego zapagnie dusza twa prawo-
wierna, czyli brzuch — odpowiedział Wacław Turko-
wi — strzeż się wszakże, aby cię za to nie połknął
Hut?!...

— On prawowierny, jemu nie wolno jeść wie-
przowiny... „tcs! tcs!”

Gwarząc wesoło i dowcipkując, obaj Polacy:
Wacław Hreski, Litwin, mężczyzna w wieku dojrza-
łym, gentleman całą gębą, spółnik Robinsona Puka,
i Walery Abrahamowski, Galicyanin-Ormianin, ad-
junkt nadinżyniera Abramowicza—rozpoczęli pocichu
rozmowę, przerywaną żywą gestykulacją. Niecier-
pliwiło to widocznie Turka w „setré”, Hüsni-beja,
kajmakana z Bejbazaru, młodego człowieka, o cał-
kiem europejskiej powierzchowności urzędnika, syna
wielkiego dygnitarza serajowego padyszacha.

— O czym to mówicie? co? he? — pytał Hüsni-
bej nałogowo, kręcąc Różaniec w ręku, jak przystało
na „Młodych braci” ¹⁾, odpowiedzieć przecie musicie
bratu?

— My też, jako wiecznie młodzi, odpowiadamy
młodemu bratu—odpowiedział Wacław—żeby z całą
szczerością polegał na naszej dyskrekcji i o nic nie
pytał wobec tych zagadkowych nie-braci — i Litwin
machnął w stronę grona inteligencji.

— „Walla!” (dalipan) dobrześ rzekł, bracie.
„Język zdradza człowieka” i to powinienem był po-
mnieć...

¹⁾ Liberalów do „Młodej Turcyi” należących.

To napomnienie o tajemnicy rewolucjonistów europejskich—Wacław bowiem i Walery należeli obaj do Młodych Włoch organizacyi—udzielone Młodemu Turkowi i masonowi wschodniemu, reguły „Szczerych-braci”, Hüsnî-bejowi, było zupełnie na czasie, wobec faktu zwrócenia wszystkich głów w ich stronę. Jeszcze nie doszli do grona, a już Puk wołał zaciekawiony na Wacława:

— I cóż tam, skoncentrowany idealisto? Jakże tam: fortecę zdobyłeś, czy forteca cię zdobyła?

— Nie byłbyś też serem elfem, a do tego elfem angielskim—odpowiedział Wacław—co to w parafrazę ujmuje wszystko, jak w tryby kieratu...

— Tryby, które poruszają całym światem, mój skoncentrowany idealisto, a obecnie czy zębami zahaczyły, i to dobrze, o fortecę tutejszego oporu, he?

— Złotem posmarowane, swoje zrobiły... Teraz powinni nam panowie inżynierowie śpiesznym rekonesansem dopomódz, ażeby czcigodny pasza nie zapomniał o swem postanowieniu—tu Wacław, zwrócony w stronę Abramowicza, witał go z poważaniem, mówiąc—dobry wieczór pułkownikowi! „Wali-pasza” zatwierdził projekt drogi do kopalni węgla, czyby nie można było rozpocząć zwiedzenia jej na gruncie jutro?

— Jutro? tak śpiesznie?—odpowiedział Abramowicz, cedząc słowa—to trudne...

— Słyszysz, co mówię, Abramie-oglu? — nalegał Puk na bankiera patryarchę; — patrz, oto idzie Altyn-Top; odstępujesz cztery piastry?

— „Aman!” tylkoż mnie nie posądzajcie o chciwość, „walla” — odpowiedział Abram-oglu, wpatrując się w głąb ulicy niespokojnie, z kądem kilka nowych postaci nadciągało—to nie z powodu jej, ale jedynie dobro narodu mego mając na sercu, przystaje, choć z prawdziwą moją stratą... „walla!”

— Tego jeszcze mało: musisz w dodatku zabrać z sobą Abramowicza i nakłonić go do tego.

ażeby zaraz, jutro, rozpoczął oględziny drogi, bez której ani myślimy rozpoczynać eksploatacyi kopalni.

— Czyż to możebne, zechceż nas posłuchać tak wielki człowiek?

— Wielki? alboż sam nie jesteś dwa razy większy od niego?! Zresztą, niech tylko śliczna panna Diurju spojrzy łaskawie, a wnet się stanie wszystko, czego zapragniecie...

— Będziemy próbowali, tylko dajcie dobrą odprawę temu Altyn-Topowi, który widać już wie o wszystkim, bo idzie tu razem z Ibrahimem effendim. Zaprosiny już zrobione, jak to wczoraj jeszcze było umówione; aleśmy nie przewidzieli, że mój spółzawodnik szanowny z tym ciężkim komisarzem drogowym zaraz pod nami dolki kopać zaczną...

Księżycą już połowa tarczy miedzianym cieniem się pokryła, ale wrzawa pobożna jeszcze nie ustawała: kumkając i skrzecząc w różnych stronach miasta, jak chóry żabie, wśród których strzały zastępowały hukania baków. Nowi przybysze, pomimo te hałasy, jakby się skradali do grona inteligencji. Pierwszy przystąpił do Abramowicza, w chałacie i kurtce na nim, prosty jak tyka od fasoli, poważnie zasklepiony, z jastrzębim profilem mężczyzna w podeszłym wieku.

— Całuję podolek twej poły, beju „basz-mühen-dyze” ¹⁾—rzekł przybysz do napuszonego inżyniera—wesele wnet w sercu mem czuję, skoro oglądam twe „białe” oblicze...

— Co ten tam Altyn-Top ²⁾ strzela do ciebie?!—pytał Puk Wacława, bliżej stojącego od wymawiających — nosi on widocznie jakąś zdradę w zanadrzu dla nas... Czuć dyabelską siarkę w jego prochu.

¹⁾ Nadinżynierze—po turecku.

²⁾ Złote działo—dosłownie.



— Nie byłby Grekiem, a do tego bankierem i rywalem Abrama-ogłu—odparł Wacław—sądzę, że to będą proste manewry, skierowane do kieszeni patriarchy angorskiego, by się podzielił zyskami koncesyi na kopalnię, a może i koło naszych operacji „tiftikowych.” Spekulacya tutejsza sieć zastawia nie gorzej od naszej...

— Widocznie jest na dnie tego prawda, albo może samo dno się prawdy wychyla? Muszę też dać ostrogi przyjaźni naszego zacnego spółnika — i Puk zwrócony do Abrama-ogłu, dodał: — Idę do telegrafu i zażadam pierwszego miliona na naszą kopalnię, a ty tymczasem zabieraj towarzystwo do siebie i rób swoje.—Następnie rzekł do Abramowicza:—Możemyż mieć nadzieję podziwiania jutro pańskiej zręczności inżynierskiej?

— To będzie zależało — odpowiedział inżynier, pejczem postukując po szarawarach—najprzód od pogody, a następnie od przygotowań.. Musi też być i odpowiednie przyjęcie dla znakomitszych Turków.

— Pokryjemy to wszystko z naszej kasy—dodał Wacław po polsku;—cała przytem nasza piwnica i szpiżarnia europejska stoi do pańskiej dyspozycji. Proszę tylko wydać Ibrahimowi-effendiemu rozporządzenia, o resztę nie potrzeba się troszczyć...

— To trochę zrozumialsze, niż gadanie tego postrzelonego Anglika. Hej, Ibrahimie-effendi, chodź no tu!

Przed inżynierem stanął wnet drugi towarzysz Altyn Topa, Turek, jak toporem wyciosany, ze srogim i ponurym, niby u bawołu, wyrazem twarzy. Zrobił ukłon, „téméné,” niemal do samej ziemi inżynierowi.

— Słuchaj, Ibrachimie-effendi — pytał Abramowicz Turka srogiego—czy możesz wszystko przygotować do rekonesansu na jutro?

— Skoro jest taka wola twoja — odpowiedział

Ibrahim-effendi ¹⁾ — musi być, chyba bym nie był komisarzem drogowym. Pieniędzy tylko nic w kasie nie mamy?

— Niech cię o to głowa nie boli, pożyczam z własnej kieszeni—i zwrócony do Wacława, dodał po polsku:—widzisz pan, jakie to trudności w tureckim rządzie...

— Dziś jeszcze, wieczorem, otrzyma pan pulkownik od nas zaliczkę w kwocie czterech tysięcy franków — odpowiedział Wacław, przymrużając oczy — dom nasz umie być wdzięczny każdemu, kto mu usługi oddaje...

— Wali-pasza, oby rządził nami wiecznie! — dodał Ibrahim-effendi, ponownie przysiadając do ziemi—życzy sobie być obecnym na rozpoznaniu drogi.

— Bardzo dobrze, wy tylko nie gawrońcie się; konie, ludzie, żandarmi, wszystko to żeby było gotowe, bez ochyby.

— Tak jest, tak jest — odpowiedział komisarz, i zrobiwszy ukłon, zniknął w ciemnościach.

Z wyrazem najwyższej czołobitności i ugrzecznienia, z ręką przyciśniętą do piersi i głową opuszczoną, podszedł teraz Abram-ogłu do inżyniera. Stojący tuż obok Altyn-Top, przelknął tak głośno, jakby miał gębę pełną aż do udławienia.

— Ściany domu mego płaczą, nie widząc twojego „białego” oblicza — szeptał bankier patriarchy Abramowiczowi na ucho — w dniu tak uroczystym zaszczyć swą obecnością nasze progi!

— Dobrze; iść już możemy, bo gawronienia mamy po uszy...

— Tcs, tcs! słodycz prawdziwa sący się z ciebie, beju-mühendyzie—szeptał z drugiego boku Altyn Top; — idziesz do tego szczęśliwego człowieka zapewne, aby pobłogosławić projektowanemu związkowi?

¹⁾ Abraham po turecku.

— Co za związkowi, jakiemu związkowi?

— Ależ twego pomocnika z córką przesłiczną Abrama-ogłu, uf, uł!...

— Pierwszy raz o tem słyszę... Czy to tylko pewne?

— Jak najpewniejsze. Dobranoc! wesolej zabawy.

I Grek ze zjadliwym wyrazem chyłkiem się wyniósł z towarzystwa.

Jakby go coś ukłóło, Abramowicz spojrzał w stronę grona kobiecego, przed którym się obecnie europejczycy uwijali. Podczas, gdy Puk robił dygi, trzymając w ręku poły swej marynarki, jak dama suknię przed starszemi kobietami, zanoszącemi się od śmiechu, Walery zajęty był żywą rozmową z młodą osobą, której twarz śliczna nieco się wychylała z pod mantyli, „czarczaśfu.”

— Choć nic doskonalszego nie spotykałem na kuli ziemskiej — mówił Puk do starszej kobiety — niż wy, moje panie, ale nie mogę poświęcić wieczoru dzisiejszego na cieszenie się wami...

— Aman! co też tam, „beju-musju,” mówicie nam o jakichś kulach, czy kuli, chyba to u was kula — odpowiedziała zagadnięta kobieta, odsłaniając twarz — a ty nas, prostaczek, z prostej ziemi, znać dlatego nie chcesz?!

Reszta kobiet potakiwała, chichocząc pocichu.

— Madam Katarina widać ziemi nie lubi — ciągnął Puk — kiedy z kulą nie chce się zaznajomić?!

— Ja? nie lubię ziemi boskiej? tcs, tcs! — odpowiedziała Katarina — tyłkoż to nie żadna kula, ale prosta ziemia i woda.

— Ależ okrągła, jak kula, ot, jak nie przymierzając, ten przez smoka ośliniany księżyc.

Wszystkie panie chichotać zaczęły na wyścigi.

— Co ty, „beju-musju,” to chyba wtedy, jak się ryba zegnie?

Puk i Wacław parsknęli głośno, przekonaw-

szy się, że kosmograficzne wiadomości „madamy” Katariny nie poszły dalej nad pierwotne podanie o dźwiganiu matki naszej, ziemi, przez wieloryba spoczywającego w miednicy niebieskiej na czterech słupach. Młoda osoba, która rozmawiała z Walerym, odezwała się srebrnym głosem, pełnym wdzięku i powagi:

— Ależ, matko-duszeko, ser Puk dobrze mówi: ziemia nasza okrągła, ale nie płaska.

— A ty zkąd to wiesz, Diurju? — odpowiedziała Katarina — ja o tem pierwszy raz słyszę, żeby ziemia u nas była okrągła.

— Wiem o tem, duszko-matko, z geografii, a i to badam jeszcze, że ziemia wiruje w przestrzeni, jak księżyc, słońce, gwiazdy, ale nie pływają...

— Oj, oj! rozumniejsze wy od nas, obyście tylko szczęścia w życiu zaznały!...

— Przysięgam ci na ten księżyc i na te gwiazdy! — szeptał tymczasem Walery na ucho Diurju — że będziesz miała u mnie szczęście największe, tylko mi nie odmawiaj przyzwolenia prosić o twą rękę dzisiaj.

— Czy to tylko dobrze? — również pocichu odpowiedziała Diurju, zakrywając zupełnie twarz „czarczaśfu” — mnóstwo mieć będziemy gości.

— Ależ Wacław stworzony na swata... Nie bój się, me życie, mój aniołku drogi! Dzień każdy jest dla mnie okropną męczarnią, skoro przypominę sobie, że jeszcze nie prosiłem rodziców o twą rękę. Sądę, że dziś wypadnie łatwiej, niż kiedykolwiek; gdyż dzięki Wacławowi, ojciec twój mieć będzie udział w milionowem przedsiębiorstwie.

— Rób, mój drogi, jak uważasz za stosowne: być może i nie mam racji...

Nie mogła dokończyć, bo matka zawołała:

— Proś-że ty, ochłodo mych oczu, mosiu Wacława, żeby szedł do nas na wieczerzę!

— Mam nadzieję, że pan nam tego zaszczytu

nie odmówisz? — rzekła Diurju do Wacława wesóło zakłopotanym głosem — jesteście zawsze najpożądany naszym gościem.

— Trudno pani odmówić — odpowiedział Wacław, uchylając helmu ze szczególnym akcentem w swym tenorowym głosie—choć być może, że się i uprzykrzę komu, ale na podobne zaprosiny staję do apelu jak stary żołnierz do szeregu.

— Skoro mój przyjaciel, ser Wacław Hreski, stał się żołnierzem—zawołał Puk emfaticznie—i opuszcza nas, musimy więc po rycersku pogrzebać pamięć jego, a przytem wybawić święty „aj” od złych zamiarów tego tam oto kóła, który chce widocznie zastąpić Huta niebieskiego...

Mówiąc to, Puk wydobył rewolwer i zdjawszy helm, robił nim ukłony na wszystkie strony.

— Dobranoc! wesolej zabawy! — i z ostatnimi słowy wypalił raz po raz z rewolweru w stronę kota, który w szalonych susach, spłoszony zniecka, znikł, jak strzala, stukocząc i szczękając dachówkami, poruszanymi w biegu.

W tej chwili wyszedł z jednej z aptek mały czelczyzna w fezie, z twarzą kształtu mordki łasicy, w stroju zaniedbanym europejskim, z laską pospolitą w ręce.

— „Voyons donc,” to i mister Puk widać na dobrego muzułmanina się przerabia?—wołał czelczyzna z apteki—uśmiercasz Huta!

— Bóg niech pobłogosławi odkrycie szanownego doktora Duclos — odpowiedział Puk przybyszowi z apteki—muszę dopomagać pocziwym Turkom odpędzać potwory od ich ziemi, bo mamy zamiar tu się na stałe sprowadzić... Dobranoc! — i Anglik odszedł.

— Cieszy to mnie ogromnie, widzę, że dobiliście targu z paszą, winszuję wam z całego serca, a również i tobie, zacny Abramie-oglu! — mówił Duclos.—Nie zapominajcie przy tem, że całej tej sztuki

dokazał przyjaciel kochanego Walerego - effendiego, nasz mądry pan Wacław.

— „Aferin!” (wybornie) nadlekarzu, język z serca wydobywasz—odpowiedział Abram-oglu, głaszcząc tukani swój nos — czcić też potrafiemy należycie wysoce uczonego Walerego-effendiego, zaszczyt przynoszącego naszemu narodowi, i mądrymu jak Sulejman ¹⁾ król, musiu Wacława, oby Isa ²⁾-effendi nad nim miał zmiłowanie!

— Oni pono o to najmniej dbają — wtrącił Abramowicz głośno — bo są farmazonami, t. j. liberałami...

— Doprawdy? — i Abram-oglu niepostrzeżenie małej znak krzyża na środku piersi zrobił.

— Ależ jak najprawdziwsi, tylko, że są oni i najlepszymi chrześcianami, jakich wśród was trudno w dzień ze świecą znaleźć, a w nocy sami świecą. Dobranoc! — dodał doktor Duclos i zniknął w ulicy.

— Czy „hekim-baszi” (nadlekarz) prawdę o was mówi?—pytała Katarina z wielkim zdziwieniem.

— Słyszałem od kogoś, że gdy Walery był niemowlęciem, to światło biło z jego kolyski—odpowiedział Wacław, przybierając minę seryo—a wszyscy Ormianie galicyjscy, nie wyjmując, naturalnie, i czcigodnego ks. Sadoka Baracza, orzekli, jako Stwórca przeznaczył go do odbudowania wielkiej naszej ojczyzny.

— I zbawienia dusz?...

— A jakże, a jakże!... ma on szczególniejszą protekcję u patriarchy Abrahama i Noego, co z arki na Araracie osiadłej dał początek ormiańskiemu narodowi, więc i całemu światu...

— Tcs, tcs! to cudowne, co mówisz. Zupełnie

¹⁾ Salomon—po turecku bowiem Biblia i N. Testament są dla Ormian pisane.

²⁾ Pan Jezus—po turecku.

coś podobnego i ja widywałam nad kołyską Diurju, przysiadzbym mogła, że w kolebce i nad jej czołem gwiazda świeciła.

— Powiedz mi, beju-inżynierze—pytał Abram-ogłu Abramowicza półgłosem—czy farmazoni naprawę mogą świecić w nocy?

— A dlaczego nie—odpowiedział zapytany ironicznie—jak ten oto na przykład, gdy ma czem białem obmotaną głowę, lub latarkę w ręce niesie...

Złośliwość ta śnać nie trafiła do przekonania Abrama-ogłu, skoro ujrzał ją skierowaną przeciwko Wacławowi, który prawdziwie dopiero co złożył w oczach finansisty dowody niezwykłej swej zdolności. Kiwał też głową, cmokał, ale nie mniej przeto z poszanowaniem spoglądał na handlarza przemysłowca angielskiego, rzucając wzrok w jego stronę, zdawał się sam wrastać w duszę, w wysokie zrozumienie o sobie i niechętnie odpowiadał witającym go krewniakom, których cały niemal kwartał domów stał po prawej i lewej stronie Kilisé-sokak, gdzie była i jego rezydencja.

Podchodzili do bramy domu, wśród rozlegającej się zdała piosenki Puka: „Mały prosiaczek,” która mu, jak sam powiada, przypominała najgorętsze chwile miłości, gdy jako klerk, w Dublinie, kiwając nogami na zydłu siodełkowym, pod muzyką katarzynki, grającej to arcydzieło melodyi irlandzkiej, wzdychał do ubóstwianej kochanki.

Wacław tymczasem kończył opowiadanie przed państwem Abramostwem-ogłu o cudownem pochodzeniu swego przyjaciela Abrahamowskiego, dodając na ostatku, ale to już szeptem, że Walery jest szlachcicem, t. j. bejem, a do tego ma słońce i kotwice w herbie.

— Doprawdy? tcs, tcs!—szeptała Katarina, rzucając radosny wzrok w stronę asystenta córki—to on może taki bej, jak Abramowicz, który powiada, że jest z grafów?

— Większy, bo my takich grafów wcale nie uznajemy—prawił Wacław z niezrównaną fantazyą.—Wiedźcie jeszcze i to, że rodzina Walerego jest bardzo zamożna, mieszka w pałacach i ma dobra rozległe. Aha! i to proszę, ale tylko dobrze zanotować, że jego pierwszy przodek, który od was przybył, nosił tytuł: „vir beliciosus.”

Kobiety nic nie umiały łaciny, ale zwyczajem powszechnym niewiast, udały, że rozumieją.

— Tcs, tcs! to on widać z naszych panów — mówiła Katarina — pokazuje to i jego powierzchowność.

Abram-ogłu kłaniał się tymczasem w progu nizko wchodzącym do jego domu gościom. Przez brukowany „hawli,” dziedziniec, weszli po schodach zewnętrznych do obszernej izby bawialnej, „musafir odasi,” która była i jadalnią zarazem. Sofy, ciągnące się popod ścianami, były wszystkie mniej więcej na jeden wzór okryte kilimami o jaskrawych barwach, jak i na podłodze posłane dywany, „hały,” również krzyczących kolorów. W rogu stał stół, też kilimami okryty, „tandur” zimowy, obecnie białym obrusem nakryty, który miał szerokie szlaki koronkowe z surowego jedwabiu, jak u kościelnych aparatów. Serwis wcale ubogo wyglądał, jak na bankiera: porcelana najlichszego gatunku i to po większej części poobtlukana, grabki najrozmaitszych fasonów i metali, nie wyjmując nawet cyny. Nad stołem wisiał pajak, jak po szkołach żydowskich na głuchej prowincyi, a pomimo to cel zazdrości wszystkich salonów angorskich. Niedostatki te nikogo nie raziły, ale zato rzecz nieco więcej świecąca wywoływała u gości cmokania i rodzaj czci bałwochwalczej dla krezusa amfitryona, czego zgoła nie widać u tureckiej społeczności, uważającej podobną adorację za wysoce nieprzyzwoitą.

Izba się napelniała znakomitszymi krewniakami. Abram-ogłu uroczyście zasiadł był już w rogu, gdy

do niego podbiegi jeden z synków i na ucho wywołał do sąsiedniej izby. Na środku czekała tam Katarina, niezmiernie wzruszona.

— Szczęście nas wielkie spotkało, duszko-mężu—rzekła półgłosem.—Wacław „musju” oświadczył się imieniem Walerego-effendiego o rękę Diurju.

— Taaak?... i cóż więcej...

— Czekaj na odpowiedź stanowczą, bo według ich polskiego zwyczaju świąt, ani kawaler nie mogą na uczcie pozostać, gdyby odmowę dostali.

— Taaak?... a wiesz-że ty duszko-jagniątko, że i bej inżynier tentuje o rękę Diurju?...

— Ależ on taki stary?!...

— I ja to wiem, tylko od niego zawisło obecnie zrobienie drogi do kopalni, co nam milion da w zysku? Odtóż więc stanowczą odpowiedź na tydzień, bo do ucha mego doleciała zdrada zdolności Altyń-Topa, który już Abramowiczowi powiedział o projekcie zaręczyn córki naszej z jego pomocnikiem, a co wprawilo go w bardzo zły humor.

Zostawisz sama, po powrocie męża do gości, Katarina, nie stara jeszcze kobieta o dziwnie łagodnym wyrazie, właściwie bezwyrazie twarzy, przyłożyła rękę do czoła, coś poszeptala ustami i poszła oświadczyć wymijający wyrok oświadczykowy, nie żałując najczulszych wyrazów i pochwał dla przyszłego zięcia. Tak Wacław, jak i Walery, byli mocno zaniepokojeni temi manewrami bankiera patriarchy. Nie było wszakże rady, wypadało „faire bonne mine au mauvais jeu,” i ze ściśniętym sercem zasiadać do stołu, obsługiwanego przez kobiety, nie wyjmując samej bankierowej i jej ślicznej Diurju, którym tu nie wolno razem siadać z mężczyznami na uroczystych ucztach, takich, jak obecna.

Podczas gdy gości obdzielano „czorbą,” zupą, zaprażoną tłuszczeniem baranin i zabeloną śmietaną, roznoszono i drobne kieliszki „raki,” wódki winogronowej, pędzonej w domu. Trunek nieustannie krą-

żył, mając na odmianę wino krajowe, mocne, smakiem podobne do Xeresu. Wacław nic do ust nie brał.

— Mosju Wacław, a czy nie raczysz pokosztować—zapraszał Abram-oglu z olbrzymim swym nosem, zatopionym w talerzu—choćby, ot, kawałeczek tego ięza pieczonego, tłusciutkiego, jak jagnię.

— Boję się gardło nim pokłóć — odpowiedział Wacław, biorąc kieliszek wina do rąk.

— To może potrawki z tego delikatnego wy-porka cielecego.

— Ta jego delikatność zawstydza mnie, że wcale nie będę umiał go dotknąć.

— „Waj, waj!” nie pogardzajże mym stołem, to może choć tych złocistych żabek.

— Mam strach, że gotowe wziąć mój żołądek za staw i zagrają w nim.

— „Poh, poh!” (wykrzyknik) no, to już się bierz do naszej powszedniej kozinki, prześliczna, młodziutka...

— Lubię patrzeć na kozy, zwłaszcza na wasze śliczne angorskie, i tak je żałuję, że mi się zdaje grzechem jeść podobne istoty.

— Ależ przynajmniej choć ślimaczków i skojek.

— U nas bociany to jadają z wielkim smakiem. Więc gdybym miał nos tak wspaniały, jak twój, dostojny przedstawicieli narodu, który rozmiarami swemi, choć nie kształtem, tak wielce przypomina narzędzie do jedzenia tego ptaka, wówczasbym i ja być może potrafił rozkoszować się ich smakiem. Tymczasem, gdy mi nieba dały nos prosty i mały, boję się, aby mi nie zaślimaczyły żołądka i nie sprowadziły kataru...

— Waj, waj! kpiarz z ciebie, to jedź-że przynajmniej tę „pasturkę” (kozią wędlinę), przeświecającą jak rubiny.

— Zapach kozi jest jedyny, ale ja wolę powąchać te gruszkę i ten miód wasz, od których doskonałych nigdzie dotąd nie spotykałem.

Podczas, gdy Wacław, dla uspokojenia gospodarza, kosztował gruszek i miodu, Abramowicz, skulony we dwoje nad talerzem, z serwetą, rozwieszoną na całej piersi, z wąsami nasoplonemi sosem, z apetytem prawdziwie troglodytowskim chrząkał, chrapał, obsmoktywał i oblizywał kosteczki żab, jeżów, wyporków, których góry na talerze układał. Smakoszostwo pana nadinżyniera nabierało Brillat-Savarinowskiego blasku, gdy w ślad za niknacemi w jego sztucznych szczękach potrawami, palce w sygnety zdobne robiły zaokrąglone poruszenia, a oczy, jak u raka, na wierzch wylazły, łapczywie dalszy żer śledziły i podpowiadały nosowi, by węsząc, pytał żołądka: duszo, czego pragniesz jeszcze?

— Powiedz mi, Walku—pytał Wacław przyjaciela pocichu—czy to on zawsze z takim nabożeństwem dary Boże spożywa?—i głową nieznacznie skinął w stronę Abramowicza.

— Ma on wcale niezły apetyt — odpowiedział Walery z roztargnieniem—ale nie taki zawzięty, jak obecnie.

— Widzisz, że teoria atawizmu znakomicie się sprawdza; jako potomkowi ormiańskiemu, smakują mu też niezmiernie wasze potrawy narodowe.

— Ale ja ich nie cierpię!

— To wcale teorii nie nadwiera. Powiedz mi jednak, wyjątkowy potomku Hajuka W., z kąd Abramowicze kroaccy przychodzą do hrabstwa? Wszak on nawet nie z Burczaków, ale z jakichś pojedynczych Kabzanów, a bodaj żydków zagrzebskich, choć mówi czysto po polsku?...

— Powiada, że ma tam gdzieś brata generałem w c.-k. szeregach.

— To racya fizyka: był, dajmy sobie, Wacław król, otóż na tej podstawie wolno i mnie choćby księciem zostać? Chyba już mu arystokratycznych nawyczek nie brak, skoro uwzględnimy jego nieu-

stanne ściganie oczyma panny Diurju, przy tak skrętnem wyładowywaniu brzucha. Brat Słowianin!...

— Nie boję się go wcale. Nieprawdaz, jaka ona śliczna? Czy jest piękniejsza od niej na ziemi?

— Dla ciebie niema i być nie powinno... Ale co do starego, to go radzę nie lekceważyć. Pomijam apetyt, ale spojrzysz tylko na jego surducik aksamitny, no te szarawarki grochowe z lampasami, na te srebrne ostrogi; brak mu tylko gitary z szarfą przez plecy, a będziesz miał doskonały okaz starego fircyka, najprawdziwszego zjadacza serc z przed półwieku. A jak się wdzięczy do twej niebogi! Nie byłby chyba Słowianinem?!

Manewry te najedzonego i napitego porządnie starego seladona snadź nie uchodziły bacznego wzroku gospodarza, który, skinąwszy na żonę, coś szepnął jej do ucha.

Katarina, odszedłszy, skinęła na Diurju, która właśnieniosła pełną tacę trunków do stołu.

— Podaj-że, światło mych oczu, „basz-mühen-dyzowi” trunków!—szeptała matka do córki.

— Niech siostra Marjam mu posługuje—odpowiedziała Diurju—bo on robi na mnie przykre wrażenie...

— Ależ, kiedy ojciec sobie tego życzy i wiedz o tem, że on nam daje zarabiać miliony.

— Chociażby; toż przecie godności mej dziewiczej nie poniżę przed nim...

Do rozmawiających, matki i córki, podeszła śpiesznie młoda kobieta, w bogatym stroju, z tacą w ręku. Przy całej jej piękności i szykowności miała coś szczególnego w wyrazie, pomimo, że uśmiech zalotny i łagodny nie opuszczał jej wypogodzonego oblicza, wielce zresztą podobnego do Diurju.

— Słuchaj, duszko Marjam, co siostra twa, Diurju, mówi!—rzekła Katarina zgorszona do świeżoprzybyłej — powiada, że nie chce usłuchać rozkazu ojca, ażeby nie uronić godności dziewiczej; cóż ty na to?

— Grzech wielki, grzech, siostró, popełniłaś — odpowiedziała Marjam, ostro mierząc wzrokiem siostrę; — duszko-matko, choć ja mężatka, ale daj mi to polecenie ojcowskie, natychmiast je wykonam, by błogosławieństwo Boże nie opuszczało naszej rodziny.

— Podaj-że, najmilszy kąciku mego serca, zaraz trunki bejowi nadinżynierowi, bo Diurju nie chce tego uczynić, pomimo rozkazu ojca.

— Grzech! wstyd! udajesz świętą i nie wiesz jak mądrą — mówiła Marjam ze złością do Diurju — a woli rodzicielskiej uszanować nie umiesz.

Szeleszcząc swą suknią jedwabną i połyskując całym kramem jubilerskim, Marjam, jak sylfida, podsunęła się do Abramowicza z tacką. Rozpoczęła się rozmowa poufna, bo miano tu Abramowicza jakoby za swego domownika, a nawet powinowatego, na podstawie podobieństwa nazwisk.

— Słuchaj, duszko, kokono Marjam — szeptał starzec, świecąc oczyma — powiedz mi tylko szczerą prawdę, ale to najszczerzą, czy to prawda, że Walery Abrahamowski stara się o rękę twej siostry Diurju?

— Dokładnie nie umiem ci tego objaśnić, bo siedzę u siebie w domu, zajęta mężem i dziećmi. A po co to ci wiedzieć? — pytała Marjam, zatapiając wzrok w oczy zaciekawionego starca.

— Na to, żeby was przestrzedz przed podobnym związkiem. Walery bowiem nic niema; jest farmazonem, może tu łatwo stracić posadę, a do kraju nie wolno mu wracać. Rozumiesz teraz, duszko?

— Pocziwieś to uczyniła, beju, niech' prawdę wiemy, bo kto tam zaręczy za młode serce. Mybyśmy naprawdę chcieli ją wydać za tak poważnego i statecznego człowieka, jak ty, beju na przykład; ale kto tam zdola przewidzieć, co to w niedoświadczonym sercu nastąpić może... „Waj, waj!” farmazon, bez funduszu, bez miejsca.

Złośliwy wyraz błakał się po ustach nadętych

Abramowicza, albowiem ujrzał, jak Diurju właśnie obsługiwała Walerego i Wacława, z którymi bystro za mieniała słowa pocichu.

— Odłożone na tydzień — szepnął Wacław Diurju na ucho — ale to pono dlatego tylko, żeby czynności drogowej nie zaszkodzić.

— Wola rodziców jest świętą — odpowiedziała Diurju, błędąc — oni wiedzą najlepiej, co czynią.

— Nie zmruję całą noc oka, aniele — szeptał Walery kochance — po co oni nas dręczą?

— Będę się przez całą noc modliła, abyś miał spokój.

Podjęrziwość zakochanych starców jest przysłowiową, zwłaszcza marcowych kawalerów, którzy w siódmym krzyżyku marzą jeszcze o miłości. Dostyc było tych szeptów i nieprzybliżania się Diurju do Abramowicza, aby całe piekło domysłów i zazdrości w jego sercu obudzić. Siwe oczy jego, jak gałki ołowiane, latały niespokojnie po zgromadzeniu, śledząc bacznie, czy kto nie szydzi z jego uczuć. Zamierzał też pokonać swych przeciwników powagą urzędu i wysokiego swego stanowiska.

— Proszę panów wszystkich — rzekł uroczyście — na jutrzejszą pierwszą wycieczkę drogową, żebyście poznali, co za wielkie dobrodziejstwo spłynie na wasz kraj.

— I żebyście podziwiali moją wielką mądrość w szerokich szarawarach grochowych — dodał Wacław pocichu — czy nie tak, Walku?!

Późno w nocy opuszczali goście dom Abramaogłu. Na dole, na dziedzińcu, pełno było uboższych krewniaków i swojaków, którym matka i córki rozdawały to wszystko, co pozostało po uczcie. Była to scera prawdziwie biblijna, a powiedzmy, rzeczywiście azyatycka, jak dotąd to widzieć wszędzie można, gdzie tylko patryarchalizm swe korzenie mocno zapuścił.

Walery, różrzewniony do głębi, zwrócił na to

uwagę Wacława i zadeklamował z aforyzmów Mickiewicza:

Żaden naród prac swoich nie cieszył się płodem,
Bo żaden nie był ludu cichego narodem.

— Wybacz, bratku! — odpowiedział Wacław — ale ja dla służalstwa nie mam ani krzty sympatii, jak i dla jego córki pokornej, żebraniny, chociażby się ta pielegnowała na łonie pokrewieństwa...

II.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Po „majdanie konaku wilajetowego,” dziedzińcu gmachu gubernialnego, rezydencji „wali-paszy,” generał-gubernatora angorskiego, zawierającej obok dykasteryi i więzienia, „haps” — wodzono konie pokulbaczone, a obok nich hasały charty, plosząc puszyste koty, które śmigały na podwyższeniu z błyskawiczną szybkością, aby ztamtąd, mrużąc, wyszczerzać kły do swywników czworonogich. Z zabudowania w bramie muru obwodowego o trzech oknach wynoszono rozmaite paki i paczki, kosze i koszyki i juczono niemi kilka mułów, złośliwie i uparcie zwieszających łby uszaste.

Nieco ciekawych w bramie stało, na środku której, w niszy, siedział wartujący „zaptja,” policyant, z podkurczonemi nogami, z kurzącym „nargile” (wodną fajką) przed sobą. Wartownik ten wydawał rozkazy poganiaczom mułów, żeby ruszali w drogę. Wyjrzał właśnie z drzwi naprzeciwko niszy smagły Turek, o mongolskich rysach, z dziwnie ponurym wyrazem twarzy i grabnął na poganiaczy ręką ku sobie.

— Stójcie! — mruknął.

W ślad za Turkiem ukazał się blondyn, słuszny, w fez i setre ubrany, z wyrazem na twarzy

pogodnie służalczym, z nosem haczykowatym i brodą podstrzyżoną z turecka „â la franka.” Stojąc w progu, oglądał się w tył, podobnie jak krowa, wychekująca pośrodku drogi na odstałe ciele.

— Wy, panie rodaku, pamięć was odbiegła, czy co? — pytał blondyn po niemiecku stojącego po za sobą — a no! butel nieście na juk; przecież go do kieszeni nie schowacie?

— Alboż to ja od noszenia sznapsów?! — odpowiedział zapytany — możecie sami, panie Abramczuk, skutecznić to bez obrazy honoru.

— Ja jestem „indzinier” — odpowiedział Abramczuk, palcem ukazując na swe piersi — a wy, Herr Abramsohn, jesteście „pikier,” marsz!

— Oho! tak się ze mną nie godzi obchodzić, panie „ex-firer” od policajów, a uprzednio lokaj; pomniście, że macie przed sobą byłego wachmistrza, Abramsohna, artystę cyrkowego. No, tak, to rozumiecie mnie? Nieścież teraz śmiało butel.

Skończywszy na pół seryo, na pół żartem toczoną rozmowę, eks-artysta cyrkowy, obecnie „pikier” inżynierki, Hans Abramsohn, z powierzchowności przypominający długi makaron „con sol,” zakończony główką podługowatą, płową, z obliczem koloru nerek i nosem trąbiastym barwy granatowej, gładko wygolony — potarł zapalnik o spodnie i zapalił porcelankę na krzywym cybuszku rogowym z kutasikami czarno-żółtemi.

Spoglądający na ten manewr pokojowy „ex-firer,” obecnie konduktor inżynierski, Fed’, a Turków Teodoraki Abramczuk, w młodości pasterz, przygrywający na dudach przy „wiwciach,” następnie ubijacz i roznosiciel bryndzy po Lwowie, dalej lokaj i na ostatku policyant — wydobył z kieszeni wspaniały fular czarno-pomarańczowy i obtarłszy nim twarz za-poconą, jednocześnie wolną ręką machnął.

— A no, no, już kiedy tak — rzekł imię Abram-

czuk, biorąc butel do ręki—to ja i sam zaniosę, tylko, co na to powie pan „nadindzinier?”

Z pod kotary drugiej izby wysunęła się głowa Walerego, który skinął na Abramsohna i rzekł do niego po niemiecku:

— Proszę ustawić instrument w bramie i wziąć z sobą wiechę, a zarazem sznur do mierzenia.

— Ależ, co pan dyktujesz?—odezwał się Abramowicz, wytykając głowę z drugiego końca kotary—zabrać wszystkie instrumenty: grafometr, busolę, libelę, kątomiar, stół mierniczy i poustawić jedno obok drugich na środku „majdanu!”

Na wysokim czole Walerego chmurka przeleciała, pod brwiami w łuk piękny zagiętemi przymrużyły się czarne, jak węgiel, oczy, nozdrza nosa orle go drgnęły, policzki wydane rumieniec pokryły, a usta wąskie mocno się ścisnęły, ręką prawą musnął wąsy i brodę, lśniąca jak heban. Wzrok obu inżynierów, zwierchnika i pomocnika, skrzyżował się, jak dwa ostrze szpad szermierczych.

— Do schonosansu prócz busoli, grafometru i sznura nic więcej nie potrzebujemy—rzekł Walery stłumionym głosem—zegarek mój jest bardzo dokładny i chód konia wymierzony doskonale.

— Wam bo się zdaje, moi uczeni panowie, że tu Europa — odpowiedział Abramowicz — i cóż tam wasza wiedza szkolna znaczy? Nic, powiadam panu, nic; nic nie znaczy, nic nie warta. Choćbyś tam wszystkie rozumy pozjadał, to Turcy cię nie usłuchają, skoro ich nie zdołasz olśnić. Abramsohn!—krzyknął na pikiera, wynoszącego instrumenty—a wiechy zapomniałeś?

— Przepraszam, zaraz! — i pikier Abramsohn, salutując, rozkaz spełnił.

— Osły, nic po ludzku wykonać nie umięją — zaszywał Abramowicz, niknąc za kotarą—jeden tylko ten głupiec Abramczuk czegoś wart. bo słucha.

W progu tymczasem spotkali się właśnie po-

wracający konduktor Abramczuk i z mongolską twarzą Turek ponury; obaj spojrzeli po sobie znacząco.

— Słyszało mi się zdaleka — mówił Abramczuk — że bej nasz czegoś się gniewa. Czy tak Abdulla-ago?

— Waszego języka nie rozumiem — odpowiedział Abdulla-aga, poprawiając broń za potwornie szerokim pasem.

— Ale, bo ja znam głos beja nadinżyniera; musi być coś znów z Walerym-effendim, który zawsze wszystko po swojemu chce robić, choć nie umie.

— „Dwaj linoskoki na jednej linie tańczyć nie mogą”¹⁾. Ałlach daje moc ludziom, by swych przeciwników pokonywali.

— Ma firman (nominację urzędową).

— Waj, waj! Teodoraki effendi, „złoty klucz drzwi wszelkie otwiera.”

— Dużoby dał nadinżynier, żeby tego firmanu nie było...

— „Głupi nosi serce na języku, a mądry chowa w sercu język.” Rozumiesz mnie, Teodoraki-effendi?

Badając głębokość przysłowia tureckiego, Fed' Teodoraki nie spuszczał tymczasem wzroku zaiskrzonego z roboty pikiera Abramsohna, który, ustawisz stół mierniczy na środku dziedzińca, trzy pozostałe instrumenty ustawił w trójkąt naokoło.

Niemiec z powagą porządkował, biorąc narzędzia po kolei i przedstawiając je w prawo, w lewo, wstecz, jakby coś na tem nadzwyczajnego zależało. Rusin Fed' podglądał sztukę swego „krajana,” bo Hans był kolonistą, również z Galicyi pochodzącym, podróżowaniem rasową za chlebem zarażony. Fed' nieco się przycisnął do muru, oczy mu świeciły coraz mocniej.

¹⁾ Wszelkie tureckie przysłowia będą podawane w cudzysłowie.

— Aha! „stołyk po sereu” — szepnął do siebie — „grochometr” na prawo, „fasola” na lewo, a „niwy” (niveau) u zadu... Tera rozumiju, panie dobrodzieu, her kolega...

Na znak wewnętrznego zadowolenia z poduczenia się sztuki inżynierskiej, Fed' wydobyl czarno-pomarańczowy fular i maznął nim leciuchno pod swym nosem haczykowatym. Zadowolenie to byłoby zupełne, gdyby nie malownicza postawa eks-clowrna cyrkowego, obecnego pikiera Hansa, który trzymał dumnie w prawicy wiechę, z czerwono-białą tarczą, jak nie przymierzając zwycięzca na istmickich igrzyskach dziryd błyszczący. Panu konduktorowi aż zaświerbiało w dłoni, zagadały kosteczki, tak się rwał do zastąpienia pikiera i pokazania światu swego stroju świetnego effendowskiego, oraz przypomnienia sobie chwil szczęśliwych, gdy z polyskującym półksiężcem, w kaszkiecie i świeżym mundurze stawał pod studniami lwowskimi, czarując kępiaste czarnobrewy czerwonoruskie z wiadrami. Ale tu chodziło o coś więcej, bo o ustalenie swej pozycji urzędowej; nie mógł się przeto na to odważyć, wiedząc, że u Turków wnet straciłby na powadze, gdyby stanął przed nimi nie z próżnemi rękoma. Korciło go jednak, bądź co bądź, uratować swą urzędową pozycję chociażby w oczach Hansa.

— Panie kolego, a czy tak będzie dobrze?—zapytał pikiera po niemiecku.

Pytanie dosyć racjonalne mogłoby powstać w głowie czytelnika, żkad taka głowa, jak imci Abramczuka, przyjść mogła do znajomości języka niemieckiego? Na to będzie bardzo łatwa odpowiedź: w Galicyi każdy, choćby taki fujarkiewicz od „wiciów,” lub bzykacz, ślepy mazur z flanelowym językiem, każdy przychodzi na świat z osobnym zmysłem — „dejczzsprecherskim,” który mu pozwala po paru latach wojańskiego zawodu, czy tam woźnieńskiego, wcale biegle władać mową Szyllera i Göthe-

go. Co zaś specjalnie dotyczy szanownego konduktora Fedia Teodorakiego, miał on nadzwyczajną zęczość wykształcenia się w niemieczyźnie; los bowiem, właściwie znajomość z Hansem Abramsohnem, związał go węzłem serdecznym z jego jakąś kuzynką, szwabką, kolonistką, która razem z nim odbywała wędrówkę po szerokim świecie.

— A pan konduktor dobrze butla ustawiliście! — odpowiedział Hans, puszczając kłąb dymu z porcelanki.

Pod bramą tymczasem zaczęła się tłoczyć coraz liczniejsza i hałaśliwsza publiczność, nic nie zważająca na „jasaki” (nie wolno, urzędowi) wartownika, belkocącego niewzruszenie swe kurzące się „nargile.” Była to najnieznośniejsza i najzuchwalsza część muzułmańskiego społeczeństwa; żaki szkolne z „medresów,” w których właśnie dopiero co lekcye pokończono. Obywatele ci w swych chińsko-tatarskich czujkach w duże palmy, w szarawarach z „moszną” omal ziemi nie dotykającą, z teczkami pod pachami i paluszkami w gębach—parli falą niepowstrzymaną na dziedziniec „konaku,” widząc tam tyle „marifetów,” sztuczek porozstawianych. Wszelkie „duszko-wania” na nic były; warta musiała się ruszyć z siedzenia i odpędzić prętem napastników, za co wyhukana została wedle zwyczaju nielitościwie. Dzieci tureckie zgola nie znają żadnego przymusu i, co zatem, kary; rosną tedy swobodnie według przysłowia — pa-trząc na las.

Właśnie teraz pod bramę weszła muzyka, złożona: z ogromnego, jak „kuśa tarabana,” dawuła, piszczalki i bandury. Za tą orkiestrą krajową wjechali na dzielnych rumakach angielskich Wacław Hreski, Robinson Puk i na legalnym wierchowcu „rajasów,” ośle, wprawdzie dużym, jak koń, bankier Abramoglu, w rypсовym hałacie, w krótkiej kurtce bronzowawej, nawet z upokarzającym czarnym turbanem „giaura” na niepospolicie wysokim fezie, jak przy-

stało na „milet-wekila” narodu katolickiego. Twarz patriarchy angorskiego była, jak i w nocy, całkiem czerstwą, choć światło dzienne tu i owdzie zdradzało srebrny włos bądź w wąsach kopiastych, bądź w krótko postrzyżonych włosach czarnych, jak kruk; podobną ona była z cery do owych bożyszcz indyjskich, których oblicza dopiero co gorliwość nabożnego oliwą namaściła; szczególnie okazałe przytem polyskiwał jego nos tukani i czoło wypukłe bez najmniejszej bruzdy czy zmarszczki między brwiami, z majestatycznym lojalizmem spoglądającymi wyniosłe na świat Boży.

— Początek wspaniały—rzekł Puk do Wacława, opierając się obiema rękami na kuli siodła.

— „Finis coronat opus” — odpowiedział Wacław, zdejmując hełm i obcierając go chustką wewnątrz z potu — koniec sam przekona was dopiero, czego jest warta potomków biblijnego patriarchy familijna wynalazczość.

Nie było sposobu prowadzić dalej rozmowy, drzwi bowiem biura inżynierskiego naocześnie się rozwarły, warta z uszanowaniem opuściła swe „nargile” i zrobiła—„selam durl!” (prezentuj broń). Pod bramą ukazał się majestatycznie kroczący, niby starszy mag, „mobeđ”¹⁾ mardejski z „nereng-gomezen,” nadinżynier wilajetowy, Abramowicz, obleczony w fez, na samym tyłcu głowy osadzony, w czarne „setré,” w szerokie szarawary grochowe z lampasami i zakrzywione ostrogi srebrne na lakierkach; w prawej ręce, jak porównywany wyżej kapłan łyżkę komunikantową, trzymał dyoptrę polyskującą, w lewej zaś otwarte pudełko z cyrkłami, a naokoło szyi i piersi obwiniętą miał taśmę centymetrową pomarańczowego koloru. Z tyłu za Abramowiczem postępował konduktor Abramczuk Fed', z ogromnym rulonem papie-

¹⁾ *Mobeđ*—kapłan czciciel ognia, a *nereng-gomezen*—komunikant z byczego moczu i popiołu.

ru rysunkowego pod pachą i z ponsową chorągiewką, z białym półksiężcem w polu w dłoni, a w drugiej ręce z rozwartem pudełkiem farb, z miseczką natarętego tuszu. Obok niego szedł komisarz drogowy, Ibrahim-effendi, z pustemi rękami, ale z nieodstępną ponurością bawołą na twarzy. Za nim zamykali pochód drugi figurant, z wiechą polyskującą, z łańcuchem okręconym naokoło szyi, z pudełkiem większym mahoniowem od instrumentów — i „kia-typ,” pisarz turecki, również jak i jego zwierzchnik, komisarz, z pustemi rękami. Całkiem ztyłu postępowali „czibukczowie,” lokaje, z sażniowemi cybuchami i sakwożajkami w rękach.

— „Goddam!” to prawdziwy pochód bałwanów z „Aidy”—zawołał Puk, sznurując żwawo wąsikami szydełkowatemi i wyciągając swe bolforty w kierunku zapienionego munsztuka wierzchowca.—Jak uważam, magowie urzędowej nauki w Turcyi stoją zupełnie na wysokości pojmovania powołania przez ich poprzedników egipskich i chaldejskich!

— Miej, ser elfie, trochę cierpliwości — odpowiedział Wacław, zapalając cygaro—to zaledwie początek...

Orszak inżynierski zmierzał powoli na środek dziedzińca, ku rozstawionym na trójnogach instrumentom, wśród szmeru podziwu dziatwy tureckiej i ugarniowania głowami urzędników wszystkich okien „konaku”, nie wyjmując więźniów w „hapsie.” Patrzyła na tę scenę i kolumna Pompejusza na zwaliskach starożytnego forum rzymskiego, tuż do muru „konaku” przypierającego. Abramowicz snadź się przejął rolą tryumfatora, podniósł w milczeniu dyoptrę do góry i skinał nią na rezydencję „wali-paszy.” Ibrahim-effendi, odmłynkowawszy „téméné”, uklon ręką, ruszył pompatycznie w stronę wskazaną przez nadinżyniera. Teraz dopiero powoli wyszedł, z rękami w tył założonemi, z głową pochyloną ku ziemi, pomocnik, „adjoint”, adjunkt-inżynier, Walery

Abrahamowski, i stanął na boku personelu drogowego. Opasany niby akselbantami, pomarańczową taśmą centymetrową, nadinżynier ani raczył nawet spojrzeć w stronę swego pomocnika, całkiem zresztą obojętnego na tę oznakę nielaski zwierzchnika.

— „Selam dur!” (prezentuj broń) — rozległo się pod rezydencyą paszy.

Wszystko, co żyło naokoło i patrzyło w tej chwili na wystawę inżynierską, zrobiło „temene” z przyplaskiwaniem się do ziemi. Wyjątek stanowił: Walery, europejczycy konni za bramą, oraz dziatwa turecka. Z drzwi, przy których stali szyldwachy, wyszedł najprzód tyłem i przypadając do ziemi Ibrahim-effendi, a za nim w stroju cywilnym mężczyzna przystojny, zaledwo siwizną przypruszony. Połkon ziemny, jeszcze niższy od pierwszego, oznajmił „urbi et orbi”, jako mają one szczęście oglądać „białe” oblicze Hamdi-paszy, walego angorskiego. Pasza w swym stroju zeuropeizowanym, całkiem czarnym, prócz fezu czerwonego, z bladą ładną twarzą, okoloną podstrzyżoną brodą też czarną — wyglądał z powierzchowności na prawdziwego gentlemana z najwyższych sfer; i tak było rzeczywiście, gdyż za młodu był pazurem, „icoglanem”, właściwie „ohlanem”, chłopcem sultańskim. Łagodny, półironiczny uśmieszek na twarzy wysokiego dostojnika angorskiego kazałby go raczej wziąć za jakiego chyba poetę, czy filozofa, lecz nie za surowego wykonawcę władzy króla królów, „padyszacha.” Przy nieustającym ruchu wahadłowym tułowi nie przeszkadzało jednak bardzo wielu rzucić spojrzenia zdziwienia, a nawet oburzenia na Walerego, który dopiero gdy „wali” stanął tuż obok niego, zrobił powitalny ruch ręką.

Pasza kiwał ręką po powietrzu, jakby ją miał pełną grochu, czy ryżu gotowanego do wrzucenia do gęby, i z dziecinną ciekawością oglądał narzędzia, figlarnie zerkając z podelba na udekorowanego taśmą mierniczą Abramowicza.

— Jak się macie, beju-nadinżynierze! — witał Hamdi pasza—a nie zapłaczeć się przypadkiem w tę taśmę centymetrową?!

— Rządź nami, „paszo-sultanie”, w zdrowiu—odpowiedział Abramowicz, usiłując wywołać uśmiech na swe nalane oblicze przepelnione godnością niewolniczą—co zaś do taśmy, ta nic mi nie zawadza, jako prawdziwemu inżynierowi.

— A to co za sztuczka? — i „wali” pokazał na grafometr.

— To „grochometr”, paszo-effendim — wtrącił konduktor Fed', wyszczerzając białe zęby wesoło.

— Milczałbyś, dudku! — mruknął nadinżynier po niemiecku do podwładnego, a następnie tłómaczył paszy użytek narzędzia — za pomocą tego oto instrumentu, paszo-sultanie, mierzy się wzajemny stosunek płaszczyzn do ich kąta rozwartości.

— Można nim świat zmierzyć od wschodu do zachodu i od zachodu do wschodu — dodał Abramczuk uśmiechnięty, ku oburzeniu nadinżyniera.

— Co mówi? do czego to narzędzie? — szeptało w orszaku paszy.

— Ależ powiada, że większym od siebie głupcom pleść można bzdurstwa bezkarnie—odpowiedział półgłosem Hüsnibej, znajdujący się tuż niedaleko paszy.

— „Czok szej! czok szej!” (bardzo i bardzo to ciekawe) — mówił pasza, nie słysząc, co bej powiedział—a możesz tem narzędziem, „beju-mühendyzie”, zmierzyć odległość ziemi do gwiazd?

— Dlaczego nie, paszo-sultanie, tylko to niepotrzebne — odpowiedział Abramowicz z dobrą fantazją.

— Niepotrzebne?... No, niech i tak będzie, ależ dlaczego niepotrzebne?

— Bo gwiazdy siedzą tak wysoko, jak i słońce... Ałlach wszystko bardzo mądrze obmyślił...

— Pobożność twa cieszy mnie ogromnie i bu-

duże, a padyszach, oby zwyciężał! mądrze uczynił, przysyłając mi tak wysoce uczonego męża. Możesz teraz rozpocząć swą czynność zbadania drogi do kopalni węgla. Tak!

Abramowicz oddał niski ukłon, dyoptrę podniósł do góry, wskazał nią Fediowi grafometr i poszedł w stronę „konaku”, wydając jednocześnie rozkaz ustny Hansowi, aby z wieżą stanął pod bramą. Poprzedzony przez konduktora z chorągiewką na ramieniu i grafometrem w rękę, nadinżynier zniknął niebawem we wnętrzu zabudowania konaku, aby wnet się ukazać na balkonie pierwszego piętra. Po ustawieniu tam instrumentu, Fed’ machnął chorągwią, muzyka huknęła hymn turecki, a jednocześnie za inżynierem stanął „iman“, mólił, i zawołał głosem modlitewnym:

— „Bismillahi-r-rachmani r-rachim!“ (w imię Boga miłościwego i miłosiernego). Niema Ałłacha prócz Ałłacha i Mahometa, jego proroka. Wierni! padyszach oby zwyciężał! wydał rozkaz budowania drogi. Słuchajcie go, bo taka jest jego wola. Tak!

Zaledwie ostatnie sakramentalne słowo rozbrzmiało w powietrzu, Ibrahim-effendi dał znak; na konaku powiała chorągiew czerwona z półksiężcem, a z cytadeli huknęły strzały działowe. Turczęta, podziwiające do tego czasu w milczeniu inauguracyjny akt, podniosły piekielny wrzask: „padiszach czok ja-sza!“ (padyszach niech żyje!) Na nowy znak, po spojrzeniu w wizjer grafometru, Hans, który stał z wieżą w bramie, zrobił koziołka i ustawił ją wysoko między podeszwami, a sam zaczął chodzić na rękach, robiąc przy tem rozmaite ewolucje cyrkowe, przy dźwiękach muzyki i wrzaskach uszy rozdzielających malców.

— Dobrzem zrobił, idealisto skoncentrowany, zem twej rady usłuchał — mówił Puk do Wacława, kuląc się do grzywy konia — i nie rozpraszał dalej mego podziwu. Widzę bowiem, że tu mogliby w ką-

pójsz magowie egipscy i chaldejscy... Tylko czego ty się tak marszczysz, jakbyś pigułkę połknął?

— Zgadłeś, ser-elfie, połknąłem i to bardzo gorzka — odpowiedział Wacław nachmurzony — spryt wyzyskiwania ciemoty przyjaznego narodu przez brata słowianina poruszył we mnie całą żółć...

— Ależ bo zawsze jesteś tylko skoncentrowanym idealistą, i niczem więcej! Spójrz — no tylko na naszego szanownego spółnika, wówczas ocenisz wartość prawdziwą całego tego magicznego przedstawienia?

— Cudowne to, cudowne! mądry człowiek, nie ma co — mówił Abram-oglu rozpromieniony — temi tylko „marifetami“ (sztuczkami) zjedna Turków dla swego projektu. „Asły Beczeli!“ (prawdziwy wiedziec, Austriak).

— Zobaczmy — rzekł Wacław po polsku w stronę Walerego — jak osły będą beczeć po tych sztuczkach?

Chodzenie Hansa na głowie trwało dopóty, dopóki Abramowicz z Fediem nie wrócili napowrót do ustawionych na dziedzińcu instrumentów. Uśmiechnięty jednakowo pasza zwrócił się tymczasem do Walerego, mówiąc:

— Powiedzcie mi, inżynierze-effendi, po co to wszystko robi Abramowicz-bej? — i pokazał na Hansa, chodzącego na głowie.

— Nie mogę ci, paszo-effendi, na to odpowiedzieć — odpowiedział Walery głosem zawstydzonym — bo to nie należy do nauki...

Na dany znak ręką paszy Hans stanął na nogi i zaczął konie podawać. Wsiadłszy na koń, gubernator ze swym nieodstępnym i nieodmiennym uśmiechem zapytał Abramowicza:

— Powiedz mi, „beju-mühendyzie“, po co to twemu urzędnikowi kazałeś stawiać na głowie z wieżą?

— Każda rzecz, paszo sułtanie, bywa wówczas dobrą — odpowiedział Abramowicz, kłaniając się do

ziemi — gdy jest rozważaną wszechstronnie: my też, prawdziwi inżynierowie, musimy mierzyć nie tylko po ziemi, ale i po niebie, ażeby prawdziwe miejsce obrać dla planu. Obok tego pouczamy i o tem, że niech się kto z tutejszych postawi na głowie, a jeszcze nie pozna naszej prawdziwej nauki.

— Coraz więcej podziwiam twą niezglębioną naukę... Ale dlaczego twój inżynier-pomocnik powiada, że to związku z nauką niema?

— Bo on prawdziwej nauki nie zna, jest tylko prostym wykonawcą mych zarządzeń, jak np. twój pisarze.

— A mnie powiedziano, że on bardzo uczony, jako ten, co skończył szkołę dróg i mostów w Paryżu?

— Nie wziąłbym go do siebie, gdyby nie pochodził z tamąd; ale cóż to znaczy, kiedy ja się we wszystkich szkołach inżynierskich Europy kształciłem? Proszę przytem i zważyć, że on jest Ormianinem, a ja prawdziwym Austriakiem, Frenkiem (europejczykiem).

— „Ermeni?!“ (Ormianin) to szkoda, taki z niego pokaźny i widny, Frenk niby prawdziwy... Żle, że mało ma nauki — i pasza wykrzywił usta zerknawszy wzgardliwie w stronę Walerego.

Humor paszy wnet się poprawił, skoro do niego podjechali, salutując, Puk i Hreski, przyczem ostatni zabawił go opowiadaniem o rozmaitych cudach drogowych w świecie. Widocznie chodziło Wacławowi o zgadywanie komedyi, jakie wyprawiała obecna wyprawa drogowa w ulicach miasta, Abramsohn bowiem stawał ciągle na głowie z wiechą między nogami a nadinżynier cwałował tam i napowrót, rozpędzając psy uliczne i malców, wrzeszczących ogłuszająco na spółkę z muzyką, tuż za orszakami kroczącą.

Defilada ta orientalna nabierała coraz większego charakteru i była w całym rozgwarze, gdy or-

szak przeciągał popod oknami Abrama-ogłu, którego osioł na dobitkę, poczuwszy stajnię, ryknął radośnie.

— Widzisz, beczy od mądrości Beczeli—zawołał Wacław na Walerego.

Kobiety „giaurki“, chrześcianki, tłoczyły się do okien, widać też było i damy Abrama-ogłu na tym posterunku. Diurju, jak róża mleczna, stała z tyłu za matką, i wzrok smutny posyłała w stronę Walerego, również niewesoło jadącego obok swych przyjaciół europejczyków.

— Chyba już piękniejszej dziewczicy i w „dżenecie“ (raju) nie znajdziesz, co? — rzekł pasza do Abramowicza, skinawszy niepostrzeżenie w stronę Diurju—ożeń się z nią, „walla“ (dalipan).

— Gdybyś był łaskaw wpłynąć na jej ojca, to bym, choć stary, próbował szczęścia...

— Dobrze, dobrze; wydam rozkazy, aby ci dopomagano w twych szlachetnych zamiarach, cha! cha! cha!

Tymczasem jadący z tyłu Puk i Wacław żartowali z Walerego:

— Jesteś doprawdy, panie Walery, stworzony do polykania najsmaczniejszych serduszek, a przytem i najpiękniejszych — mówił Puk do Abrahamowskiego — tylko, żeby ci samego najprzód nie połknął twój zacny szef?!

— Zkąd to pan bierzesz? — zapytał Walery uważnie—dotąd jesteśmy z sobą wcale nieźle...

— Nie darmo mnie socyusz Wacław nazywa elfem: krążę więc i latam wszędzie naokoło; widziałem w tej oto chwili, jakie ukłony pannie Diurju oddawał, straszliwie rabarbarowe cienie, przemykające po napasionem obliczu cnego szefa waszego. Dali-bóg! miał minę, jakby was oboje połknąć chciał...

— Za twardy jestem, aby mnie mógł ugryźć, nie dopiero strawić...

Dalszą rozmowę przerwał wychodzący z boocznej uliczki doktor Duclos, z bukietem w ręce.

— Opatrzność widocznie mnie pchnęła w waszą stronę — wołał doktor, pukając wesoło swą łaską eskulapowską — nie wiedziałem komu w hołdzie złożyć mam te pachnące dary, którymi mnie obdarzyła dopiero co jedna z mych wielbicielek „comme de raison“ pacyentek...

— Obdarzcie nimi tryumfatora dnia obecne-go — wtrącił Puk.

— Ja też podobnie myślałem. A któż nim może być, jak nie nasz światły i zacny pan Walery, który wnosi tu do nas cywilizację razem z drogą wozową? — z temi słowy Duclos podał bukiet Waleremu. — Proszę hołd ten przyjąć nie odemnie jednego, ale i od Europy, ponieważ tu na każdym kroku przez tych „craicoquin'ów!...”

— Nie zasłużony, lecz szczęśliwy jestem tym razem, doktorze, że mnie obdarzasz tak rzadkimi kwiatami w Angorze — odpowiedział Walery, przyjmując bukiet — wiedz wszakże, iż jeszcze większą mi przyjemność sprawisz, gdy ten śliczny dar złożysz w ręce odpowiedniejsze od moich, grubych i zajętych. Zrób mi więc łaskę, oddaj twe kwiaty pannie Diurju, która właśnie teraz w oknie stoi.

Walery podniósł kwiaty do ust i do serca przycisnął zlekka, a potem zwrócił je doktorowi, który pogroziwszy mu, następnie zawrócił do domu Abrama-ogłu. Inżynier wtedy obrócił się do kobiet i zrobiwszy niski ukłon, klusem, pośpieszył za resztą towarzystwa, które już było daleko. Jadąc, nie zwracał uwagi na to, jak jego śladem biegł „kawas“ Abdulla-aga, chroniąc się w cieniu. Już za miastem, koło wodociągów dopadł „kawas“ komisarza Ibrahima, i idąc przy strzemieniu, pocichu recytował:

— Walery-effendi przez doktora posłał kwiaty do domu Abrahama-ogłu. Widziałem. jak doktor oddawał kwiaty dziewczynie „milet-wekila.“

— „Waj! waj!“ to bezwstyd!. W biały dzień, czy to słyszane? — szeptał komisarz, wodząc z obu-

zieniem wzrokiem po Walerym — zaraz o tem pomówię z nadinżynierem...

Właśnie, gdy komisarz, korzystając z przystanku do operowania narzędziem, dojeżdżał z jednej strony, z drugiej podjechali Puk z Wacławem i Walery. Nadinżynier kręcił dyoptrą nieruchomą i wizował nią na przedmiot, zamiast ją mieć ustawioną na podstawie operowania. Obaj przemysłowcy parsknęli głośno.

— „Goddam!“ a to mi dopiero majster od fuszerki — rzekł półgłosem Puk, zakrywając się muślinem od helmu — toż on nawet użycia tak pospolitego instrumentu nie rozumie?

— Przypomina mi on małpy — dodał Wacław również cicho — co to w buty stroją przednie ręce, a na tylne wkładają rękawiczki... Był on podobno forsysem oficera inżynierii w Austrii.

Tym razem sytuacji nie ratował nawet Hans chodzeniem do góry nogami, będąc mocno znużony popisami na mieście. Walery smutny odwrócił oczy w inną stronę, ażeby uniknąć widoku upokarzającego nieuctwa swego szefa. Jakby korzystając z tego, Ibrahim-effendi, skulony nad szefem inżynierem, opowiadał mu pocichu o całym zajściu z bukietem pod domem Abrama-ogłu. Z dziko iskrzącymi oczyma, z ustami szeroko namiętnie rozwartymi, z pochmurnem obliczem, spoglądał Abramowicz na swego pomocnika, tyłem do niego obróconego.

— „Tauszan!“ (zając) — naraz krzyknęto.

Pierwszy ruszył z kopyta pasza, a za nim pomknęły charty, wśród wesołego szczucia i wrzawy myśliwskiej. Puk i Wacław na swych „hunterach“ prześcignęli paszę i same charty; gonili zająca obok, nawołując psy, ale te, jak prawdziwie tureckie, zaraz się zatrzymały przy pierwszym płocie i wróciły napowrót do koni. Pasza śmiał się jak dziecko, wstydząc swe psy.

— Otóż to psie syny naprawdę — wołał, poka-

zuając ręką — wyprzedziłyby chyba Al-Rakima (psa, strzegącego 7 braci śpiących u Mahometanów), ale nie tego biedaka!

Wacław tymczasem, po kilku strzałach z rewolweru, zabił zająca, i ku niezmiernej ucieście walego-paszy, złożył mu go w darze, dowodząc, że tylko dzięki jego chartom niezrównanym mógł tego dokonać. Popis myśliwski niezmiernie podniósł w oczach urzędowego i nieurzędowego świata tureckiego przemysłowców angielskich. Ani takiego bowiem śmiałego i rączego biegu nie widzieli u siebie nigdy angorzanie, ani tak celnych strzałów i to pistoletowych z konia. Zapomniano też zupełnie o „marifetach“, sztuczkach drogowych, co znowuż niezmiernie drażniło szefa inżyniera, który zapewne dążąc do nastrajenia pojęć swych do ogółu tureckiego, rzekł do Walerego:

— Panie Abrahamowski! proszę pracę dalej prowadzić.

— Jedziemy, nie mierząc przestrzeni, nie oznaczając czasu, ani nawet stanowisk — odpowiedział Walery sucho — od czegożbym miał teraz zaczynać? Proszę mi to pozostawić samemu; jutro zrobię wszystko jak się należy.

— Wezwałem pana do roboty, ale nie do rozprawiania. Proszę zaraz zleźć z konia i stawać przy instrumencie!

— Pojmuję naukę jako rzecz seryo i żartów z niej nie myślę stroić, pomnąc zwłaszcza na to, że mam honor być i urzędnikiem w służbie sułtana.

— Milczeć! nic pan nie umiesz — i szef inżynier z rozplómięciem obliczem zwrócił się do konduktora Fedia Teodorakiego — Abramczuk! rób za niego.

Fed' nie dał sobie dwa razy powtarzać; stanął przy „sztrumencie“, jak sam instrument przezwiał, pokręcił nim w prawo i w lewo, patrząc przytem ciekawie na podziałkę.

— „A kilka tam bude“ — pytał Wacław Fedia — czy będzie choć z „piw kopy?!”

— Oczy mnie bolą — odpowiedział Fed', wysszczercząc białe zęby — a może pan powiedzą „kiło“, che?

— Zabierajcie-no lepiej „sztrument“ na kark i śpieszcie do rydli, panie „miziniere“, bo szkoda byłoby, ażeby nam ci tam fuszerzy popsuli i poprzewalali potrawy.

— Ano, prawdę pan mówią; ale bo to już my tutaj tylko dla „onoru“ stali. Biegnę teraz do roboty...

Abramczuk wślad za tem kazał zabrać trójnog z instrumentem Hansowi, a sam pośpieszył ku zielonej łączce, która świeciła uprzejmie o parę stająń dalej wśród nagich skał i opok szarego koloru, pokrytych żółtawą roślinnością, jakby z flaneli powystrzyganą. Pasło się tu stado kóz angorskich całkiem białych, które świeżo postrzyżone, arcy-komicznie wyglądały; w sam środek ich wpadły charty, ale zaraz uciekły, gdy do nich żwawo posunęły kozły z nastawionymi rogami.

— Czy uważasz to, idealisto skoncentrowany — rzekł Puk do Wacława — że tutejsze zwierzęta domowe są dziwnie łagodne, wytrzymałe w pracy i nadzwyczaj umiarkowane w pokarmie; czy też przypadkiem nie zesłało ich tu samo niebo, aby służyły za wzór dla tutejszych ludzi, nie posiadających żadnej z tych cnót?!

— Warto o tem napisać do którego z naszych dzienników — odpowiedział zapytany — na to, aby się raczej zwracały do tutejszego bydła z myślami zorganizowania braterstwa międzynarodowego, niż do kochanych krajowców i niekrajowców Wschodu...

— Zkąd ten pesymizm? Warto o nim na początku wycieczki zapomnieć.

— Trudno zapomnieć. Proszę spojrzeć w stro-

nę Walerego. Podśluchałem rozmowę jego z brutalnym szefem, szarlatanem zuchwałym, który całkiem karierę mu gotów zwichnąć. Brat Słowianin zindyczał...

— Alboż to my jej wyprostować nie zdołamy? Braterstwo z indykami niebezpieczne, bo może wprost do rądra, czy na rożen zaprowadzić...

Rozmawiający spółnicy wkrótce stanęli przed zielonym okrągłym namiotem, z posłaniami przed nim dywanem i ogniskiem z tyłu, przy którym bez surduta, z fartuchem przypiętym, krzątał się konduktor Abramczuk, wtajemniczony w sztukę kucharską przez swego szefa, niezaprzeczonego arystokratę żołądkowego, z owej dobrej starej daty, kiedy to i u nas jeszcze „popuszczano pasa”... Zsiadłszy z konia, szef inżynier, z niziutkim ukłonem prosił „walego”, by raczył odpocząć chwileczkę, a przy tem obejrzał pokłady węgla, wyglądające naokoło.

Zlaziłszy z konia, pasza szybko obejrzał odgrzebany po wierzchu węgiel, przyczem rzucił pytanie o jego pochodzeniu kosmicznem. Nie trafiały mu do przekonania hipotezy „frenckie”, kręcił głową i uśmiechał się podług zwyczaju.

— Padyszach, oby zwyciężał, a ty „dewlotlii-hazar-effendim” (ekscelencyo panie nasz), rządz nami zawsze! — rzekł Ibrahima-effendi, kłaniając się nisko — według nauki prawowiernej, kamienie te pochodzą od tych, którymi ciskają „meleki” (aniołowie) w stanie rozżarzonym u „dżinów” (złych geniuszów), gdy ci usiłują podsłuchiwać sprawy ziemskie.

— „Uff! uff!” (wykrzyknik podziwu) co nauka, to nauka — zauważył Hüsnibej, pobudzając młodsze pokolenie do śmiechu, obecne w otoczeniu paszy.

— Bezwstydnik! farmazon! — szemrali staro-wiercy.

— Co to znaczy mocna wiara?! — rzekł Puk do Wacława — i czy dziwić się potem, że co jest

porządniejszych i rozumniejszych ludzi, wszyscy wolą iść do piekła nauki niż do ich raju!

Nie bawiono się dłużej w naukowe dochodzenia, wrócono pod namiot, pasza zasiadł na poduszce, pod otwartymi połami namiotu, a na dywanie, w koło, reszta wyprawy drogowej. Zatwierdzenie teraz drogi nie podległo niby najmniejszej wątpliwości. Radość była powszechną. Przystąpiono zresztą i do esencyonalnej części wyprawy „naukowej”, mianowicie do uczy, czyli t. z. „dżiumbieszu”.

Za paszą stanął jego podczaszy, czarny niewolnik abisyński z trzema kresami bladymi, wypalonymi na policzku, i na klęczkach podał tacę z ulubioną „mastyką” (wódka z mastyką). Na tajemniczy znak Abramowicza, konduktor Fed’ pośpieszył do namiotu i przyklęknąwszy sam obok niewolnika, ofiarował na tacy: puszkę sardynek otwartą, kawior, ser szwajcarski, pikle i pasztet strasburski. Aż się oczy zaświeciły Hamdi-paszy na widok łakoci, które znalazł doskonałe, ale nie śmiał u siebie zaprowadzać przez wzgląd na zwyczaj potraw i przekąsek, uprzywilejowanych po wszystkich haremach tureckich, za-wiadujących wyłącznie kuchnią. Po wykosztowaniu wszystkiego, gdy Abramczuk wrócił do kuchni, pasza skinał na Ibrahima-effendiego, który z nabożeństwem uklęknąwszy obok naczelnika kraju, westchnął głęboko jak... niedźwiedź zakochany do księżycy...

— Jakże pomiar wypadł? — pytał pasza po cichu.

— Obyś rządził nami zawsze! tcs! tcs! takiego „piłano” (planu) nigdy jeszcze nie widywano... Czysty, czyścisci jak złoto!...

— Patrzno? To zapewne nadinżynier sam go wykonał?

— Samiutki, sam: nikt mu nie pomagał, chyba jeden konduktor Teodoraki...

— A jakże z pomocnikiem inżynierem, z Walerym-effendim; pokazałże on, czy umie cośkol-

wiek? Pieniądzy rządowych marnować nie można na próżno.

— „Uderzyłeś mnie w palce“, panie mego pana, połkam częśćkę twego myślenia: pieniędzy rządowych istotnie darmo dawać nie wypada. Pokazało się prócz tego, że Walery-effendi nietylko nic nie umie, ale jest i zuchwały względem swego zwierznika, oraz wysoce nieobyczajny...

— „Aman!“ być-że to może, synu?

Nastąpiła teraz spowiedź komisarza, w której odkrywał przed paszą wszystkie domniemane zbrodnie Walerego, ze szczególniejszym naciskiem na krzyżącą sprosność posłania jawnie bukietu Diurju. Pasza przestał żuć pasztet, wypił raz po raz dwa kieliszki „mastyki“, i grabnął ręką po powietrzu, nawołując Walerego do siebie.

— Bardzo pięknie wykonywasz, mosju inżynierze, swą powinność — rzekł pasza do Walerego — moim obowiązkiem będzie należycie się ci za to wywdzięczyć... Idź sobie!...

Znając zwyczaje urzędowe Turków, Walery był pewny, że już utracił posadę. Postanowił też z godnością ustąpić z placu.

— Nie zasłużyłem na podziękowanie — odpowiedział sucho gubernatorowi — bo dzisiaj nic tu zrobionego nie było, coby z zawodem inżynierskim miało jakąś styczność.

— Bardzo pięknie, bardzo ładnie. „Adju!“

Z największą obojętnością na zewnątrz, po odnieniu lekkiego ukłonu, Walery poszedł do swych przyjaciół, by im zwiastować, co go spotkało. Puk zaczął kpinkować, a Hüsnî-bej upewniać, że podobni głupcy, jak obecna władza, nikomu zaszkodzić nie może, choćby chciała. Pasza, acz nie ustawał w dolewaniu sobie trunku, instynktem przeczuwał, że Frenzy kpić muszą z niego niezawodnie.

— A toż on Garibaldzista, a więc pewno i anar-

chista? — pytał dalej Ibrahima-effendiego, ciągle klęczącego obok niego.

— Rozum twój, paszo-sultanie, najskrytsze rzeczy umie odgadywać...

Zamiast dalej rozpytywać, pasza grabnął ręką w stronę Abramowicza, który, podbiegłszy, przykleknął wnet obok komisarza.

— Widzę, beju nadinżynierze, że nie masz dostatecznej pomocy — rzekł pasza pocichu, ciężko już w gębę obracając językiem — twój pomocnik nic pono nie umie?...

— Robię za siebie i za niego jak mogę — odpowiedział Abramowicz, przyciskając rękę do serca.

— Wiem o tem bardzo dobrze, ale czy nie byłby dla ciebie stosowniejszy na pomocnika Teodoraki-effendi?

— Ten przynajmniej o tyle dobry, że posłuszny i chętny do roboty...

— Dobrze, bardzo dobrze; ja pensy darmo wypłacać nikomu nie pozwolę. No, a teraz powiedz temu twemu drugiemu inżynierowi, aby wystąpił ze sztukami, których jestem wielkim wielbicielem.

Spiesząc wykonać życzenia paszy, Abramowicz, mijając Abrama-ogłu, szepnął mu na ucho:

— Wali-pasza nie chce mieć w służbie Walerego-effendiego...

Wieść ta wywarła nieokreślone wrażenie na umyśle patryarchy, i chyba tylko mocne potarcie nosa tukaniego mogło dać jakąś wskazówkę, że jest ono raczej przyjemnej niż przykrej natury. Świst przeraźliwy dał tymczasem znać, że artysta cyrkowy, zrzucawszy pychę inżynierską z serca, rozpoczyna właściwą swą rolę. Pod huk tarabana i świst piszczałki Herr Hans rozpoczął produkcję, naśladując rozmaite zwierzęta domowe przy beczeniu, rzeniu, kwiczeniu i kukurykaniu, co pobudzało wszystkich do szalonego śmiechu. Po nim wystąpili „kióczeki“, tancerze, chłopaki za dziewczęta przebrani. Na wie-

czyżże zaś, jak przystało na „dziumbiusz“, było i „kuzudolmały“, pieczone jagnię nadziewane, i całe morze trunków, od których większość towarzystwa leżała bezwładna na ziemi, słodko belkocząc językami do wesoło iskrzących się gwiazdek na jasnym niebie...

— Byłoby to jednak arcydowcipnie — rzekł Puk do Wacława — gdybyśmy za nasze dobre pieniądze podejmowali tych, co nam właśnie wszystkie szyki popsują...

— Alboż to mój ser elfie inaczej się dzieje na świecie? — odpowiedział Wacław. — Któż widział kiedy, żeby ludzie za ucztę czem innem płacili gospodarzom, jak nie wyśmiewaniem lub szkodami?! *Dura lex, sed lex...*

Noc zapadła, trzeba było wracać do miasta. Elegancki Hamdi-pasza pozwolił sobie tymczasem tak, że nie było innego ratunku, jak, wsadziwszy go na konia, niby trupa Cyda Campeadora, dzierżąc pod pachy, wprowadzić do śpiącej Angory. Kolumna wyciągnęła i już kawał drogi uszła, gdy do Abrama-ogłu podjechał Ibrahim-effendi i szepnął mu na ucho:

— Szczęśliwy człowieku! wali-pasza radzi ci, żebyś córkę swą, Diurju, wydał za Abramowiczabeja, i zrobi go jeszcze większym...

— Och! och! i ja też tego pragnę. Niech mi tylko pomoże...

III.

Zarówno ludzi pojedynczych, jak i narody, najlepiej rekomendują ich mieszkania. Nie bogactwo wszakże stanowi tu skalę oceny, ale schludność i porządek, jakie w nich panują. Porównajmy, dajmy na to, jakie pudło pałacowe, bardzo kosztowne, a obok niego ubogi dworek wiejski: drzewo zielone, kwiat piękny, wyszorowana czysto podłoga, narzędzia mo-

cne i wygodne, czyż nie najwłaściwsze od razu dać świadectwo o ich mieszkańcach?

W dużej, słonecznej izbie, na dole mieszkania Abrama-ogłu, przy krośnach tkackich, zajęta tkaniem dywanu, siedziała Diurju, uderzając silnie grzebieniem i puszczając żwawo czółenka z kolorowymi włóczkami. Twarzyczka jej jasna jak to słońce, co świeciło w okno zakratowane, okazywała wielkie zajęcie pracą, acz niekiedy smutku chmurka po niej przeciągnęła raptownie. Po obydwóch jej bokach siedziało na ziemi, na dywanach, młodsze rodzeństwo z książkami, i według systemu Lankastra, krzychało, co wlaźło, aż w uszach dzwoniło. Prócz braci i sióstr, było tu i kilkoro krewniaków, chętnych do nauki. Odbywali naukę języka francuskiego, najglówniejszej podstawy wykształcenia i kwalifikacyi naukowej na Wschodzie, podobnie jak się to działo i u nas w epoce przejściowej od kozuchowego patryarchalizmu do uświadomionej oświaty nowoczesnej.

— Źle wymawiasz — poprawiała Diurju malca najdalszego — nie „bon“, lecz wymawiaj *bą* — następnie zwróciła się do dziewczynki środkowej — a ty nie krzycz tak głośno, bo gotowaś zachrypnąć.

Kolej przychodziła w tkaniu na seledynową włóczkę.

— „Aman!“ co za śliczna włóczka — wykrzyknęła środkowa dziewczynka — dasz mi jej kawałek, Diurju?

— Nie dam, gdy przerywać będziesz lekcję — następnie Diurju poprawiała malca najdalszego: — czytajże wyraźnie: „un bon père, une bonne mère“ — i nagle tkać przestała, wzięła cienki pręcik i zlekka uderzyła nim po ręce jednego z chłopaków — a ty po co palce wypychasz do gęby? Nie potrzebna ci widać „hałwa“, skoro one takie słodkie?...

Dzieci się zaśmiały.

— Cicho! czytać uważnie — wołała nauczycielka, miarowo stukocząc krośnami.

— Patrz! patrz, Diurju! — wołała dziewczynka środkowa — robak spadł na podłogę.

— Idź połóż go znów na półkę, tylko na całym świeżym liście.

Dziewczynka skoczyła na nogi i podbiegłszy do ściany, podjęła z podłogi dużego jedwabnika, który właśnie co spadł z półki, usłanej liśćmi morwowymi. Izba ta była właściwie wylęgarnią jedwabników, oddanych pod nadzór Diurju i dzieci; półki szły tu od dołu do góry i były wysłane liśćmi, objadanymi żarłocznie przez robaki drogocenne.

— Już tężeje — wołała dziewczynka z robakiem w ręce.

— Nie marudź mi tylko tam napróżno! — wołała tkaczka-nauczycielka — połóż go dalej od brzegu, bo się chce już zawijać — i tu nagle zwróciła się do chłopca, co ssał był palce i obecnie przestał czytać, gawroniąc się na jedwabnika: — a to może i ty chcesz, jak on, zasnąć? Czytaj mi zaraz, bo z twego próżnowania jedwabiu nie będzie...

Dzieci się znów zaśmiały, poczem jeszcze głośniejszej recytować zaczęły. Zlane z głosami uczniów: stukania, zgrzyty, szelesty tkackie, stanowiły dziwną jakąś harmonię, pełną ruchu i inteligencji. Pracowitość ta skomplikowana płynęła żwawo w czasie jak złota rybka w kryształowym naczyniu za haczykiem magnesowym w ręku piastunki, nie nużąc wcale umysłów dziecińczych. Światło nauki mieszało się tu wesoło z blaskiem słonecznym, odbitym w ślicznej postaci pracowitej i dowcipnej nauczycielki. Duch dziewczycy czystej i rozumnej snuł z siebie nić uroczą, zdolną do wytkania ideałów słonecznych, pełnych życia, prawdy, piękna i dobroci rozumnej, bez słabości.

Chwilami Diurju wyglądała jak tkaczka niebieska, wyrabiająca watek życia ludzkiego. Przeczucie błyskawicą oświeślało jej twarzyczkę różaną, a oczy fiołkowe mierzchły. — Gdzie jest teraz? — szeptało serce, uderzając niespokojnie.

Różek kotary odedrzwi się uchylił, biały kot puszysty głowę wetknął i miauknął pieszczotliwie.

— Kic! kic! kic! — wołać zaczęły dzieci, przerywając swe głośnie czytanie.

Ogromny kot angorski wszedł powolutku, wywijając ogonem i pomiaukując, wskoczył na kolana Diurju; schwycił parę razy włóczkę członka tkackiego, umył pyszczek puszysty, ułożył się i zaczął pacierz swój odmawiać z przymrożonemi ślepiami.

Gwar zatrudnienia domowego, jak turkot koła młyńskiego, ożywał dokoła prozopopeję szczęścia cichego, tyleż naprawdę w sobie mającego uroku, co dajmy na to, widok: marchwi, bobu wytrzeszczatego, maku w kwiecie na grzędach... Piękno atoli, jak to rzekliśmy na wstępie, nie w formie, lecz w duchu naszym spoczywa. Widok zatrudnienia, seryo podejmowanego przez dziewicę poważną, nadawał mu niejako połysk brylantowy z nutą koncertową melodii nadziemskiej... Poezya prozę tu usunęła na chwilę.

Spory kawał dywanu już zwinięty został na wałku tkackim, uczniowie i uczennice jakoś coraz powolniej recytowali swą „gramerę”. W oknie roztwarzało się, za kratami, nagle furkotać i łopotać zaczęło.

— Gołębie! gołębie! — krzyknęły chórem dzieci, wskakując z podłogi i składając wesoło swe książki.

Były to istotnie ptaki miłości, faworytalne stworzenia Diurju, które punktualnie w południe przylatywały do okna po pokarm i jednocześnie zwiastowały dzieciom wesołą nowinę końca lekcji. Po zadaniu lekcji następnej dzieci dostawały każde, stosownie do swej pilności i grzeczności, bądź orzechów, bądź „łokumu” kostkę, bądź nieco hałwy lub gruszek. Nie zapomniała też nauczycielka i o kawałku włóczki saledynowej dla swej siostrzyczki. Obdarzona dziatwa, wycalowałwszy swą śliczną nauczycielkę, rojnie i gwarnie uciekała z pracowni, podczas gdy Diurju, nabrawszy „nohutu”, delikatnego graniastego

grochu, ryżu, pszenicy, częstować zaczęła swe faworyty skrzydlate, które na poczekaniu drepcąc gruchały. Poczęstunek gołębi wrzawę i ćwierkanie zawzięte wywołał u wróbli, które na daszku od muru skakały niecierpliwie, kiwając ogonkami.

Pogoda atoli i spokój karmicielki ptactwa chwilami macone były jakimiś przecuciami, jak i podczas lekcji; widać to było po cieniach błyskawic przelatujących po jej alabastrowej twarzyczce, żyłkami błękitnymi poznaczonej. Oko jej błyskające niekiedy iskrami ametystu, chwilowo się powlekalo ołowianą pomroką. Doszły bowiem już jej ucha zamiary merkantylne ojca co do zamążpójścia, i to mąciło spokój tej czystej duszyczki. Zamyślenie, jak sęp ponury, unosiło się nad tem czołem tak niby pogodnem.

Gołębie naraz frunęły, świszcząc skrzydłami. Z boku, w oknie, wysunęła się głowa kudłata w kołpaku spiczastym derwisza „kalendera”. Na twarzy bladej, dziwnie wyniszczonej, okolonej czarnym kędzierzawym zarostem, widać było jakiś niepokój życzliwy i chęć zachowania tajemnicy. Derwisz, zrobiwszy „téméné”, w tył się obejrzał uważnie.

— Spójrz na mnie, dziewico—szepnął derwisz—powiedz Waleremu effendiemu, żeby się nie narażał na próżno, bo „wróg, co grozi życiu”, czyha na niego...

— Zkąd o tem, Kuzgunie-derwiszu, wiesz? — pytała Diurju zaniepokojona.

— Ziele mi najprzód powiedziało, resztę zaś dopowiedział czarny podczaszy „walego”, co zawsze w swej pobożnej gorliwości nie zapomina o mem gardle... Słyszysz! zło knują przeciwko niemu, niechże się hamuje...

Rzekłszy to, jak się tajemniczo zjawiał, również niepostrzeżenie zniknął kudłaty derwisz, znany całemu miastu z nalogu palenia opium i ciągłych hulałyk z birbantami. Pomimo wszakże swego szkara-

dnego nalogu, derwisz Kuzgun miał niezwykle mił tak u spółwierców, jak i chrześcian, z powodu nadzwyczajnej prawdomówności i gryzącego dowcipu, którymi częstokroć chłostał silnych tego świata. Był też lubiony i podziwiany za swą szczególną zdolność tłómaczenia snów i odgadywania przyszłości; uważano go przeto za wróża pierwszorzędnego.

Diurju z przesadną trwogą spoglądała za uchodzącym derwiszem, po którym w powietrzu została leciuchna smużka dymu z fajki, którą palił na sążniowym cybuchu, chodząc po ulicach, jak przystało na prawdziwego „kalendera”. Rój złowróżbnych myśli nietoperzem skrzydłem wionął na jej sposepniąłą twarzyczkę.

— Matka woła! — krzyknęła mała siostrzyczka z pod kotary — czeka na cię w kuchni.

Otrząsnawszy się z przykrego wrażenia, Diurju przypięła białe fartuch na swą czarną sukienkę jedwabną i pośpieszyła wyjść z izby, rzuciwszy po drodze kilka garści świeżych liści jedwabnikom. Obok wylegarni i pracowni, przy wyjściu na dziedziniec, była kuchnia, pośrodku której gospodarowało kilka kobiet, a na boku matka Katarina coś siekała; koło niej stała Maryam.

— A pomóż-że ty nam, światło mych oczu, sporządzić ten auszpik—wołała matka na Diurju, do kuchni wchodzącą—ja za nic sobie rady z nim dać nie mogę.

— Będzie chyba król obcy? — zapytała Diurju, zakasując rękawy.

— Ktoś, co cię mocno obchodzić powinien — wtrąciła Marjam z przyciskiem.

— Będzie bej Abramowicz—odpowiedziała matka smutnie—bieda tylko z tymi uczonymi, bo są tak delikatni, jakby bawełniana „hałwa,” waj, waj! On to nauczył nas tę dziwną potrawę sporządzać.

Reszta kobiet zaśmiała się na porównanie gospodyni, kochanej przez wszystkie, które bądź węzeł

bliższego pokrewieństwa, bądź patryarchalnego stosunku z nią wiązał. Diurju też się uśmiechnęła.

— Dobrześ, duszko-matko, porównała — rzekła Diurju — uczeni ludzie po większej części bywają, jeżeli nie zbyt cikliwi, to zbyt wymagający od zwykłych ludzi.

— Zbyt ostre sądy wydajesz — wtrąciła Marjam wyniośle — ty, duszko-baranku, żadnego szacunku dla wielkich ludzi nie masz.

— Nie sądzę; bo ja to mówiłam, stosując głównie do tych, którzy mają połowiczną naukę, lub są nieukami, a udają uczonych...

— No, to co innego! — objaśniała matka, widocznie rada, że mogła ukochanej córce przyjść z pomocą.

— Cieszy mnie to bardzo, coś rzekła — podchwyciła Marjam ironicznie — bo przecież raz objawiłaś głośno twe zdanie o Abramowiczu beju i jego towarzyszach.

— Wcale go nie miałam na myśli, robiąc wyjątki; bo ci inżynierowie wcale nie są uczonymi, prócz jednego.

— A któż to ten jeden?

— Któżby miał być, jak nie Walery-effendi? — i purpura oblała oblicze Diurju — on jeden skończył szkołę w Paryżu.

— „Aman,“ duszko - siostró, możnaż być tak uprzedzoną, a przy tem i tak nieświadomą rzeczy? Niktże ci jeszcze nie doniósł, że Walery-effendi nic nie umiał zrobić podczas zwiedzania drogi do kopalni?

— Powiem ci, duszko Marjam, że ty masz za dużo zółci w sercu — wtrąciła matka — po co ty jej mówisz takie rzeczy, małoż ona ma zmartwień?

— Ależ bo ja to mówię — odpowiedziała Marjam, sznurując ustami — dlatego, żeby sobie przypomniła, kogo to nasz ojciec szanuje naprawdę? No, a gdzie to pisane, jak nie w Piśmie św., że obok ojca i wszelką starość szanować wypada?!

— Masz słuszość — odpowiedziała Diurju ostro — ale wtedy, gdy się ta starość nie wypiera siebie samej, roszcząc jakieś prawa do młodości...

Kobiety się znów zaśmiały, a Marjam gniewna zaczęła zawzięcie mieszkaniem ogień na żarowni rozdmuchiwać.

Weszła do kuchni nowa postać. Wielce podobna do Katariny, tylko starsza i całkiem błada; nosiła na sobie strój „marhabetek“, beginek służebnych u Ormian katolików. Każda bowiem u nich stara panna prawie zawsze taką zakonnicą zostaje, pełniąc najuczciwsiwszą i najprzykrzejszą posługę za wszystkich w rodzinie. „Marhabetką“ obecną była starsza siostra Katariny, Anna, najukochańsza ciotka Diurju.

— „Ałlach Baba“ (Bóg Ojciec) powołuje na swój sąd — rzekła „marhabetka“ głosem uroczystie smutnym — biedną matkę Onika. Wszyscy swoi, podług zwyczaju, już ją odbiegli; nasza kolej przyszła dopilnować jej ostatnich chwil. Siostró Katarino, przyszedł po Diurju, żeby szła ze mną do konającej.

— Dobrze, duszko-siostró, ale niech najprzód choć obiad zje — odpowiedziała pokornie Katarina.

— Konanie już się rozpoczęło, niema chwili do stracenia.

— Ja, duszko-matko, wcale nie głodna — zawołała Diurju. — Pozwól-że mi iść, bo i twój auszpik już przyrządziłam. Ciotko Anno, a może zabrać z sobą gromnice; czy ksiądz wezwany?

— Już się wypowiadała, tylko Olejami śś. nie została namaszczoną. Musimy posłać kogo po „marhabeta.“

— Ależ kiedy nikogo niema w domu — rzekła Katarina żywo zajęta — chyba sama pobiegnę? Idźcie, idźcie! ja go tam do was przyprowadzę.

Podczas, gdy ponura „marhabetka“ z jaśniejącą niby gwiazdą Diurju odchodziła w jedną stronę, Katarina, zarzuciwszy „czarcza“ na siebie, pośpieszyła na ulicę, poruczając dozór nad kuchnią Marjam,

okropnie przerażonej wieścią o konaniu dalekiej krewniaczki, jaką była dla niej matka Onika, gospodarza domu, w którym mieszkali Walery i Wacław z Pukiem.

Śmierć swoje zrobiła. Nędza żywota powszedniego pierzchnęła, wywierając przed okiem tych prozaicznych istot podwoje tajemniczej przyszłości wiekuistej. Przed wyemancypowaną na chwilę kobietą, zanurzoną w drobiazgach i próżności powszedniej, stawał ów spokój wiekuisty żywota zagrobowego, jak najprawdziwsze zjawisko, obliczone na miliardy miliardów czasów, bez miary i końca, które unicestwia wszelkie sobkowskie, a więc maluczkie uczucia, i unosi na wyżyny, gubiąc samą bryłę ziemi z przed oczu. Najsrozsza dzikość i zawziętość, obluda i zazdrość, wszelka wielkość sobkowska — gasną wobec majestatu śmierci, jak świeczka łojowa wobec błyskawicy piorunowej. W kuchni też cisza zapanowała głęboka.

Diurju i Anna tymczasem mocno zapukały do drzwi wchodowych domu konającej. Nikt im ich atoli nie otwierał. Ponowiły pukanie raz i drugi z wielką gwałtownością. Otwarto im zresztą, przy czem Diurju wydała lekki wykrzyknik i wyciągnęła rękę.

— Dziękujemy ślicznie panu Waleremu za tę przysługę — rzekła Diurju do Walerego, który właśnie otworzył drzwi — przepraszamy bardzo, że go naraziliśmy na fatygę.

— Spełniłem najmiłszy obowiązek dla każdego chrześcianina — odpowiedział Walery, ściskając z miłością rękę kochanki — nietylko domownicy, ale i służba nasza gdzieś się porozbiegała.

— Zanadto się kochają w życiu — zauważyła Anna surowo — straszną zaprawdę będzie godzina dla tych, co tak śmierci widoku unikają. Dobrze, żeśmy cię, effendi, spotkały; zanim ksiądz nadejdzie, zechciej nam pomódz w odprawianiu modłów przy

konającej w języku ormiańskim, bo my, prócz турецkich naszych pospolitych, żadnych innych nie umiemy.

— Chętnie, siostrzo zakonna; pójdę tylko do siebie zabrać książkę do nabożeństwa.

Gdy Walery śpieszył na górę, kobiety weszły na parter, do izby kuchennej, gdzie konającą złożyło. Przed podniesieniem kotary, wszędzie tu drzwi zastępującej, Anna, przystanawszy, rzekła do sióstrzenicy:

— Chciałam sama się przekonać, czy on jest nieprzyjacielem naszej wiary? Widzę tymczasem, że choć garybaldczyk, ale duszę ma boską, jak u każdego innego katolika.

— Ależ zkad przyszło ci, duszko-ciotko, tak o nim sądzić? Za co go podejrywałaś, kiedy w nim bije serce najszlachetniejsze, a wiara jego o całe niebo jest wyższą, niż wszystkich tych, co go śmia posądzać o niedowiarstwo! Że ktoś kogoś nie rozumie, to żaden dowód wyższości; najtrudniejsze rzeczy bywają zwykle i najprawdziwsze, a iluż to jest zdolnych do ich pojęcia? Mijają częstokroć całe wieki, zanim jednego takiego wielkiego myśliciela ludzie zrozumieć potrafią.

— Dobrześ powiedziała; ileż to wieków minęło, zanim naukę Zbawiciela ludzkość pojąć zdołała? A czyż ją rozumieją i dziś, chociażby ci, którzy, jak tu, konającym ostatniej posługi odmawiają?

Surowa stróżka zakonu Bożego kotarę podniosła, i choć ją zaduch straszny ogarnął, szła nieustraszoną do łoża konającej, której rżenia w piersiach i chrapanie straszliwe witały w progu gości ostatnich na ziemi. Sypiąc ametystowe iskry z wilgotnych oczu, Diurju, jak słoneczne zjawisko wobec nocy wstrętnej, śmiało kroczyła za ciotką. Westalka chrześcian, zakonnica, wnet pozapalała gromnice, przyniesione z sobą.

Z płonącym światłem w ręce wymówiła głośno

imię Boga, przyklękając. Ostatnie błyski świadomości snadź zaświeciły w duszy konającej i dozwoliły zmysłom nakazać ciału zachowanie się przyzwoitsze, chociażby na chwilę; podskoki też, robienie bokami i głosy dzikie złagodniały. Silnym głosem odmawiana modlitwa ułatwiała duchowi konającej oderwanie się od ciała, na mocy przyzwyczajenia za życia, uciekania od niego w chwilach rozmowy z Bóstwem, przed którego majestatem cała wartość jego nikła, nabierała pochopu do utonięcia w powodzi światła wiekuistego, jak zgrzany na śmierć podróżnik, rzucający się w fale niezgłębionego oceanu. Wobec głosu modłów groza i odraza śmierci niknęły. Nie przerażał i nie odpychał je widok pożółkłego ciała staruszeki, potem śmiertelnym zlanego, z nieruchomymi białkami oczu, ze skłaczonymi siwymi kosmykami warkocza, przylepionego do skroni zmęczonych, ani rozwarte usta śliniace. Cud Słowa stawał tu widocznie.

Poprawiwszy posłanie konającej, rozłożone na ceglanej podłodze, obcierając twarz z potu, stróżki ostatniej godziny wkładały zapaloną gromnicę w skostniałą już zimną jej dłoń. Rzęzenie i chrapanie ze świstem znów się odezwały. Gałki oczu konającej ronili łzy i jakby usiłowały spojrzeć na Diurju, której srebrny głos nie ustawał w odmawianiu modlitwy.

Po cichu, na palcach, wszedł Walery i odrazu zarzucił kotarę ode drzwi, wpuszczając świeże powietrze do izby kuchennej. Przyklękawszy obok Diurju, czystym swym głosem zaczął odczytywać po ormiańsku modlitwę za konających. Dźwięk modlitwy w narzeczu staroormiańskim, podobnem do „pehlew”, w którym Zenda Awesta napisana, a przypominającą eufonią kołatkę, zastępującą dzwony u chrześcian tureckich—wywierało, pomimo swe ubóstwo dźwiękowe, nadzwyczaj uspokajający wpływ na konającą, więcej, niż poprzednie, po turecku odmó-

wione modlitwy. Wiekuiste prawo sympatii, ubrane w ciało narodowości, aby mu szerszą podstawę nadać, dawało moc cudowną zmysłom zamierającym do popychania ducha na najwłaściwsze tory, po których wnet trafi do rodziny nadziemskiej, bytującej razem w przestrzeniach wszechświata, jako konstelacja duchowa samodzielna. Symbolika pokrewnej mowy ustawiała drogowskazy w wieczności, jak ogniście słupy Mojżesza w wędrówce Izraela na wygnaniu po pustyni bezpłodnej. Dźwięk tu języka ma tę samą właściwość, co ciągłość kropli źródlanej, przebiegającej tysiące mil, aby stosownie do prawa fizycznego powrócić do rodzinnego łoża wody, oceanu. Słowo dalej robiło swe cuda, a spokój wiekuisty osiadał na twarzy konającej, i odpędziło trwogę, ośmielając duszę iść w przestrzeń oceanu ducha, w strefy rodzinne ojców i praojców narodu. Skonała.

— Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie!—zaintonował po ormiańsku Walery głosem uroczystym.

Zaledwo słowa te sakramentalne wymówiono, wsunęła się głowa w fezie, przerażająco blada i z trwogą zapytała:

— Czy już skonała?

— Matka twa, Oniku, odeszła w lepsze światy—odpowiedziała siostra Anna uroczyście. — Idź do grabarza i do księży. Powiedz też siostrze, aby przygotowały całun i odzież pośmiertną. Przyjdę po nie zaraz.

— „Waj, waj, waj, aman!“ opuściłaś nas rodzicielko miła—zawył chlipiąc Onik, i nie wchodząc do izby, pośpieszył spełnić rozkazy siostry Anny.

Niebawem dom był pełen ruchu owego, który zmiękcza najzatwardziały serca i otwiera upusty hojności zbytowej dla duchowieństwa.

Diurju pomagała ciotce przy ubieraniu trupa, który od upału natychmiast pęcznieć obrzydliwie za-

czął, a jeden z policzków nabrzmiał, jakby od najmocniejszej fluksyi.

Siostra Anna wyszła po dekoracje kościelne; Diurju z Walerym sami zostali na dziedzińcu, pilnując ciała. Widowisko, przytłaczające zmysłowość, nie zdołało jednak osłabić wyższej sympatyi, co ich duse węzłem nierozzerwalnym łączyła.

— Przestała biedaczka cierpieć — szepnęła Diurju, ocierając łzy z oczu — była zawsze niezmiernie uczeszoną, ile razy ją w chorobie odwiedzałam.

— Czuła widocznie, że stawał przy niej anioł pocieszyciel—odpowiedział Walery czule.

— Przy ciepłym trupie komplementy nie są na miejscu.

— Alboż to każdej chwili istnienia ziemskiego ludzkość nie ma jednocześnie: zgonów, narodzin, mordów i wyznań miłości, ślubów i bezecnych orgij, wojny i pokoju, walki o wolność i o podłacą niewolę? Walka ducha z materią, dobrego ze złem — tworzy księgi miliardowej objętości, zapisane chrypieniem przedśmiertnem i kwileniem noworodka, krzykiem rozpacz i śpiewem rozkoszy, złorzeczeniem przekleństwa i pocałunkiem miłości anielskiej... Rozum i uczucie podają sobie wzajem dłonie do tem łatwiejszego przebycia tej drogi krańcowości. W tragedję ludzkości estetyka piękna wiekuistego wplotła i kwiat symboliczny małżeństwa, jako broń najskuteczniejszą w tej walce straszliwej, zwanej życiem powszedniem jednostek, a śmiercią zakończoną.

Skłonność filozofowania u Abrahamowskiego, nabyta ze szkoły niemieckiej, pochodziła z czytania Kremera i Libelta, tak sprzecznych z panującymi dziś teoriami.

— Mówisz pan, jak uczony, lecz nie jak chrześcianin—szepnęła Diurju rozrzewniona — zawsze to jednak prześliczne.

Płomień u jednej z gromnic przy trupie za-

chwiał się od przeciągu, trzeszczał, puknął i zgasł raptownie. Diurju pobladła.

— Nieostrożnie mówimy o rzeczach, które nie powinny być wymieniane przy podobnych okolicznościach—rzekła pocichu—czy nam to czego niedobrego nie wróży? Był u mnie zrana Kuzgun-derwisz i kazał ostrzedz pana przed knowaniami złych ludzi.

— Ostrzegł po niewczasie, bo już mnie to zło spotkało, dostałem niespodzianie dymisyę z ministerium, i to drogą telegraficzną. Widocznie komuś na pospiechu zależało, ale mnie to bardzo mało obchodzi, gdyż od tygodnia sam miałem zamiar to uczynić, znalazłszy daleko zyskowniejsze zatrudnienie u mych przyjaciół Wacława i Puka przy skupywaniu „tiftiku“, a następnie przy kopalni, w jakim to celu będę musiał odbyć teraz małą podróż do Anglii.

— O! ja się domyślam, kto panu tę przykróść wyrządził...

— Bardzo łatwo zgadnąć. A któż inny, jak nie mój szef, brat Austriak, który chybaby mógł być prostym robotnikiem przy drodze, ale przenigdy sługą, chociażby inżynierskim!

— Za cóż ten jego na pana gniew?

— Ależ, mój aniele, tu o nikogo innego nie chodzi, jeno o ciebie! Usiłuje cię odbić u mnie.

— Ten, ten starzec obrzydliwy, jak on śmie myśleć o mej ręce? Jam twoja do zgonu, dotrzymam słowa.

Dalszą rozmowę zasmuconych kochanków przerwano ukazanie się Katariny, która prowadziła księdza z olejami śś. Z pod „czarczafu“ ukazało się oblicze zgrzane dobrodusznej matki, która córkę zapylała:

— Ha! i cóż tam? Nagliłam „wartabeta“ Abramjana, ale on pisał i mówił, że będzie czas.

— Już skonala—odpowiedziała Diurju—a Walery-effendi odmówił nad nią modlitwę po ormiańsku.

— Spotka cię, effendi, za to nagroda w niebie—

dodał „wartabet“ Abramjan, rzucając patetycznie wzrok w górę i podnosząc rękę — spełniłeś pięknie swój obowiązek, podobnie jak u Spfoklesa pobożny Tezeusz nad konającym Edypem w Kolonos.

Z ostatniemi słowy „wartebat“ Abramjan, a dziwnie dobrodusznej szczurowatej fizyognomii, z małą bródką rzadką, z piwnemi oczkami tajemniczo łyskającemi, spojrzał wgłąb izby, przyklęknął i odmówiwszy krótki pacierz, zawrócił na ulicę, poprzedzony przez chłopca w komży. Mijając atoli Walego, szepnął radośnie:

— Mam już pięćset i pięćdziesiąt pięć wierszy gotowych—i dalej głośno odmawiał: — Zdrowaś Maryo, laskiś pełna!...

— A do końca daleko?—wypytywał pocichu Walery, postępując ku bramie za księdzem.

— Będzie jeszcze ze czterysta z górą — odpowiedział pocichutku „wartabet“, mówiąc dalej pacierz—Pan z tobą! błogosławionaś ty między niewiastami..

Zanim Walery wrócił do bramy, Katarina wypytywała córkę:

— Toć on przecie uczony, a modlitwę odmawiał, tcs, tcs! A tu wygadują, że on niedowiarek?

— Ma on większą i piękniejszą wiarę od tych wszystkich plotkarzy i plotkarek. Ale wiesz co, duszko-matko, dali mu Turcy dymisyę, a to na podstawie skargi Abramowicza.

— „Aman!“ co ty, światło mych oczu, alboż oni gdzie więcej uczonego i cnotliwszego człowieka dostaną? Nieszczęście, waj, waj!

— I ten zły starzec śmie na mnie oczy podnosić? Nie mówił ci dusza-ojciec, po co go zaprosił dziś na wieczór, kiedy to właśnie dzień dania odpowiedzi Waleremu.

— Alboż to wolno kobiecie rozpytywać męża tak znakomitego, jak twój ojciec, o jego zamiary?

Grzech i wstyd, niech cię Allah przed podobną ciekawością strzeże!

W bramie z księdzem tymczasem rozmijała się siostra Anna, dźwigając ciężki kosz z aparatami pogrzebowemi, z którego wyglądały: lichtarze, krzyż, kir. Przyklęknęła pomimo to. Po bladej, zwiędłej twarzy „marhabetki“ sączył się pot strumieniem, zalewając oczy i kąciki ust zblakłych. Bogata ta pan-na stawiała jako prosta wyrobnica w Winnicy Pańskiej, i bardziej jej z tem było do twarzy, niż z wiecznie zawróconemi białkami ku niebiosom, przy pielęgnowaniu znicza bożego białemi rączkami, bojącemi się namozolić i poczernić przy znoszeniu do niego paliwa ofiarnego.

Pocałowawszy w rękę nabożnie „wartabeta“, Anna, zabrawszy z sobą Katarinę, poszły przystrajając katafalk.

Walery wrócił do Diurju.

— Czy pogrzeb nie przeszkodzi ojcu twemu dziś dać odpowiedzi?—pytał ciekawie kochanek—matka ci nic o tem nie mówiła?

— Sądzę, że przeszkodzi — odpowiedziała Diurju—dopiero teraz zrozumiałam, co znaczą zaprosiny Abramowicza na dzisiejszy wieczór...

— Musiała go, naturalnie, dojść wieść o mej dymisyi, chce dalej politykować?

— Nie inaczej, bo on taki dobry i rozumny, a przytem nadzwyczajnie mnie kocha. Muszę iść pomagać ciotce i matce. Do widzenia!

— Spotkamy się na pogrzebie, mój miły aniotku - i ścisnąwszy rękę kochanki, szedł zwolna, zachwycony jej chodem powiewnym.

Wszedł już na ganek piętra, gdy w drzwiach od ulicy ukazał się konduktor Fed' Teodoraki Abramczuk, ciekawie wpatrzony w widowisko ustawiania katafalku.

Przybycie to nagle powiernika Abramowicza do jego domu dało mu do poznania, że każdy krok je-

go odtąd będzie śledzony gorliwie. Zastanowiło to go jednak nieco, że imć Fed', nie kontentując się stanieniem w bramie, posunął się na środek dziedzińca i patrzył na niego wyzywająco, jakby go wcale nie znał. Uśmiechnąwszy się na to Walery, wszedł do mieszkanka Puka i Wacława, które tuż obok jego pokójów było.

Dziedziniec tymczasem, który tu bywa od ulicy, coraz się więcej ożywił owym ruchem pogrzebowym, tak przerażającym domowników, a zajmującym dla obcych. Tłum napływał i odpływał, przy zwłokach wciąż były głośno odmawiane modlitwy przez Annę i jeszcze inną jakąś „marhabetkę.“

W gorących strefach, zwłaszcza na Wschodzie, ciała bywają rychło po zgonie, w kilka zaledwie godzin grzebane.

Zjawił się zresztą i Abram-oglu, a to w roli nie tylko krewniaka, lecz i przełożonego cywilnego gminy ormiańskiej katolickiej; wydawał też rozkazy i porządkował wszystko z odpowiednią powagą urzędu, obcierając często twarz zapoconą i nos wspaniały, z którego się niekiedy wydobywały ciche dźwięki, niby klarynetowe, a to podczas wymówek, lub perswazyi, raz w raz powtarzanych do otoczenia. Już taka natura władzy wszelkiej, że nigdy niema spokoju, ani innym spocząć nie daje.

Nadeszli zresztą i księża, a za nimi z góry się spuścili: Walery, Wacław i Puk. Nowoprzybyli stanęli tuż obok Abrama-oglu, którego poważnie powitali. Rodzina rozpoczęła lament.

— Widzisz, dostojny „milet wekilu,“ jakie to wszystko znikome na tym padole płaczu i złudzeń?— rzekł Wacław do Abrama-oglu — staruszka jeszcze przed kilku godzinami mogła projektować o przyszłym ożenku syna, wydaniu córek za męża, o pieczęciu przyszłych wnucząt, tymczasem opuściła ich wszystkich na wieki.

— Uf, uf! wielbię słowa podobne—odpowiedział

Abram-oglu, udając, że się nie domyśla niczego — i cóż po naszych zabiegach skwapliwych, po rachubach najpoważniejszych, po zamiarach pożytecznych, kiedy oto jeden podmuch śmierci wszystko wniwec obraca i wszystko jak sen znika?

— „Aman! aman! tcs! tcs!“ jakże ślicznie przemawia nasz dostojny ojciec, „milet-wekil“ — wołano dokoła.

— O, Allah, to jedyna nasza ucieczka; w Nim cel życia całego składajmy, w Nim cała nadzieja. On jest naszym zbawieniem.

— Dobrześ rzekł, że Allah jedyną naszą ucieczką—ciągnął Wacław dalej—kto szczerą prawdą żyje, ten tylko w Stwórcy cel ostateczny upatruje i na wzór Jego cnotę swą kształtuje.

— Wyjałeś mi te perły ewangelicznie z ust; ich się tylko trzymam, jedne one są drogą mej duszy, uf, uf!

Zwłoki, po odbytem nabożeństwie, wzięto następnie, jak i u muzułmanów, na barki, i na zmianę, kolejno zaniesiono na cmentarz katolicki, wśród resztek ruin starożytnej Ancyry położony. Po zagrzebaniu trumny, z czterech desek zbitej, w grobie całkiem płytkim, orszak żałobny z niesłychanym pośpiechem, ledwo nie biegiem do miasta wracał; właściwie uciekał przed duchem zmarłej, gotowej się uczepić pierwszego lepszego, który pozostanie dłużej na cmentarzu. Z obawy, aby duch nie wlaźł komu przez nos lub usta, żałobni goście wszyscy mieli do nich przyciśnięte chustki, i tak odbywali swą szybką rejteradę z ruin zdradliwych, acz malowniczych.

Obawa śmierci najwięcej poniża dusze, bo dowodzi, że one nie mają właściwej świadomości; nie wierzą w swój byt odrębny, i stają tem samem na stanowisku bydła upośledzonych. Ormianie niezaprzeczenie są najznakomitszym żywiołem cywilizacyjnym w Azji Mniejszej, ale z powodu swej bojaźliwości, służą jeno za podściół społeczny dla Turków i ka-

zdego innego wojowniczego plemienia. Nad tą sytą, odzianą, bogatą, moralniejszą i rozumniejszą od innych społecznością — unosi się jednak dotąd zaduch obrzydliwy tchórzostwa, co to z człowieka robi istotę nie zasługującą na tę nazwę. W tej niewolniczej atmosferze czuć dosłownie, co rzekł poeta:

Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc ciemną się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydziela męztwa,
Gdzie w gruzach leżą wiekowe zwycięstwa.
I z dei tych wszystkich wybranej kole,
Wyręsta napis: „Tu niema nadziei.“

To dantejskie — „Lasciate ogni speranza!“ — brama piekielna, którą brak wiary w samych siebie rozwiera naścież przed nikczemnikami prędejszą, niż nawet przed zbrodniarzami. Pokojowa żujka na deptaku żywota codziennego, chociażby z czystego złota dyamentami kameryzowanego, ona najwięcej usposabia ducha ludzkiego do poprzestania na ideałach ciemnych: z rogami, raciami i ogonami...

W miarę wracania do „śmietników“ własnych, wracał i koguci animusz do tych pokojowych mrówek w chałatach rypсовых, w futerkach, w fezach czyściutkich i stojących prosto na głowach, jak wiaderka. Odżyła buta faryzejsko-piśmiennicza, co to z upiorową bezdusnością wysysa i upakarza wszystko, a białym terorem swym dokucza ludziom więcej, niż doraźne okrucieństwo lub surowe barbarzyństwo. To upiorowe zarożumienie narodów nosi w sobie niechybne zarody rychłej ich śmierci, gdyż wnet im odbiera odwagę, a z nią i cnotę żołnierską, kamień probierczy rzetelnej wartości człowieka. Mrówki pokojowe, choćby jak termyty samymi pałacami ziemię zabudowały, balonami po niebiosach bujały, telefonami z innych planet mieszkańcami rozmawiały i całą mądrość świata w siebie wchłonięły — będą zawsze połowicznymi istotami, niezasługującymi na nieśmiertelność; ale tylko na pastwę upiorowej doczesności,

co je do blocka żywota przykuwa, skazując na okrutną walkę o byt i dającą za całą nagrodę: obco-ktywanie nędznych mszyc, potomstwa, pasożytnie ich żywotem żyjących... *Dura lex, sed lex...* Nagość ich duchowa zanadto jest lichą, aby na moralne promienie słoneczne mogła być wystawiona, przy których jeno cnota prawdziwa zakwita, ta, co jest najwyższą ozdobą i pożytkiem istot prawdziwie rozumnych, mądrych. Małość ducha i śmieszność są wykreślone z brewiarza używania praktycznego; tymczasem one to stają na przeszkodzie rozwojowi moralnemu ducha, trują życie niewolniczym upodleniem i nudami zabójczymi.

Nad tem wszystkim pracował Walery z całą wytrwałością rasy słonecznej, co widzi zawsze ognisko światła powszechnego. Do godności ludzkiej pragnął naród ormiański podnieść.

Mrowie żałobne zniknęły szybko w otworze Stambuł Kapussu, Bramy Stambułskiej, a cisza cmentarna zalegała napowrót pole umarłych, które było zasypane szczątkami wspaniałych główni, architratów, kolumn doryckich, gzemsów misternych ze świecącymi tu i owdzie szczątkami napisów rzymskich. Pobożowisko to turnieju dziejowego krwawiły promienie purpurowe zachodu, biegnąc ze stepu, na którym Tamerlan rozgromił Bajazeta Ildirima, pioruna dosłownie, widocznie nie tak jednak strasznego, skoro go kulas zamknął do klatki potrafił. O ile katolickie nabożeństwo opuszczało pośpiesznie pobożowisko śmierci powszedniej, o tyleż wolno postępowali za niem niedowiarki: Puk, Wacław, a no, i Walery.

— Wjeżdżając z tej strony do Angory — rzekł Wacław — sądziłem, że mam przed sobą dużą kupę błota, którą obsiadły mniejsze kupki błota; przeczcucie widocznie mnie zawiodło: był to doskonały obraz życia tutejszego.

— Acz wprowadzić w naszym języku symboli-

cznym mamy zbyt wielką skłonność do metafor i alegoryj—zawołał Puk, przystając na miejscu—i ja przeciwko temu nic nie mam, skoro zechcemy się w dyalektykę transcendentálną zagłębić; protestuję atoli przeciw temu szacownemu nalogowi, gdy o praktykę życia chodzi. Mów teraz bez ogródek, skoncentrowany idealisto, co ci ostatecznie odpowiedział szacowny nasz socyusz, *in puncto* materialnych widoków Walerego?

— Ależ powiedziałbym i bez tego prawdę: wszak my, chwalić Budowniczego Najwyższego, nie ze mgły zwątpienia ulepieni, ażeby nas zła wieść miała odrazu w gruzy rozwalić, jak te np. ruiny wspaniałe?! Krótko mówiąc, nowiny są ani złe, ani dobre, i dlatego bardzo złe: bo znów skazują biednego Walka na tortury wyczekiwania.

— Spodziewałem się tego—odpowiedział Walery posmutniały—już mnie do tego po części przygotowała rozmowa z Diurju przy trupie: doniósł jej jakąś bałamutną wieść Kuzgun-derwisz, a jednocześnie nader podejrzaną wydała mi się i uczta dzisiejsza dla Abramowicza u Abrama ogłu. Ależ co za rację przecie daje z odkładaniem swego rodzicielskiego przyzwolenia?

— Naprawdę żadnej dobrej nie daje, tylko udaje, że zwlekać jeszcze musi, dlatego, aby nasz interes drogowy nie przepadł, gdyby się Abramowicz już teraz dowiedział o twych zaręczynach. Kto tam zresztą go odgadnie?! Czekajmy jeszcze.

— A na poczekaniu gotujemy się do Bejbazaru, na wyprawę po złote runo kozie i ucztowanie u brata, Młodego Turka, Hüsnî-beja, który zaklął mnie na wszystkie swe tureckie bogi, aby do niego przybyć teraz koniecznie. „Goddam“, zabawimy się po królewsku—wtrącił Puk, ruszając z miejsca.

— Ależ nie smuć się, Walku, fe! to wstyd — ciągnął Wacław dalej — ot, powiedz mi raczej, jako nasz pomocnik, gdzieby tu nabyć wańtuchów na

nasz puch kozi? A sztuka teatralna czy gotowa, trzebaby próbę zrobić?

— Podobno największym na wańtuchy hurtownikiem jest brat Abrama-ogłu, gospodarz Abramowicza. Bywając co dnia przedtem w jego domu, wiem o tej jego specjalności. Sztuka zaś w połowie gotowa.

— Doskonale! od jutra skupuj więc na łeb—na szyję ten znakomity towar u brata swego przyszłego teścia, ażebyśm ztąd co najrychlej wyjechać mogli. Razem i próby teatralne robić zaczniemy.

IV.

Niepokój wewnętrzny i smutek trapiły Walerego nieustannie. Wieści, jakie doszły go o wieczorze u Abrama-ogłu, zaraz po pogrzebie, gniewały go i śmieszyły zarazem: rywal bowiem znalazł tak źle usposobioną Diurju, że za nic nie śmiał nawet ust otworzyć z projektami matrymonialnymi. Ubawiło to ogromnie wszystkie kobiety w domu patriarchy nosacza, które też natychmiast, zwyczajem miejscowym, skomponowały ckolicznościową „tuirki“, im-prowizacyę satyryczną, nuconą recitatiwem.

Nie zawsze atoli przecucie bywa wiernem odbiciem kolei wypadków. Tu jest właśnie szkopuł, o który się rozbijają przepisy nie tylko czarnej i białej magii, ale przedewszystkiem t. zw. zdrowej logiki, na faktach dokonanych opartej, a z kojarzenia wyobrażeń powstałej. Uniwersalna logika słyseć nie chce o naszej zdrowej logice, aż strach jak często...

Gdyby arystarchowie, co suszą głowy nad ułożeniem jakiegoś schematu idealnego dla powieści wogóle, zwracali więcej uwagi na życie rzeczywiste, co to niby im służy za czynnik jedyny i prawidłowy w teorii — niezawodnie wówczas mielibyśmy wtedy

daleko mniej krytyk „pouczających“, ale za to powiększyłyby się znakomicie ilości powieści dobrych, bodaj czy nie przewyższających o całe niebo zagraniczne. Talent, jeżeli jest oryginalny, zaraz, od pierwszej sytuacji, powinien tak grupować wypadki, aby przebieg ich naśladował życia tajemnicę, zależącą na nieustannych kontrastach, nie cierpiących żadnych ograniczeń. Mechanika powieściowa jest tego rodzaju, że nie znosi ona żadnej systematyki, bądź estetycznej, bądź dydaktycznej a prócz popołitej logiki rozwoju wypadków, nie zna ona żadnych „klasycznych“: ugrupowań, cieniowań, komponowań, zaokrąglenia linii, które, szczerze mówiąc, są poprostu pustymi wyrazami i nic z nią wspólnego naprawdę nie mają... Czyż podobna temu uwierzyć, aby miliardy kombinacji, pojęć i wrażeń dały się ująć w jakiś system naukowy? Nie. Kto nie podpatrzył tajemnicy *naśladowania życia*, niech Osse na Pelion piętny, niech na furi dowcipem szafuje, posiada więcej sprytu zaciekania opowieścią niż sam ekstrakt Szecherazady; niech pozjada wszelkie etnologie, antropologie, psychologie, encyklopedye i pomimo to ten nie jest jeszcze powieściopisarzem. Robić nieprawdopodobne prawdziwym, ogniem własnej fantazy zapalać wyobraźnię czytelnika, budzić obok zaciekania najszlachetniejsze w nim instynkty, naprowadzać na odkrycie wielkich prawd, słowem, stać się czarodziejem, w dobrym znaczeniu, zdolny jest tylko ten, komu wieszczy płomień zapalił ducha, przy którym powieść z pustej bajki staje się jednym z najpotężniejszych narzędzi cywilizacji, kierującym nią w tę lub ową stronę, nakazującym wybór przedmiotu dla myśli i pracy społecznej, wszechwładną modę świata narzucającą. Jak dekorator nie jest prawdziwym malarzem, tak i estetycznie opowiadający „powieściarz“ nie jest właściwym powieściopisarzem. Kto złota prawdę życia w utwór włożył, ten drogi wieściami chodzi, i na nich to spotyka się z geniuszem

powieści, co go wprowadzi w zakłętę sztuki prawdziwej koło. A cóż będzie z estetyką?...

Walery zgoła nie pojmował, co mogło zająć w umysłach mieszkańców Angory z powodu wydalenia go ze służby sultańskiej. Gdy ogół patrzył na niego z przerażeniem i odrazą, za to duchowieństwo ormiańskie, które należycie teraz przekonane zostało o jego prawowierności, wzięło sprawę do serca. Śmiało rzec można, że duchowieństwo ormiańskie wogóle, nie mówiąc o Mechitarzystach, olbrzymie usługi oddało swemu narodowi, podnosząc go z barlogu niewoli i ciemnoty, i tem samem wprowadziło go na tory uszlachetniającej wolności i oświaty. Turcy postępowi za to darzą je swem uznaniem.

Po wąziutkiej Kilise sokak, ulicy Kościelnej, między murami z błotnej cegły, sunęła „poważnie“ gromadka futerkowych na fezach poprawnych i nieknęła powoli za furtą kościelną. Byli to optymaci *les gros bonnets* — bo też naprawdę było między nimi wielu, co nosili potężne czarne turbany na fezach, gdyż giaurom inny kolor na ten dodatek lojalny jest wzbroniony, szedł właśnie wybór narodu katolickiego do zakrystyi obszernej, która mu służyła za salę obrad, jak było to dawniej i w Polsce z sejmikami. Miał się właśnie odbyć nadzwyczajny „medżlis“, rada, na który reprezentację narodu zzywał sam monsignor, biskup angorski. Urzędownie miano coś tam niby radzić o zwykłych sprawach gminnych, ale naprawdę była pod spodem tego jakaś tajemnicza sprawa, co powagę rajców w dwójnasób rozdymała.

Pomimo całe swe powierzchowne upośledzenie, Ormianie, zwłaszcza katolicy, odgrywają znakomitą rolę w dziejach Turcyi, którą nieznacznie opanowawszy, nadawali i kierunek jej życiu państwowemu. Rzezie wprowadzicie dzisiejsze dowiodły, jak złudną była ta domniemana przewaga, nie mniej przeto dawniej stali oni tak mocno wobec W. Porty, jak i gros muzułmańskiej ludności. Korzystając z zamierania

zmysłu państwowego u Turków, naturalnem ciężeniem do władzy wypierali ich z najwplywowszych stanowisk, i gdyby im na odwadze żołnierskiej nie zbywało, kto wie, czyby już dawno nad W. Portą nie powiewała chorągiew ś. Kirkora, zamiast Mahometa. Ale można być zarazem potęgą i niczem, skoro kto ma nieszczęście być niewolnikiem, jak tego, niestety, straszne prześladowanie Ormian dziś dowiodło.

Orszak radnych niknął w milczeniu w drzwiach zakrystyi sklepionej, z sofami i stallami dla duchownych pod ścianami, freskami okrytymi. Z okienek w górze padało światło łagodne, najprzód, na fezy i kołpaki z woalami księży, a dalej i na nosy wspańnię, pod którymi widniały czarne jak smoła wasy lub brody białe i szpakowate, spadające na kurty futerkim bramowane, ze świecącymi z pod nich za szerokimi pasami, jak puginy, powtykanemi „diwidami“, kalamarzami mosiężnemi z tuszem w bawelnie, zamiast atramentu, i trzcinowemi piórami. Moc dewizek i najczęściej aż po dwa zegarki, oraz łańcuszki srebrne na krzyż, z sygnetami na palcach—dowodziły o zamożności ojców nacyi katolickiej. Zgromadzenie to jednak, pomimo swą powagę zewnętrzną, było dziwnie monotonne. Rozmawiano przytłumionym głosem, z nosowym naturalnie akcentem, z dumą ludzi kryjących doniosłe swe znaczenie...

Wszedł „wartabet“ Abramjan i sekretarz konsystorza, *alter ego* biskupa.

— Gdzież to nasz dostojny „milet-wekil?“—pytał otaczających, poskubując w zamyśleniu swą bródkę kozłą—coś go ważnego widocznie musiało zatrzymać?...

— Nadejdzie niebawem, zatrzymał się na ulicy przed furką--objaśnił jeden z radnych.

— Istotnie przed furką stał Abram-ogłu, a obok

niego Altyn-Top, półgłosem żywo rozmawiający. Szepłali do siebie, spoglądając bacznie dokoła.

— Szczęście wam lezie samo w rękę—mówił Altyn-Top, zgięty w pałak jak trzcina—o cóż tu chodzi, czyż nie o marnych kilka procentów?

— Jazbym miał stać tylko o procenty?—wołał półgłosem Abram-ogłu, wypinając postawę, jak kłode masztową—alboż to ja nie mam przedewszystkiem dobra mego narodu na widoku?

— Tak, to tak, ale zważ dostojny „milet-wekil“, że wyżej ponad 25% czystego zysku postąpić nie mogę, bo prócz mnie i beja Abramowicza, jest po za tem wszystkim i „paśza effendim.“

— Obraziłbym Isa-effendiego (Pana Jezusa) i Alłacha w Trójcy jedynego, gdybym przyjął mniej 30%; wszak to w naszym ręku wszyscy agenci „tifikowi?“ „Alłach amant!“ (Bóg świadkiem), na włos jeden nie spuszcze.

— A nie tyżeś to, dostojny panie, wymówił, że dobro narodu leży ci przedewszystkiem na sercu? Wszak spółka nasza ma być krajową, a więc narodową, t. j. taką, która nie dopuści cudzoziemców do wysysania najżywotniejszych soków naszego przemysłu ojczystego? Tcs! tcs!

— Cóż z wami począć: to już niech będzie dwadzieścia dziewięć—i dodał w duchu:—Puk cztery odciągnął a ja mu teraz wszystko odbiorę...

Po długich targach sprawa „narodowa“ stanęła na 28 i pół procent; ręce sobie podali i targ został dobity. Dzięki rywalizacyi Abramowicza z Walerym i rozmaitym pogłoskom o knowaniach na spokoj Hamdi-paszy, wystąpił obecnie nowy czynnik handlowy, który miał na celu wydarcie z rąk potężnej kompanii angielskiej, reprezentowanej przez Wacława i Puka, spekulacyi na puchu kozim, „tistik“. Obok tej czysto handlowej sprawy była i inna, przeciągnięcie bezwarunkowe Abrama-ogłu na stronę paszy, gdyby naród ormiański wystąpić zamierzył przeciw-

ko niemu, jak o tem była już mowa. Spiskowanie bowiem w Turcyi ma coś zupełnie podobnego do żmurkow dziecinnych lub, dajmy sobie, knowań antyrządowych w Galicyi, gdzie w miarę postępu robót „wywrotowych” władza bywa uprzedzana o każdym najdrobniejszym zamiarze „buntowników.” Wiedział też Hamdi-pasza, że ludność wzięła stronę Walerego i wpadł na domysł, jakoby sprawcą tych niezwykłych sympatyj był nie kto inny, jeno spółka angielska; ją też postanowił uczynić niemożliwą w Angorze, tworząc *ring* z żywiołów miejscowych na kozich puch. Cały zaś ten zanadto dowcipny manewr, ciężki do wykonania dla Turka, był dziełem Abramowicza, rodaka Metternicha, który, dając swój kapitał na początek, przez Ibrahima-effendiego wciągnął do niego i paszę. Abram-oglu był z natury patryarchą, a przytem i Ormianinem, ażeby się nie dać oderwać od spółki angielskiej, która prócz że mu znacznie mniejsze zyski dawała, ale i całą swą powagą techniczną uroku pozbawiała w oczach „narodu.” Najgorętszą atoli myślą jego było doprowadzenie do skutku związku familijnego, któryby go do „znakomitych” hrabiów zbliżył; na tym punkcie, jak u każdego plutokraty, traciły u niego wszelkie znaczenie nawet miliony obiecującego projektu kopalnianego.

Azyatycki patryarchalizm szedł gonić na ostre w szranki osobistej niezależności europejskiej.

Skończywszy tajne narady z Altyn-Topem, Abram-oglu pośpieszył do zakrystyi i wśród ogólnego zdumienia, na wstępie samym okazał niedwuznacznie lekceważenie dla zgromadzenia. Sam widok wchodzącego biskupa nie zdołał w nim tego uczucia osłabić. Pycha nietylko jest objawem psychopatycznym, ale niezawodnie i czemś gorszem. Mahomet też, znawca swego społeczeństwa, słusznie ciągle woła w Koranie, zbiorze zresztą luźnych frazesów: „Bóg nienawidzi człowieka dumnego!” Zapewne autor „Słowa Bożego” (Koranu), gdy wypowiadał to zda-

nie, pełne prawdy, miał przedewszystkiem na wąż trąbce współbrata, poetę Abu-Lahaba, oportunistę, wyklętego w suracie CXI, powszechnym zwyczajem wysłanników Najmiłosierniejszego, „er-ra-chim” — niemniej przeto należy mu się uznanie za tak celny strzał, burzący z kretesem gmach własnej frazeologii, na ubóstwieniu siebie samego zbudowany...

Ale i biskup pono nie bardzo zwracał uwagę na „milet-wekila”, gdy odrzucając welon kołpaka na tył swej fioletowej szaty, skinął ręką, że chce mówić. Ucichło wszystko, jakby makiem posiał; niektórzy tylko cicho wzdychali i prawice nabożnie do serca przyciskali.

— Dziateczki najukochańsze: padyszach, oby zwyciężał! — zawołał biskup rezolutnie — szczęśliwy jestem, gdy widzę was pełnych otuchy w koło siebie. Nie bójcie się też żadnej krzywdy, skoro dowierzacie waszemu duszstarownikowi, bo pomiędzy nami panuje jedność, a gdzie ona jest, tam jest i Bóg!

— „Ałlach! Ałlach! uł! uł! — brzmiało naokoło i robiono „temene” — balsam leje w dusze nasze...

— Pasterzem ci jestem waszym, i radbym położyć mą duszę za me owieczki...

— Och! och! uł! uł! — szeptano dokoła.

— Tak jest, za me owieczki, boście memi owcami, najmilszemi owieczkami, oddanemi mej pieczy z łaski Bożej i Stolicy Apostolskiej — oby do skończenia wieków nad nami panowała! Aliści jako pasterz dobry, muszę nietylko dusz waszych, lecz i waszego żywota strzedz. A jestże co skuteczniejszego na to, ponad sprawiedliwość i porządek? Nie. Cóż do tego prowadzi? Najprzód religia i bojaźń boska, a potem: dobra nauka, prawdziwa nauka. Któż z nas nie wie, że właśnie przybył tu do nas sławny nasz rodak, wysoce uczony inżynier, Walery Abrahamowski, znakomita latorośl domu z pod Araratu, któremu przesławni królowie polscy dali tytuł: „vir beli-

ciosus“, co znaczy: mężny i światły obrońca wiary? Słyszycie!

— Tę! tę! znakomicie, zaszczyt to nie mały dla narodu—mrużano dokoła.

— Pytam teraz was, byłoby to słuszne, gdyby na miejsce tak sławnego męża dano nam „jałandżego“ (tgarza), szarlatana, co umie tylko widowiska wyprawiać, a nic nie rozumie prawdziwej sztuki inżynierskiej: czybyście się na to zgodzili?

— Ależ nie, nie. „Jałandżich“ i komedyantów nie chcemy—zawołano jednogłośnie.

— A tymczasem u nas to się stało: „jałandżowie“ zostali, a prawdziwego inżyniera wydalono. Minister, widocznie w błąd wprowadzony, dał dymisję sławnemu naszemu rodakowi, Waleremu-effendiemu. Teraz więc chodzi o to, abyśmy, jako wierni poddani padyszacha—oby zwyciężał!—w prośbie wystosowanej do „saradzama“ (W. Wezyra)—oby nami zawsze rządził! — objaśnili, że Walery-effendi jest prawdziwym inżynierem i zacnym człowiekiem.

— Tylko że jest on garybaldczykiem — wtrącił Abram-oglu, podreptując.

— A ja ci na to powiem, że jest dobrym katolikiem pomimo to, lepszym od wielu, co udając nabożeństwo, drogi prostej nie pilnują, czynami nauki Zbawiciela nie popierają — i monsignor wyciągnął palec w rozdrażnieniu, połyskujący pierścieniem biskupim — proponuję więc wam, najmiłsze dziateczki, czyby nie dobrze było, ażebyśmy dodali do prośby, jako chcemy, aby tu pozostał Walery, a nie chcemy „jałandżich?“

— Na głowy nasze! Chcemy, chcemy, jak ty chcesz—wołano jednogłośnie.

— Skoro tak, to proszę cię, sekretarzu, miły „wartabecie“—i tu się biskup zwrócił do Abramjana—poszukajże tam w „torbie“, może też znajdziesz jaki

„czysty“ kawałek prośby gotowej, żebyśmy go zaraz pieczęciami naszymi przybili.

— Och, och! mam tu ją gotową—odpowiedział „wartabet“, wyciągając długi półarkusz, po turecku krzywo zapisany—niech leci, jak rumak Hioba, niosąc nasz smutek i ból po człowieku sprawiedliwym, który wśród nas zasiewać zaczął ziarna nauki prawdziwej.

— Przeczytaj najprzód, a potem, jeżeli się wam podoba, najmiłsi, pierwszy ją moją biskupią pieczęcią przybij!

Czytanie zaledwo się skończyło, gdy przy ogólnym aplauzie, biskup zaraz pierwszy odcisnął swoją pieczęć tuszem; w ślad za nim jeden przed drugim, na wyścigi, to samo czynili wszyscy radni. Jeden Abram-oglu jakoś się ociągał; gdy wszakże ujrzał, że to było nie do uniknięcia wobec większości jednomyślnej, podstał do biskupa i zapytał pocichu:

— Mamże i ja przypieczętować?

— A toż chodzi tu o los twego przyszłego zięcia? — odpowiedział biskup również pocichu, ale z wielkim naciskiem w głosie—rozgrzeszono go z jego garybaldostwa, a Turcy nic ci złego za to nie uczynią...

W ostatnich słowach „monsignora“ słyhać było wyraźne szyderstwo tak, że dla lepszego zmylenia pozoru, dzielnej głowie narodu nic nie pozostawało, jak co najrychlej i swoją pieczęć „przybić“ u spodu prośby, czy skargi, trudno to powiedzieć.

„Wartabet“ tymczasem pilnował, żeby nikt, broń Boże, nie zapomniał przyłożyć swej pieczęci. I dzięki trzodowemu zmysłowi, który bodaj czy nie jest najsukuteczniejszym czynnikiem uspołecznienia tak dwu, jak i czworonogich mieszkańców matki ziemi, „arzuhał“, prośba, aż do dołu pokryta czarnymi, okragłymi plamkami, poszła spocząć na dnie „torby“, teki biskupiej, aby być jeszcze tego dnia wysłaną pocztą do Stambułu.

Tak niewinne były początki historyczne walki, którą fanatyzm pogański morzem krwi Ormian Angorskich zatopił niebawem. Tragiczność tym sposobem uszlachetniła komizm prozopopei, która wbrew swej woli katastrofę wywołała.

Nie zawsze to jednak bywa z korzyścią jednostek, co najwyższe usługi ogółowi oddają. Doświadczył tego na sobie obecnie Abram-oglu, zły i gniewny opuszczając radę, w której po tej sprawie kapitałnej załatwiono inne, dla uniknięcia pozorów przed wszechwładzą turecką. Gniewała Abrama-oglu przewrotność, jak mniemał, biskupa, bo jako dyplomata urodzony, poznał był odrazu, że cała ta akcja, prócz podkopania stanowiska paszy, znieprawdzonego przez wszystkich porządných ludzi, co, nawiasem mówiąc, nie przeszkodziło mu zostać w. wezyrem—miała głównie na celu zmuszenie go moralnie do rozrządzenia ręką Diurju.

Monsignora bowiem doskonale o wszystkim objaśnił Puk, który miał u niego nadzwyczajne zachowanie, a to dzięki rekomendacyom z Rzymu i z ambasady angielskiej, wprawdzie nie katolickiej, nie mniej przeto więcej pono czczonej i poszukiwanej przez katolików Wschodu, niż sama apostolska. W drzwiach już rzekł Abram-oglu do „wartabeta“ sekretarza:

— I co z tego będzie?

— Nie bój się, „czorbadzi“ (gospodarzu) — odpowiedział właśnie wchodzący Hüsnü-bej ze zwykłą sobie nonszalancją — „kismet“ (przeznaczenie) posłuży nam, skoro mu sami dopomożemy. Che, che!

I ze śmiechem znaczącym bej postępowiec, kręcąc różańcem po powietrzu, szedł do biskupa, dotąd jeszcze siedzącego na miejscu, jakby właśnie na niego oczekiwał. Powitanie między Turkami a księciem Kościoła katolickiego było jak najserdeczniejsze. O ile biskup wyglądał żenowanym własną wielkością w oczach najmilszych swych owieczek, o tyleż od-

zyskał swobodę wobec tego wilka, zeslanego przez nielitościwe niebiosy na mrówczą rasę nosaczy. Po zwyczajowej ceremonii bez liku „temene“, odmłynkowanych rękami, oraz odpiciu kawy sakramentalnej, przy dymie fajek rozpoczęła się dopiero poufna narada. Obaj, gdy pozostali już sami bez świadków, rozpoczęli dopiero rozmowę bez ogródek.

— Nie bądźcież to, beju-effendim, za ryzykowne dla was, „Osmontysów?“ — pytał biskup tajemniczo — toż wy wszyscy niemal urzędnikami jesteście!

— Ale, toby się tam na to oglądał! — odpowiedział bej, puszczając kółko dymu — ja mam rodzica, który trafi do „seraju“ (pałacu sultańskiego).

— To dobrze, ale zanim co nadejdzie, może wam mocno dokuczyć i wiele złego narobić?

— Jakby się to wszystko wykonywało, co taki na zdestituowaniu z urzędu rozkazuje?! Waj, waj!

— Powiem otwarcie, że dla nas byłoby nader pożądanem, gdybyście od siebie podali skargę na pa-szę, albowiem rządy jego nietylko są wstydem, ale i wielkie szkody krajowi przynoszą. Tylko o was się boję...

— Alboż to, monsignorze-beju, sądzisz, że my nie ubolewamy nad stratą takiej siły naukowej, jak Walery-effendi, i nie czujemy całego upokorzenia, że to się robi dla jakiegoś obscurnego szarlatana?

— Wierzę temu mocno, że czujecie i pojmujecie dobrze, bo słyszę właśnie o twoim zamiarze. Tylko zauważ, duszko-beju, czy nie zanadto ryzykujecie?

— „Masza!la!“ (wybornie) bardzo masz wykształconą tkliwość; wiedz jednak o tem, że my, Turcy dobrzy, nigdy się nie cofamy przed tem, co raz uchwaliliśmy zbiorowo. Może w tem leży nasza zguba, a może i zbawienie, wiadomo to tylko Ałlachowi, ale tak jest naprawdę. Tak.

— Szkoda dobrych ludzi!...

— Tcs, tcs! powiedzże ty, „hazeret - leri“ (eks-

celency), kogo jest więcej na świecie: dobrych, czy złych ludzi?

— Rzecz prosta, że dobrych; jeden bowiem zły za tysiące dobrych szkód jest w stanie narobić, a nawet zniszczyć, co ci pożytecznego stworzyli. Trudno coś zbudować, ale łatwo zburzyć.

— Jeżeli więc tak jest, to wstydem chyba dla dobrych byłoby, gdyby przy swej przewadze liczebnej myśleli jeszcze oszczędzać siebie? Żeby wytepić zło, trzeba, aby dobrzy siebie nie oszczędzali, bo inaczej walkę tę niedołęztwem raczej nazwać trzeba, niż rzetelną służbą dla dobra ogółu. Czyż sądzisz, że „el-mohejmin“ (Bóg zabezpieczający) da wam jaką pomoc, skoro sami pomódz nie zdołamy i bez oszczędzenia siebie, złego z korzeniem nie wyrwiemy?

— Zważ jeno tylko, duszko-beju, że dobrzy być muszą oraz i litościwymi.

— Ja ci na to, „hazere leri“, odpowiemy słowem „szejcha“ (Saadego):

Złym dobrze czynić na jedno wychodzi,
Co źle postępować z dobrymi...

— A nie onże, „szejch“, w innem miejscu powiada:

Kiedy nie masz jak zwierz dziki pazurów,
Unikaj lepiej drapieżnych potworów...

— „Maszałal!“ nauka twa chyba twej cnocie dorównywa. Muszę ci jednak powiedzieć, że nasz „szejch“ przemądry zburzył to własnymi rękami piekniejszą część swego ogrodu... Cha! cha!

Jałowa dyalektyka wschodnia, obok nałogowego delektowania się mumioiwymi przysmakami zgalszej literatury, utknąwszy na produkcie „Różanych ogrodów“, była na wyczerpaniu i dała hasło do końca rozmowy. Etykieta wschodnia, w najważniejszych nawet sprawach, nie dozwala długiego

obcowania. Hüsnî-bej też rychło biskupa opuścił, niosąc przyjaciół swym wieść pomyślną, że i naród „katolicki“ przypieczętował swą skargę do W. Porty na walego paszę. Dało to hasło i prawowier-nym postępowym, Młodoturkom i malkontentom z rządów Hamdi-paszy do wyprawienia również na tego ostatniego skargi do W. Porty.

Pierwszym krokiem, jaki zrobił po tem Hüsnî-bej, było odwiedzenie Walerego, którego też objaśnił o nader pomyślnym dla niego zwrocie sprawy wydalenia go z urzędu. Dziękując atoli przyjacielowi, Walery tłumaczył mu, że niepotrzebnie się narażają wszyscy, bo już nie myśli wracać do dróg rządowych. Ale bej ani słyszeć o tem nie chciał, nie wierząc zgola, aby człowiek porządny mógł komu innemu wogóle służyć, jak nie rządowi. Skarcił przyjaciela, nazywając jego projekt „tabasz-takierdi“, pustą gadaniną, i pośpieszył do swoich spółspiskowców Turków.

To uznanie ludności, tak niespodziane, głęboko rozrzewniło marzycielski nieco charakter Walerego. Potrzebował też chwilowo wynurzyć przed kimś swe uczucia, tuląc czule w swe objęcia cały świat dokoła. Do kogoż miał iść, jak nie do niej, do tej słlicznej powiernicy, która nietylko była ze współczuciem dla żywych, ale i dla umarłych.

W niepohamowanym też impecie wpadł na dziedziniec Abrama ogłu właśnie w tej chwili, gdy karmila swe ptaki miłości na zakratowanym oknie. Gołębie frunęły na daszek i zaczęły tupać niecierpliwie, gruchając. Nie zważając na ten gniew pierzastych świadków, zakochani sobie gruchali, przyczem Walery co chwilę całował białą rączkę karmicielki ptactwa miłości. Głód i miłość walczyły o lepsze z gruchaniem...

— U nóg twych, aniele, składam me tryumfy—szeptał Walery, tuląc dłoń kochanki do ust—bo czyżby to mogło mieć jakąś wartość najmniejszą bez ciebie?...

— A to dlaczego nie? — odpowiedziała kobieta praktyczna—może to i przełomie zresztą upór ojca?

— Zapewne to słuszne, tylko ja mam to głębokie przekonanie, że całe jego postępowanie wynika z rachuby jeno niezrażania dla kopalniowej sprawy Abramowicza.

— Być to może, lepiej wszakże się stało, że go wciągnięto do przeciwnego obozu. Musialyby teraz zniknąć wszelkie pozory narzucania mi tego wstrętnego starca.

— Taka śliczna, tak podniosła, a przy tem tak praktyczna z ciebie istota, Diurju; czy ja wart ciebie jestem, mój aniołku?

I nowy grad całusów okrywał drżącą rączkę od wzruszenia.

— Nie byłbyś słonecznem zjawiskiem, mój Walery, aby taką prozę życia ozłacać poezją?! O, gdybyśmy mieli więcej takich entuzjastów wśród nas, to byśmy już dawno napowrót zostali wolnym i potężnym narodem...

— Ciesz się mnie niewymownie ta struna patryotyczna, która się tak silnie w tobie odzywa i świadczy głośnie, niż cobądź, żeś obdarzona duszą szlachetniejszą, niż u pospolitej kobiety.

— A któż-to ją zbudził, jak nie ty, najdroższy? Gdybyśmy się nie zbliżyli, to spałaby ona, jak i inne wzniosłe uczucia, przez ciebie w mej duszy zbudzone.

— Bez tak bogatej i ślicznej natury, jak twoja, na cóżby się zdały wszelkie me wysiłki, przy tak zwłaszcza niewdzięcznem otoczeniu? Ale niepotrzebnie rozgoryczenie wywołują, mam coś jeszcze radośniejszego ci do zwiastowania: oto jutro odbędziemy pierwszą próbę teatralną w Angorze. Poczciwy „warabet“ dnie całe i noce poświęcił, aby swą misteryę skończyć, którą ochrzcił mianem dramatu.

— O, cóż to za szczęście, i my przecież nareszcie z ponizenia niewolniczego się wydobędziemy?

I dziewczica klasnęła w dłonie jak dziecko.

Wybuch głośniejszego wesela przerwał nagle stuk klamki od ulicy. Twarz Diurju zbladła mocno.

— To ojciec! — rzekła wylekłym głosem.

— A idź-że ty, duszko Diurju, do matki—wołał Abram-oglu odedrzwia — niech zaraz jeść podadzą, bo jestem bardzo głodny.

Kochankowie spojrzeli po sobie z jakimś niedobrem przecuciem. Diurju skinęła głową i pośpieszyła spełnić rozkaz ojca.

Zaledwo za kotarą znikła, przystąpił Abram-oglu szybko do Walerego i rzekł głosem przytłumionym, ściskając pięście w kulaki:

— Moja córka nie dla ciebie, Walery-effendi, nie wydam ją za ciebie. Ja potrzebuję człowieka ze znaczeniem, żeby zapewnił szczęście memu dziecku.

— Szczęście? a któż je lepiej ocenić zdoła, jak nie my sami? Co zaś do znaczenia, to nie pojmuje tego zgoła, komubym tu miał ustępować?

— Ależ ja ci powiadam, effendi, że nie dasz szczęścia, bo już mnie nieszczęście spotkało!

— Jakie?

— Turcy się zawzięli na mnie, że z wami trzymam; chcą mnie zrujnować, co im bardzo łatwo.

— Słuchaj, Abram-oglu, ty masz co innego w myśli; ale ja nigdy nie byłem natrętem, i jeżeliby przylgnął do waszego domu, to jedynie dla tego prawdziwego anioła, jak twa córka, Diurju, a nie co innego. Bądź więc zdrow i chciej zarazem chłodno rozważyć, czy słuszne jest twe postanowienie?

— O, ja go odmienną nie myślę!

Z wyrzutem i niewymownym smutkiem Walery spojrzął na swego niedoszłego teścia. Rzucił wzrokiem wgląd pracowni Diurju, westchnął i jak zabity poszedł na ulicę.

Twarz zawziętego patryoty, jak słonecznik obracała się za uchodzącym zjawiskiem świetlnej rasy, nieżnośnej ciemności niewolniczej potomkom

— Bunt wy tylko roznosić wszędzie umiecie — mruczał, wyszczerzając swe ostre białe zęby przedstawiciel porządku — rodziny nawet oszczędzić nie umiecie. Jaki ty Ormianin?! Waj! waj!

Tchórz narodowy proroka rodził...

Gniew swój wynurzał patriarchy o tyle łatwiej, o ile go słyszały oliary rachuby rodzicielskiej i pychy plutokratycznej. Nie mógł nadto darować i tego, że wbrew własnemu interesowi, przypieczętował dokument, mogący właśnie zburzyć wszelkie jego plany, połączone z zamiarem wydania córki za domnie-manego hrabiego i dygnitarza rządowego. Wstyd i złość razem go porywały, gdy wspominał, jak to mu zabrakło odwagi cywilnej wobec opinii świata, której bał się, jak ognia, i nienawidził z całej duszy. Burzyły się w nim wszystkie instynkty patriarchyli-zmu pierwotnego, depczącego butnie wszelką młod-szość, wszelkie prawa rozrządzania sobą po za san-kcją patrymonialną.

Pod zwojami bufiastemi szlafroka chaldejskiego i kometową brodą patriarchalizmu najłatwiej uwijają swe gniazda harpie despotyzmu i rozradza się potomstwo meduzie niewolników, czcicieli bałwochwał-stwa guślarskiego, choćby całkiem fiksyckiego, a krwaw-szego i grzesznieszego od samego szatana. Ciasne zaułki zwykle bywają zatęchłe, one też są prawdzi-wymi wylęgarniami najjadowitszych bakteryj. Słońce prawdy jedynym szermierzem przeciwko tym zmierz-chom cmentarnym.

A wszelkie słońca, własnem tylko światłem świecące, mogą ciemność i żyjące w niej istoty po-konywać.

V.

— Jak stoimy z najdroższym „tiftikiem?” — py-tał Puk wchodzącego do mieszkania Wacława.

— Prawdziwie jak najdrożej — odpowiedział za-pytany, zdejmując hełm i obcierając pot z czoła — napędziłem „oko” do 65 piastrow, czyli o 30 pro-centów ponad normalną cenę; dalej ani kroku!

— A jakże będzie?

— Tak będzie: najprzód pobankrutują, a od nich za pół ceny odkupimy. Świetniejszej kampanii, jak ta, jeszcze nigdy nie mieliśmy. Zdrajca eks-spólnik ani pomyślał pytać, co też się stało z „ango-rą” amerykańską. Mam tymczasem najdokładniejszą wiadomość, że ją całą zabrały lyońskie fabryki, a je-żeli dodać to, co już tu zakupiły, mają więc jej wię-cej niż zawiele do przyszłej kampanii. Wracajmy do domu, mamy już dosyć tej wysuszonej dziczy.

— Zupełnie podzielim twoje zdanie, mój skon-centrowany idealisto, z tem wszakże, że przed odjaz-dem musimy zabrać już zakupiony towar, i dziś je-szcze zrobić próbę teatralną, tak na sercu leżącą po-czewemu Waleremu. Czy tak?

— Ależ jak najzupełniej. Uważam, ser elfie, że nie próżnowałeś i już masz gotową baterię rekwi-zytów kostiumowych. Zkąd to: z Cowent Garden'u, czy z Wielkiej Opery?

— Dopiero co nadesłano mi pocztą z garderoby teatru Nauma, na Perze; któżby inny potrafił przeni-knąć gusta miejscowe?! Patrz, co za wyborna mi-szkulancya barokowa, od której śmiać się, płakać i kichać chce jednocześnie... To, mój drogi idealisto, ostatnie słowo sztuki, od której w nosie kręci i do czuba trafia. Podziwiał prawdziwy ten bigos polski, jak ja go z nabożeństwem spożywam, gdy się poja-wia na naszym stole za przyczyną Mazura nieoce-nionego. Patrz! czego tu nie ma?

Nastroszywszy swe szydełkowate wąsiki i nastro-szywszy bródkę, mister Puk, machając szybko rękami, jakby grzebał, wyciągnął na środek cyprysowy kufer, malowany w niemożliwe kolory, i zaczął na nim rozkładać rozmaite kostiumy teatralne.

— Spójrzij na tę szatę patryarchy! — i Puk podniósł do góry odzież jaskrawą—widzisz, co to za harmonia niezrównana: obok słońce jajka, gwiazdy są pomieszczone z cebulami i marchwią, a gmachy podostały skrzydeł i nóg, nie mówiąc już o żaglach i masztach. A taż tęcza w połączeniu kielbasek i plum-pudingów, garnirowanych fiaszkami i podróbkami z pietruszką; nie jest-że to istotnie znamię przebaczenia gniewu Bożego i zwiastowanie raję ziemskiego dla ludzi dobrej woli?

— Ależ to cały potop śliczności wylewasz, ser elfie, na dziewiczą niwę sztuki ormiańskiej? Brawo! Ja też muszę im, jeżeli nie jej, zostawić w upominku jakąś sztuczkę...

— Tylko, żeby nie bardzo boleć! Uznają słuszość, pomnij atoli, bracie, na to, cośmy ślubowali przed ołtarzem Wielkiego Budowniczego? Miłość i braterstwo dla wszystkich bez wyjątku.

— Jednakże nie z tem, aby one miały być wylęgarnią wszelkiego rodzaju zrad, oszustw i podstępów.

— Na to się piszę. Ależ co to za sztuczka?

— Bardzo pouczająca, jeżeli nie dobrze bolesna. Napisałem do naszego agenta, zamieszkałego w Stambule, aby skupował wszystkie weksle szanownej spółki Ambram-oglu & Co. Czcigodny patryarcha jest w formalnej gorączce gotówki i pędzi na złamanie karku. Ceny tak podpędziłem w górę, że za nic kupca na razie nie znajdzie, i skutkiem tego, rzecz prosta, nastąpi bardzo prędko likwidacya spółki, a następnie i bankructwo patryarchy nosacza...

— Mścisz się nie jako ten, który ma być ukrzyżowany na krzyżu z róż... Zapewne rodakowi twemu należy się zupełna satysfakcyja, ależ taka czy nie będzie za surową?

— Po za tym świętym obowiązkiem jest i wyższy cel, że tu nie masoneryja i nie malowane ćwieki na podłodze... Prócz tego przeczuwam, że tą drogą

dojdziemy najłatwiej do uzyskania zezwolenia rodzicielskiego na związek Walerego z Diurju.

Dalszą rozmowę przerwała głowa w białej szlafmicy, z twarzą jak pełnia księżyca, ze szpakowatym jasnym zarostem i wąsami sumiastemi, spadającemi na fartuch kucharski—a która się wychyliła z za kotary. Głowa ta pytała Wacława z mazowiecka po polsku:

— A proszę tyż, pana kapitana, czyż naprawdę mom piec tę obrazę boską; toż u nas chyba kotłowniastym dajom zryć to na lekarstwo?

— Co to znów za obrazę boską chce imć pan Gomułkowski piec?—odpowiedział Wacław zapytaniem na zapytanie.

— A cóż innego, jak nie te pakośnie iize? To z pustoty i wesołości tak strzeliło do łba panu Pukowskiemu i nakupił tego gadu tylo, ze wszystkie scury i mysy z całego kwartału pouciekały. Czyż na prawdę mom je piec?

— Co to za Pukowski, panie Gomułkowski?

— Alboż to się godzi zwać wielgiego pana, z pseproseniem pana kapitana, Puk? puk? fe! to nie pięknie, na teraz powinien sprawiedliwie zwać się pan Pukowski. Ot i tyła!

Zajęty rozkładaniem rekwizytów teatralnych, Puk z początku nie zwracał uwagi na rozmowę Wacława z kucharzem Gomułkowskim, Mazurem, który przed laty, złożywszy do muzeum drogich pamiątek lancę ułańską, zamienił ją na rożen kuchenny i wojował nim teraz z wielką sławą i aplauzem w świecie dla narodu, co się „ślepo rodzi,” wedle przysłowia, ale naprawdę pono najlepiej z nas wszystkich widzi. Nie mógł jednak pozostać nadal świadkiem obojętnym, gdy Wacław zaczął od śmiechu się zanościć. Irlandczyk nasz miał szczególniejszą słabość do Gomułkowskiego, chociaż go nic nie rozumiał.

— Co Mazur mówi?—pytał Puk.

— Jest zgorszony, że nosisz krótkie nazwisko—

odpowiedział Wacław — i postanowił cię uszlachetnić dodatkiem *ski*; teraz więc, ser ellie, będziesz się zwał Pukowski, ale nie jakiś tam Puk. Cha! cha!

— Doprawdy? To powiedzże mu, ażeby się postarał rozszerzyć w takim razie i mą drobną postać...

Wacław, nie przestając śmiać się, powtórzył Mazurowi żądanie Puka.

— A czyż jo to doprawdy jaki czarnoksiężnik? — odburknął kucharz gniewnie — to chyba już te gady nie pic?

— Chyba że pan Gomulkowski jeża upiec nie potrafi? — ciągnął Wacław dalej, siadając do pisania.

— Tys mi dziwo?! A nie jać to pik dziedzi-cowi wilczyne ongi na wielką okazję, aż dopiero goście poznali, co jeżdżom, kaj dojeżdżace huknęli w trąbki pod oknami jadalni?

— A więc cóż staje na przeszkodzie panu Gomulkowskiemu do pieczenia znakomitego jeżów? Ej! jest tam coś innego? Gadażże mi do rzeczy, stary!

— Jys kiedy tak, to powiem scyrą prawdę. To wedle tego Fedia, co to był konduktorem, a tera sie zwie „chadziom...“ (adjoint).

— Może „chadżim“ pielgrzymem tureckim?!

— Taki on tam pielgrzym, jak i ja... Nie; pęda, że jest „chadziom“, a niech mu tam tego Najświętsza Panienka nie daruje, aleć on i różności dogaduje...

— Co za różności?

— Alboż to taki Fedio, z przeproseniem, zna sie na delikatności? Prose pana kapitana, brese ón jak pies: ze panowie farmazoni i górobalkyki...

— Czyż to nieprawda?

— Taka to prawda, jak i to, że jo, Dydak Gomulkowski, farmazon!... Alboż to panowie niemo-włęta zjadacie i do suchej wiezby paciez odmawiacie, a księza tyz tu nie chodźom i w kościele nie bywacie?

— Kiedy tak, to jakąż niedelikatność pan Fedio popełnia?

— Ale ón nie napelnia, tylko jest gotów za te iize powiedzieć, że panowie Jarmiany...

Dalsze snucie domysłów laskotliwego wiarusa-kuchmistrza przerwane zostało głośnem zapytaniem po polsku:

— A co to pan Gomulkowski tu demonstruje? Panowie w domu?

— W domu, prose pana indziniera. A jo niko-go nie mustruje, tylko pedam wedle tego Fedia, że on tu ciągiem zagłada i zagłada...

Kotara podniesioną zresztą została przez Mazura, a z pod niej wyszedł Walery, z melancholijnym uśmiechem na ustach, przygarbiony, z rękami obwisłymi. Nastąpiły teraz przywitania i oględziny kostiumów.

— A więc iize podawać do stołu? — dopytywał Gomulkowski niespokojnie.

— Nieodwołalnie, mój najmilszy Dydaku! — odpowiedział Wacław, pisząc coś na poczekaniu.

— Taki to i najmilsy, kiedy ma gady sprawować... Brakuje, zeby kazali wyporki podać na stół, i hukną tedy, że my Jarmiany — mrucał wiarus kuchmistrz, uchodząc niezadowolony — Fed', Fed' jęzór wywali...

Ostatnie słowa, kucharz domawiał za kotarą, w drodze do kuchni, a tymczasem za nią, panowie się zanosili od śmiechu i urozmaicali czas spijaniem wina.

— Prostacy miewają niekiedy dziwnie trafne instynkty — mówił Walery, po wysłuchaniu relacji o kłopotach Dydaka — pocziwość jego przeczuwa wi-docznie coś niedobrego...

— O! ty mój mistyku ciaśniejszej podkarpaciej naszej ojczyzny — przerwał Wacław — nie macie sobie głowy domysłami, których też początku, ani końca nikt widzieć nie będzie. I mówisz to właśnie

w chwili, gdy twoje marzenia o pracy organicznej tak świetne owoce wydają...

— Wam się tak zdaje...

— Jakto?

— Bo od repetycji do pozwolenia daleko. We mnie siedzi zawsze część człowieka Wschodu, co lepiej zna swój świat niż wy.

— Pijże przynajmniej, pesymisto galilejski! Wy bo doprawdy na waszych kartoflach i owsiance tak zgorzknialiście, jak gdyby świat cały był zamknięty w tych dwóch ziemiopłodach, a słońce krążyło koło urzędów podatkowych, z grozą dodatków z dodatkami od dodatków do podatków...

— Alboż to mnie co obchodzi?! Ja ani myślę przekraczać granicy mej czarno-żółtej, lojalnej ojczyzny; niech tam sobie niewykolejone żywioły rosną jak grzyby i używają jej policyjnych rozkoszy; dla mnie będzie zawsze lepszy głód w lesie niż najpiękniejsza obroża, nawet z dekoracjami... Czy mnie to co obchodzi?!

— Mam cię tu całego: wstyd! Toś już stracił cały kuraż, że zacny patriarcha, „milet-wekil”, odpałił cię od swego domu? Wstyd! Raz jeszcze jeden ci „pedam“, jak Mazur mówi, nie trać nadziei i miej trochę więcej wiary w siebie, oraz w życzliwość tych przyjaciół, którzy wcale nie zapominają, że podobne uczucie do twego zasługuje na ich największe uznanie i usiłowanie doprowadzenia go do pomyślnego skutku. Daj więc pokój swemu galicyjskiemu pesymizmowi, który wzamian za swą nieomylną wszechwiedzę, traci wiarę w wewnętrzną siłę własną i za karę zdobywa tak zwane „polskie szczęście“, tyleż warte, co i cygańskie gorąco... Rozumny przegadał, a głupi pobił, wiesz dlaczego? Wiara bowiem pokrzepia siłę stokroć potężniej niż wszelkie najdokładniejsze obliczenia.

— Chciałbym wierzyć, mój drogi, gdybym nie był inżynierem, który najdoskonalsze owoce swej

pracy widzi właśnie w jaknajdokładniejszym obliczeniu, z pominięciem wszelkiej a wszelkiej wiary bez rachunku.

— Zgadzam się zupełnie z tobą na usunięcie wiary: z kuchni, inżynierii, krawiectwa, rolnictwa, pedagogii, szewctwa — lecz obstać jak najmocniej przy swoim, skoro wejdziemy w zakres wyższych władz i praw, losami ludzi i narodów rządzących. Tu się kończy sztuka dodawania i odejmowania na palcach, chociażby ze zdjęciem skarpetek z nóg, a zaczyna działać wiara nic nie licząca; im ona ślepsz, tem potężniejsza, tem zdolniejsza do najgenialniejszych odkryć i czynów bohaterskich.

— Mistyka!

— Frazes galicyjski, sprowadzający „szczęście polskie...” Ot, w ręce twe, bratku pesymisto—i Wacław wyciągnął szklankę z winem w stronę przyjaciela.

— Pij zdrow! może twa wiara litewska co i pomoże; ale ja pić nie mogę...

— Ale! pijże! dobry trunek na frasunek...

Z po za kotary, u drzwi, wysunął się najprzód długi cybuch jaśminowy z fajką zapaloną, potem spiczasty kołpak filcowy, a następnie i kosmata głowa „drogiej osoby”, nieocenionego derwisza Kuzguna. Twarz blada „tirjaka” (pijaka opium) była jakoś niezwykle tajemniczo nastrojona i wyrażała podwójną dozę dowcipu zarozumiałego. Spojrzał po „braciach” znacząco i usiadł tuż koło Walerego.

— Oto ten mnie wyręczy — rzekł ostatni i podaną szklankę oddał derwiszowi.

— „Szarap?” (wino) — zapytał derwisz, rezolutnie przyjmując trunek zakazany.

— Prawdziwe. Pij, droga osobo, boś spragniona!...

— Tak, pragnę zdobycia ognia wszechoświecącego, co drogę prawdy oświecila...

— Na każdy wypadek nie tej — wtrącił Puk — co do „dżennetu“ (raju) Mahometa prowadzi!

— Nie mów takich rzeczy, bracie, alboż to nie mym obowiązkiem mierzyć przykładem trunek zakazany? A oko mej przenikliwości widzi, że i przed wami, Anglikami, co macie „dłoń szeroką“ (hojną), bramy „dżennetu“ nie będą zawarte.

— Ciekawym, za cóżby miały być zawarte?

— Za to, że jesteście niewiernymi i nie uznajecie „Dostojnej Księgi“ (Koranu), oraz jej boskiego twórcy „Pana Światów“ (Mahometa).

— Którzy wszyscy pić wina zakazali?

— Ale za to otwarli upusty Tasnymu (fontanny rajskiej) i „salsebilu“ (wody żywej), co otwierają oczy na rzeczy przyszłe i kojąc pragnienie wiedzy, zapewniają wiekuisty „rahat“ (spokój, odpoczynek).

— Sądzę wszakże, droga osobo, że gdybym ci teraz, zamiast nich, zaproponował np. szklanek „mastyki“ (wódki), tobyś ją raczej wolał niż te źródła łask niebieskich?!

— Mówiący mówię: źle ten czyni, co wątpi, a jeszcze gorzej ten, co obiecuje i zaraz nie daje...

Podana też wnet szklanka „mastyki“ zniknęła w światobliwej gardzieli „drogiej osoby“, a woń przednia niby z truskawnika popłynęła po izbie, zachodząc słońcem oświetlonej.

— „Allah el basyr“ (Bóg jasności) otworzył teraz okienko mej duszy — rzekł Kuzgun, puszczając kłęb dymu z fajki — a to na to, aby w jej zwierciadle nie tylko się słońce ziemskie odbijało, ale i owo, co w zaświeciu wiecznie jaśnieje. Nie z tego bowiem świata mądrość dozwala mi oglądać oblicza: Pana Światów, „welich“ (świętych), proroków, Kalifów, nad którymi „Humaj“ (orzel niebieski) swe skrzydła boskie rozciąga!

— Chciałbym temu wszystkiemu wierzyć — odpowiedział Puk — gdybym ujrzał na własne oczy...

— „Waj! waj!“ alboż to ludzkie oko może

znieść widok „dżina“ (geniusza), co podaje widoki Allacha do zwierciadła duszy wiernego?

— Zapewne w garści podawanego?!

— Zgadłeś, ale w tak szerokiej, jak cały świat, niewyczerpana łask krynica do skończenia wieków... Ty, beju musju, nie chcesz uwielbiać naszej wiary ozdób, owóż ci mówiący rzeknę: azaż nie temi drogami przyszło światło do „słodkiego szejcha“ (Saadego), do „rajskiego“ Firduziego, do „zachowawczego“ Hafiza, do Nisamiego, do Enwerego i do „chorążego gotowego iść do piekła“ Amrillkaisa, którego tu, w Angorze, spoczęły zwłoki światobliwe, strute kosztłą miłośnicy zdradzieckiej? Temi, temi! A gdy dodam do nich i naszych: Bakiego, oraz Szejki Mołę, to wołam w uniesieniu: wieczności! oni są twym wiernym odgłosem i zwierciadłem.

— Zabawki od stworzenia świata najlepiej się ludzi imają...

— Gardzisz naszymi poetami i prorokami? dobrze. Ależ co powiesz na takiego: Ibn Sinà (Awicennę), Ebn Raszd'a (Awerresa), Ibn Kothaira'a (Alfraganusa)? Wszak to z nich powstała wasza: filozofia, fizyka, astronomia, chemia, algebra (ostatnia naprawdę jest wynaleziona przez Greka Diophanta). Widzisz, gdyby nie ta garść, z której szydzisz, i zwierciadło, w które nie wierzysz, mielibyście wy dziś waszą cywilizację i bogactwo, o jakim świat dotąd nie słyszał?...

— Tak rozpalilo się w nas pragnienie słuchania twej prawdy — wtrącił Wacław — że koniecznie trzeba, aby dolać najprzód do źródła, z której ona tak wspaniale płynie... Walku! doleżcie „mastyki“ do nieocenionej krynicy mądrości. Ale do czego to ona zmierza tak klucząc?

Walery nalał „mastyki“ i podał derwiszowi, który przy tem szepnął mu na ucho:

— Siły musimy, effendi, należycie przedtem pokrzepić...

— Cóż tak tajemniczo? — pytał Walery uśmiechnięty.

— „Język jest największym nieprzyjacielem człowieka...” Zobaczysz jaka cię radość niespodziana dziś spotka.

Walery nie miał czasu wdawać się w bliższe zbadanie szczegółów tajemniczych obietnic, gdyż kotara uchyloną została, a z pod niej wyjrzała uśmiechnięta twarz nabrzmiała Hansa Abramsohna, z nią zaś razem nos bulwiasty, granatowy jak śliwka, i porcelanka w ręce.

— Melduję pokornie! najposłuszniejszy sługa! — wyrecytował Hans w mowie ojczyściej.

— Śmiało tylko, śmiało! — wołał Puk — prosimy znakomitego artystę, alez prosimy do środka. A reszta kolegów-artystów?

— Idą, już idą...

I Hans z nie zrównaną cyrkową figlarnością posunął się na środek izby, wywijając ręką błyskawicznie „temene” na wszystkie strony, nawet tam, gdzie ludzi nie było. Wyklaniawszy się należycie, artysta usiadł obok derwisza, swego dobrego znajomego, milego w Bachusie confratra.

— Reszta kolegów, ser Puku, postępuje tuż za mną — mówił Hans, ponownie młynkując ukłony na wszystkie strony — oczekuje tylko przybycia wielobnego wartabeta. A mundur jest?

— Oczekuje na pana w całej okazałości — i Puk podniósł trykoty pokryte wizerunkami — bądźcie spokojni, cny inżynierze: nie wiem, jak mam cię tytułować?

— Nic na tem nie zależy, ser, jak znów skutek całkiem odwrotny nastąpić może, skoro mi gardło przyschnie...

— Szklaneczkę winka, czy pocziwego sznap-sika?...

— Ależ całe me życie za pocziwością przepadam?!

I czystej jak lza „mastyki” spłynął łyk w gardziel poświęcony wyznawcy Bachusa, aż mu oko zaświeciło. Jako spolonizowany Niemiec, Hans, chrząknawszy, zażądał kawałka chlebusia z solą.

— A może na drugą nogę? — pytał Wacław, podając Hansowi tytoń do porcelanki.

— Alkohol budzi energię w mięśniach i artyzm rozgrzewa...

— Tylkoż, na Bachusa! artysto-inżynierze, czy inżynierze-artysto — wołał Puk — żeby tylko przy tem nie nastąpił zbytek przybytku sił, co nie da usiedzieć równowadze w skórze apolinowej.

— Od przybytku, ser, głowa nie boli. Co zaś do siebie wyłącznie, to mogę pana upewnić, że z tym zbytkiem wyrastają mi zaraz skrzydła Merkurego u nóg, a ciało się na najprawdziwszy kauczuk amerykański przerabia. Tak, tak!... Ale oto widzę i wielobnego „wartabeta”, przypominającego mi Merlina czarodzieja...

Śmiech wesoly zawtórował jednocześnie łykaniu przeciągiemu Hansa i szarganiu nóg za kotarą, która się wnet podniosła. Na czele, niby tryumfator, postępował „wartabet” Abramjan, przyczem szczerzy jego profil miał minkę, jakby się słoninką delectował. Za nim postępowali lwy angorscy chałatowi, śliczny Artin i z zuchwałym nosem Ohanes, również szlafrokowego autoramentu. Po przywitaniach Puk wykrzyknął:

— O! yes, to lubię. Zdaje mi się, że jestem w Europie, gdzie ludzie wiedzą, jak o czasie pamiętać trzeba. Raczej nas teraz, najakuratniejszy wartabecie, objaśnić dokładnie, chociażby o tytule twego znakomitego utworu, boś go zachował widocznie na ostatek?

— Chciałem wam istotnie miłą niespodziankę sprawić... Objaśniłem, co za kostiumy sprowadzić macie, ale teraz nastał czas wielki, abym i sam ty-

tuł wymienił. Dramatowi memu dałem skromny tytułik: „Arka Noego i kara pampur“ (kolej żelazna).

— Wiwat! niech żyje „Arka Noego i kara pampur!“ Stuknijmyż się w kielichy!

— Zdrowie autora, aktorów i dyrektorów! — wniósł Wacław, wychylając kielich wina.

— Już też widzę, jak z tem winem, czy bez niego i nasze węgle kamienne popłyną... A może i pojadą?!

— Będzie jedno i drugie — dodał Hans, chłonąc wino z kufła kwartowego — bo kolej bez węgla, to kufel próżny...

— Tytuł wart autora, a autor tytułu — wołał Puk — mam nadzieję, że treść jego godną będzie, a nawet o wiele przewyższy „Sen nocy letniej“. Ależ nie tracimy czasu na próżno, bo oto i nasz zacny gospodarz, Omik, ze swemi skrzypkami czarodziejskimi i tuż przy nim antyczny wyrostek z fletu i...

Poczęstowawszy trunkami i przekąską wszystkich, Puk wziął laskę do ręki i mocno nią zapukał po kufrze.

— Moi panowie i panie, choćby nieobecni! Nie sądzicie, aby ten sprzęt cyprysowy miał być kufrem prozaicznym; nie, jest on co najmniej górą Araratu, a co najwięcej i najprawdopodobniej, tąż wyżyną niebotyczną ze spoczywającą na niej Arką, którą ród ludzki przechował, czy przemycił do dni naszych, to na jedno wyjdzie pono, albowiem kobiet w niej nie było...

Skrzypce teraz na dany znak przez wartabeta, który z dzwonkiem kościelnym stanął przy kufrze, zamiast Puka — zagrały jakiegoś marsza, przypominającego hurkot magli, pianie kogucie, koźle i baranie beczenie w tonie patetycznie lamentującym. Rozbrawszy pomiędzy siebie kostiumy, wyrostki pod wodzą Hansa zniknęli razem z nim za kotarą.

Postać „wartabeta“ przybrała tymczasem wyraz ten sam, co Cezara, gdy przekraczał Rubikon.

Dzwonek jęknął. W przedpokoju pełno było widzów obcych.

Rozpoczęło się widowisko: „Arka Noego i kara pampur“, w tureckim języku. Za i przed kotarą ci-sza głęboka zapanowała.

Kotara podniesiona została.

Wszedł na scenę nieco blady, acz mocno stąpający Ohanes w błękitnej szacie patriarchy, z gołębiem w ręce. Stanął przy kufrze i zadeklamował:

Noe. „Jam jest Noe, budowniczy Arki tej,
(tu uderzył po kufrze)
Co zawiera według słów Biblii świętej:
Zwierz, ptactwa, owadu wszego parę,
A choć ludzie pamiętać będą tę karę,
W Boskie atoli nie zwątpią miłosierdzie,
Bo na niebie ta tęcza świecić będzie!...“

I tu Noe Ohanes ręką wskazał na wchodzącego Artina, z tamburinem i szalem w obu rękach, rozwartych nad głową. Rekomendacja tęczy była jeszcze zwięźlejszą, jakby obliczoną na skalę malusich ustek Artina.

Tęcza. „Ja jestem od Boga zesłana tęcza,
I mam świecić na niebie w półobłeczcu.
Hosanna! weselcie się i
radujcie!...“

Puszczony teraz z rąk Ohanesa gołąb, zamiast wylecieć przez okno, łopocząc i świszcząc skrzydłami, zawinął koło po izbie i usiadł spokojnie na kufrze. Śmiech bynajmniej nie zdekoncentrował swojego stworzenia.

— A ty niesumienny pocztylionie — zawołał Puk, zabierając gołębia i puszczając go przez okno — przynosze nam prędko wieść pożądaną!...

Gołąb poleciał, a tuż weszli na scenę: Sem, Cham i Jafet. Szata Sema była błękitna, Jafeta szkarłatna, a Chama czarna; każdy z nich miał na

plecach skórę kozy angorskiej tej barwy, co i suknia. Noe namawiał dzieci do zgody i poszanowania rodziców, nie zapominając karcieć rozpusty, z siedmiu grzechami głównymi, co właśnie sprowadziły straszną karę Boską potopu na ludzkie plemie. Zakończył swój długi morał wykrzyknikiem:

Noe. „Ale oto widzę tuż i gołębia,
Co zwiastować ma, że już oschła głębia.

Wszedł chłopak z gołębiem, w dziobku którego uwiązana była gałązka oliwna, umyślnie sprowadzona z cieplejszej okolicy. Wziąwszy gałązkę do ręki, Noe długo deklamował nad nią, poczem wezwał synów, aby uczyniwszy z wina ofiarę, zlewkę Bogu, razem z nim rozpoczęli płasy święte przed arką. Noe przytem gęsto zaglądał do ofiarnego naczynia i wesoło wykrzykiwał na widok wychodzących z wierzganiem, rykiem, bekiem zwierząt z arki do przedpokoju, a którymi były dzieci odpowiednio przebrane. Zachęcał dzieci-zwierzęta patriarchy do płodzenia się i rozmnażania, a to pomnażało w nim ochotę do komunikowania się winem ofiarnem, tak, że na ostatku padł na ziemię w postaci nietrzeźwej i nie całkiem estetycznej. Jako istny protopłasta wszystkich humorystów, Cham nie wytrzymał i zaczął szydzić z rodzica, zwlekając jednocześnie z niego i szatę wspaniałą. Wśród tej walki dowcipu z patriarchalną prostotą zbudził się Noe i z niewysłowionym patosem wyrecytował klątwę na syna:

Noe. „Chamie! ród twój na wieki odtąd przeklęty,
Ty, czarny, wciąż bity będziesz w pięty,
Sługą będziesz ty nędznym w wiecznej pracy:
Wždyć w święto cnej ci zabraknie macy!
I za katy! by srożej cię ukarać,
By zarobek lichy nawet odebrać:
Niech tu leci jak Erynij mściwych chór —
Ten, co zmiecie z ziemi cię — kara pampur —
Precz z drogi!...“

Podczas gdy Cham zmiatał co żywo, a Kuzgun wyrażał głośno zachwyt nad rymem ostatnim, za sceną dał się słyszeć świst przeraźliwy w dwa palce, chrapanie i dudnienie. W progu właśnie stanął kara-pampur, buchając dymem z pod maski, mającej na głowie komin, na całym ciełe wizerunki: szyn, lokomotyw, pociągów, tunelów, a na piersiach godło kolejowe, srebrne skrzydła Merkurego. Świst przeraźliwy ponowił, warknął, zaklekotał językiem i bokiem na rękach i nogach wtoczył się na środek pokoju. Pod muzyką tam i napowrót wywrócił koziołka, a następnie jednym sussem stanął na kufrze, robiąc ukłon cyrkowy z odsłonięciem maski, którą przyciskał do serca. Burza oklasków odpowiedziała na salutacje kara-pampura w trykotach.

Mistrzem niezrównanym, co ucieleśnił kolej tak dowcipnie, któż mógł być, kto inny, jak nie sam inżynier, Herr Hans, ublanszowany i urozowany należycie?... Gdy grzmot oklasków ucichnął, kara-pampur, po zrobieniu ukłonów na wsze strony, rzekł:

— A teraz zobaczycie, bejowie, effendowie i cni panowie, jak to ja, kara-pampur, przebywam mosty. Hej! most dawaj!...

Wybiegło kilku chłopaków i stanęło w dwa szeregi przed Hansem.

— A woda gdzie? — krzyczał dalej artysta, wydając świst przeraźliwy.

— Zaraz, zaraz, cny pampurze — opowiedział Puk, ustawiając szklanke na głowie ostatniego chłopca — „allons passez coco-pampur!“

Hans dał susa, zrobił koziołka w powietrzu i z niezrównanym sprytem uchwycił zębami szklanke z głowy chłopca, którą wypił nie dotykając rękami. Zapach mastyki wybuchnął razem po pokoju z oznakami głośnemi zachwytu nad sztuką.

— A teraz, moi panowie, ujrzyście jak ja, kara-pampur, w krwawym pocie tunele przebywam!

Po świśnięciu ponownem i chrapięciu, Hans,

nie mogąc dłużej wytrzymać, zaciągnął się z porcelanki, buchnął przez nos dymem i z ustawioną na głowie szklanką z czerwonym winem na ten raz przesunął się koziołkiem przez obręcz. Nowa ta scena, rzecz prosta, zakończona została wypiciem wina, ku niezmiernemu podziwieniu i uciesze publiczności.

— A teraz gdy już Cham upokorzony należycie został, ja, kara-pampur, wozić będę najdostojniejsze osoby!

Po świśnięciu urzędowym Hans stanął na czworaka, do góry brzuchem, i zaczął klepać dloniami i podeszwami po ziemi niecierpliwie.

— A któż to mają być te najdostojniejsze osoby, co pierwsze pojadą? — pytał Wacław.

— Któż inny, jak nie nasi najznakomitsi dygnitarze: wali-pasza i nadinżynier?! — odpowiedział Puk i skinął na dwóch chłopaków, co parę osłów w arce przedstawiali — hej! wy długouchy, siadajcie na kara-pampura...

Wśród homerycznego śmiechu chłopacy, włożywszy swe osłe głowy na własne, stanęli na brzuchu Hansa i rozpoczęli wjazd koleją naokoło pokoju. Na ten widok „wartabet” załamał ręce, zbladł i podbiegł do Puka.

— Ależ to nie tak! — wołał Abramian zrozpaczony — toż przecie aniołowie mają paszy narzędzia podać. Aniołowie tu!

Dwaj przesłiczni chłopcy, z gęsiami skrzydłami do góry na plecach, w białych komeżkach, w lokach: jeden z łopatką, a drugi z motyką pozłacaną, skoczyli do osłów i podali im swe narzędzia. Śmiech homeryczny na ten raz powstały zagłuszył zlorzeczenia wartabeta, który, zepchnąwszy obu osłów z brzucha kara-pampura, kazał, aby aniołowie na ich miejscu stanęli. Posłańcy niebios, objechawszy naokoło izbę, zeskoczyli ze swego wierzchowca do góry brzuchem i składając narzędzia na znak hołdu u stóp

Puka, wyrecytowali powinszowanie niby do paszy, zakończone wykrzyknikiem:

— „Padszach czok jaszal!” (Niech żyje pady-szach.)

Zapał niesłychany ogarnął całą publiczność, która była zachwycona sztuką, a zwłaszcza końcową produkcją akrobatyczno-clownowską. Wschodni gust oczarowany został przedstawieniem, niewidzianem dotąd w Angorze. Podzielając to powszechne usposobienie, Onik zgrzytał smykiem, jakby pił w parowym tartaku; Artin-tęcza huczał, brząkał i furczał w swe „szeszoto”, a fujarkiewicz flecista chciał świst lokomotywy naśladować.

Jak cień Banka, ukazała się niespodzianie za publicznością, w przedpokoju, biała szlafmyca Gomułkowskiego, który robił Wacławowi jakieś rozpaczliwe tajemnicze znaki ręką. Litwin nasrożył czoło i trząść zaczął głową; znaki atoli Dydaka wzywające widocznie na tajemną naradę, pomimo to nie ustawały. Znecierpliwiony Wacław, wyszedł zresztą do kucharza.

— No i cóż tam tak nagłego zaszło — pytał kucharza — może jeże poucikały?!...

— Szczęśliwej drogi! — mruknął Gomułkowski, machnąwszy ręką — jo bo względem większej okazji: był tu z Abdutą ten „chadziom” Fedio, żeby mu tam fe zrobili pod nosem...

— Zkąd to Gomułkowski wziął tego „chadzoma?”

— Abo to prose pona kapitana nie ja wzion, tyło jest taka francuska ranga w indzinieryi.

— Ze smorgońskiej akademii?!...

— Chyba, że pon pułkownik Abramowic jest cygan, a no, to i jego uzędniki z ty akademii?! Prose pona, tak—cy siak, Fed’ był i niepościwie psysed na kuchniom, tak sobie, niby papiroskę zapalić, a za nim włók się tyz ten zbój Abdulla...

— A to ma czym głowę zaprzatać ludziom?! Wszak kuchni nie spalili?!...

— Joby mu podpalił, choć to ón i peda, ze jest „chadziom?” A ja tylo względem tego, ze ón widziol iize i tak se niepocciw zerkał i mamrotał: co to wy juz Jormiany zostali?!

— Cha! cha! cha! to tyle calej biedy?

— Tylo, nie tylo, a jo po sprawiedliwości pedam, ze óni byli tu na psepiegi i pošli ztąd prosto do swego pułkownika indziniera... A i to jesce, peda ten „chadziom”, zebym powiedział temu skockowi, Hansowi, coby sed zara do indziniera.

— Proszę teraz się uspokoić i podawać porządnie wiecezrę.

— Słucham pana kapitana!

Wróciwszy do pokoju, Wacław opowiedział swe zabawne zajście ze starym kucharzem.

— Muszę powtórzyć, co przed tem mówiłem — rzekł Walery — prostacy mają dziwne instynkty.

— Cóż taki Fedio może zrozumieć, inna rzecz z tym Mongołem, Abdulla?...

— Wart Mongoł Ruteną, a Ruten Mongoła. Wy tam nie znacie tego zlewku: Scytów, Pieczyngów, Chazarów, Awarów, Besendyczów, Karakałpaków, co to się ze Słowianami połączył; tny go w Galicyi dopiero poznaliśmy i wiemy, że jest stokroć gorszy od prawdziwego Mongoła. Nie trzeba lekceważyć takiego Fedia, jest to specyes w swym rodzaju...

— A ja ci powiadam, że jesteś czarnowidzem galicyjskim i nic więcej; zółci sobie napróżno nie poruszaj!

— Dobrze to mówić człowiekowi, któremu się wszystko uśmiecha; ale ja muszę na rzeczy inaczej patrzeć...

— Czy nie chcesz mnie przypadkiem posadzić, że gonię za dobrobytem? Nie, bracie Galicyaninie, to trochę dla mnie za mało... Patrz raczej w słońce, w to nasze, wielkie, a wówczas ujrzysz, że jesteś na zlej drodze...

— A zkadże ty przychodzisz do tego, by słońce świeciło w nocy?!...

— Musi ono zawsze świecić dla wierzącego statecznie...

— Z twoją naturą zanadto się zrosły pojęcia Wajdemuta i Margierów; do mej, łagodnej, trafić one nie mogą. Mnie koniecznie potrzebne oblicze miłe, w którembym odbicie jego widomem było...

— Ostrzegam cię, bracie! tak mówić wtajemniczonymu nie wolno. Rozszerz widnokręgi swych pojęć, inaczej biada ci! Zniknie przed tobą Wschód majestatyczny, do którego dążyć zaprzysiągłeś.

Ciemna ta mowa obu przyjaciół ztąd pochodziła, że jako Młodzi Włosi używali języka wolnomularskiego. W nim Wielki Wschód ze swym Wielkim Budowniczym jest zarazem największym wielbicielem i Wielkiej Tajemnicy, ubóstwianej w misteriach: Izdydy, Ozyrysa, Jowisza, Serapisa, Phta. Kult świeckiej czci dla tajemnicy hieratycznej, opartej na powszechnem braterstwie ludzi i ludów, przeszedł i do nas na podstawie esseńskiej doktryny chrystyanizmu. Żyjący ten zabytek mistyki filozoficznej cywilizacji pogańskiej, z jej rytuałem i dekoracją symboliczną, dziwnie rzewne uczucie wywołuje, pełne wzniosłej zachowawczości. Ańarchia wszelka wśród zagrobowego blasku mistyki gaśnie, gdyż ta ostatnia czerpie swą moc w źródle wiedzy filozoficznej, której chodzi przedewszystkiem o wyszukanie klucza do harmonii powszechnej. Jak tego rzędy niektóre nie pojmują?... Nasi „tiflikdżowie” rozumieją to dlatego przedewszystkiem, aby tem łatwiej z tureckim światem rewolucyjnym wejść w stosunki; bo „Szczery Bracia” to masoni tureccy, którzy kadry rewolucyjne w Turcyi wypełniają.

Jako Szczery Brat, derwisz Kuzgun, pomimo swego nalogu wstrętnego, był gorliwym wyznawcą wolnomularstwa, dlatego chciał wiedzieć, o czem teraz „bracia” rozmawiali. Kiwał tylko głową, dowie-

dziawszy się o zwątpieniu brata, i wymawiał mu, że tak prędko zapomniał o jego przyrzeczeniu na wstępie radości niespodzianej, mającej dzisiaj jeszcze nastąpić.

Noc zapadła, goście wesoło opuszczali mieszkanie „tiftikdżich” Europejczyków. Kuzgun, choć pił za dziesięciu i ledwo stał na nogach, był jednak całkiem przytomnym.

— Czas, bracie! — rzekł do Walerego — czeka na nas szejch Mewlewi. Dusza twa napije się rozkoszy „salsebilu”, a oko spocznie na „pałacu z masy perłowej” (mieszkanie hurys w niebie).

Walery ociągał się z odwiedzinami, ale Wacław i Puk nakłonili go ostatecznie do odwiedzenia „szejcha”, gwardyana kręcących się derwiszów Mewlewi, gorliwego członka Szczerych Braci. Wobec tych nalegań „braci”, Walery musiał pójść za swym nie-trzeźwym przewodnikiem, czkawką znaczącym ślady swe w ciemnych uliczkach, nie znających wcale latarni, jak we wszystkich wogóle miastach i miasteczkach Wschodu, prócz chyba jednej stolicy i kilku większych portowych miast, wyszłych już z pod opieki idyllicznego patryarchalizmu i „zarażonych” bezbożną cywilizacją...

Światło księżycy zresztą ukazało się z za chmur, zwykle tu wcale nie częstych, i oblało gmach „mewlahane”, klasztoru derwiszów Mewlewi. Kuzgun w znany sobie sposób zapukał i został natychmiast wpuszczony do sklepionej „talari”, sali, refektarza klasztornego, oświetlonego dużym pajakiem ze świecami zielonemi, obwieszonemi szkiełkami pryzmatycznymi. Naokoło „talari”, na sofach popod ścianami, zielonem suknem pokrytych, siedział cały konwent „drogich osób”, derwiszów, w swych maku-trach filcowych na głowach, w „hyrkach”, habitach z „wielbłądziej” sierści, zajętych paleniem „nargilów”, nieustannie gargoczących i bulkoćzących w swych kryształowych flaszach. Ojcowie odpra-

wiali „syestę” po wieczerzy, oczekując na „izan”, zwiastujący „gedże”, północne nabożeństwo. Wiedzieli oni napewno, że „Allah el Melik” (Bóg-Król) najlepiej prawowiernych lubi, gdy ci czczą go ustawieni w dwa szeregi, jak to czynią w niebiesiech „kerubjuni” (cherubiny). Militarizm ten niebieski, wprowadzony przez „pieczęć proroków” (Mahometa) do jego „dostojnej księgi”, w „suracie”, „Pułki”, niezaprzeczenie natchnął był i Andrzeja Towiańskiego w jego taktyce mistycznej szturmowania ziemi przez kolumny duchów, jak również też służy za podstawę regulaminu Armii Zbawienia, która już całkiem pozytywnie uzmysłowiła nam ten niezrównany dogmat z pod tołumbasa i koszarowej etyki. Dogmat ten, zwłaszcza podczas „gedże” w swej chwale rytualnej występuje, gdyż ojcowie wiercipięty kończą swą wojaczkę dzienną... z wiatrakami podsuwania się kolumn „dżinów” pod fortecę islamu. Walczykiem szalonym do poduszki. Co to może słowo natchnione?!...

Ukazanie się Walerego i Kuzguna powitane zostało przez powstanie zgromadzenia na jedno kolano, a sam „szejch” — zmiłowanie Allacha nad nim! — wyszedł na ich spotkanie do progu „talari”. Po poczęstunku sakramentalnym kawą i fajką, szejch, mężczyzna w sile wieku, dał znak ręką, że chce mówić. Cisza nastąpiła głęboka.

— Od muru „Orfu” (raj opasującego) dostałem dziś, „drogie osoby”, „sznur pereł bahreimskich” (pismo, wieść) — rzekł szejch tajemniczo — a który to oko mej duszy rozebrało. Anioł Gabryel, pozdrowienie mu! ten sam, co pisał Dostojną Księgę, w bęben niebieski pobudkę uderzył. A wiecież po co? Oto, żebym wam zwiastował, jako radość wielką niebawem wśród nas zapanować ma...

— „Masza! masza!” — i lewe ręce derwiszów swe brody pomacały.

— I radzi tam są z nas w górze, gdzie są

księgi Siddzin i Illjun, radzi, bośmy w dobry czas pieczęcie nasze przybili na „mazbacie” (skardze, raporcie), co poszła do „sadrzama”, oby nami rządził zawsze! z żądaniem zabrania ztąd precz „jałandżich” inżynierów, a pozostawienia nam tu „brata” naszego, dostojnego, wysoce uczonego Walerego-effendiego, tu obecnego. Owóż stało się zadość sprawiedliwości i naszej prośbie: „jałandżowie” idą precz, a brat nasz „giul-niszani” (różany krzyż, czyli mason wogóle europejski), oby Ałlach miał nad nim zmiłowanie! tu pozostaje, jeśli tego sobie życzyć będzie. Po tom cię tu wezwał, wysoce uczony bracie! Tak.

— Isza!a! winszujemy—wołali derwisze, robiąc uprzejme „temesze” w stronę gościa i gładząc się po piersiach, przy głębokich westchnieniach rozkoszy.

Po chwili, gdy objawy współczucia umilkły, szejch ręką ponownie skinął, że mówić chce. Umilkli wszyscy.

— Aliści dumający dumam — rzekł szejch — że należy ci się, effendi inżynierze, większe uznanie z naszej strony, materyalny dowód zaufania głębokiego i troskliwości o twe drogocenne życie...

— Nagrodzony już zostałem dostatecznie — odpowiedział Walery—widząc waszą życzliwość i współczucie braterskie dla mnie, choć jestem cudzoziemcem i inowiercą. Bez pochlebstwa wyznaję, że mogą wam tych uczuć pozazdrościć europejskie narody.

— Nie jesteś też obcy wśród nas, raz jako Szczery Brat i jako Lechli Madżar (Polak), to zechciej sobie przypomnieć. Aleć to na nas wkłada obowiązek i tem większej troskliwości. Brat nasz w zakonie, Kuzgun-derwisz, objaśnił, że „nieprzyjacieli, co grozi życiu”, usadowił się na cię. Wroga tego zważyć postanowiliśmy. Staliśmy posły do „zahyda-baby” (ojca pustelnika), co siedzi w górach Ałlach-dahu, i uprosiliśmy go o ten „bektasz”, kamień święty, by ci mógł służyć jako skuteczny „amulet” przeciwko szatańskim zamysłom złych. Przyjmij go!

To rzekłszy, szejch powstał, wyciągnął ręce jak do modlitwy i zawołał uroczyście:

— „Bismillahi-r-rachmani-r-rachim!” (w imię Boga miłościwego i miłosiernego).

Poczem uściskawszy Walerego, oddał mu cudowny kamyk, mający u muzułmanów znaczenie najszych relikwii; był on też podobnie i zaszyty w rodzaj szkaplerza, przeznaczonego do noszenia na pierśsiach. Chcąc nie chcąc, Walery musiał przyjąć fetysza, to błogosławieństwo muzułmańskie na jego „ikbal“, przeznaczenie w ściślejszem znaczeniu niż „kismet“, uznając je za również dobre jak i każde inne z głębokiej wiary płynące. Ojcowie wszyscy po kolei ściskali tak zaszczytnie obdarzonego gościa. Tak wtedy już z inowiercami Młoda Turcja postępowała, a co zburzył późniejszy fanatyzm urzędowy.

Gargotania zresztą i bałkot w nargilach zwiastowały, że już ceremonia skończona. Derwisze siedzieli w milczeniu, zerkając z podełba na Kuzguna. „Kalender“ też pociągnął mocniej z cybucha parę razy i skinął ręką na znak, że chce mówić.

— Pytający pytam was, drogie osoby, azaż w suracie „Obwinięty płaszczem“ Allach nie powiada tak: „Nie pożyczaj z tem, żebyś nie miał zamiaru z tego korzystać“ — i Kuzgun zrobił tu dłuższą pauzę; — tak jest, pożyczylimy szczęście i zaszczyt od Walerego-effendego, oddajmyż mu je, a choć on zgodnie ze słowami Dostojnej Księgi nie żąda od nas lichwy, my ją wypłacmy, jak przystało na prawowiernych i uczciwych dłużników. Słuchaj, Walery-effendi, za zrządzeniem „walich“ (świętych) i Pieczęci wszystkich proroków dostaliśmy skarb ziemski w nagrodę. Odkryliśmy skarb koło Ajasz, co to go sułtan Bajazet Hdirim, w wigilię swej klęski tam zakopał, zabiwszy potem własnoręcznie obu grabarzy, użytych do tego. Połowę więc tego skarbu dla ciebie, o! szczęśliwy! przeznaczyliśmy. Tak.

Walery gotów był parsknąć śmiechem zrazu za ten prezent ze snu, jak się zaraz przekonał, z którego objaśnienia o odkryciu jakoby skarbu. Co wia-ry szczególniej dodało szanownemu zgromadzeniu Me-wlewi, oto, że goły „zahyd,” siedzący zawsze na lwie kamiennym przed „dżamją” sułtan Alleden, wi-dział właśnie przeszłej nocy loch pełen złota koło Ajasz. Objawienie to nabrało zupełnej powagi, gdy we wszystkich tych snach widywano gruszkę w po-lu, niezawodnie więc tę samą, pod którą skarb ten olbrzymi był zakopany. Rozchodziło się tu tylko o małą rzecz, mianowicie o wyszukanie tej gruszki znakomitej, którą jedni widzieli na wschodzie, inni na zachodzie, południu, północy. Ojcowie przeto wpadli na genialną w swej prostocie myśl, żeby wła-śnie wezwać do tej roboty fachowego inżyniera, za jakiego uznano Walerego, i zaofiarowali za to tak znaczną część skarbu.

— Gdy na mnie kolej mówienia przychodzi — rzekł Walery poważnie — powiem wam, drogie osoby, że nic z tego nie będzie, bo ja was na kosztą na-próżno narażać nie myślę.

— Naprawdę? jak to naprawdę? — zawołał szejch, a zanim i całe zgromadzenie.

— Ależ z pewnością; któż to widział wierzyć tak snom, bez żadnych dowodów rzeczywistych?

— Dowody? dowody?... Usłyszysz je wnet na własne uszy. Bracie, Sali! wezwijże Allacha do po-mocy i daj nam dowody.

— Jeżeli tylko na to Allah i jego zastępca, „Pieczęć proroków,” zezwala — rzekł derwisz Sali, najznakomitszy tamesz boży w zgromadzeniu.

Po krótkich przygotowaniach, zależących na zrzucaniu „hyrki,” Sali, w lekkiej szacie spodniej, namarszczonej w pasie, rozpoczął wirowy swój ta-niec, który się, jak zwykle, zawrotem głowy zakoń-czył i upadnięciem na podłogę z oznakami epilepty-cznymi katalepsyi. Jak u Pityi delfickiej, czy Sybilli

kumejskiej, również i z ust zapienionych derwisza wyrzywały się słowa niby to mierzone, zwykle cał-kiem ciemne.

— „Ilham!” (natchnienie) — zawołali derwisze i pomacując brody, dodali — „maszalla.”

Szejch podszedł do natchnionego i zapytał uro-czyście.

— Mów, wysłańcze Allacha, gdzie jest owa grusz, pod którą skarb Ildirima zakopany?

— Tam, gdzie się dwie linie proste spotkają od środka Ajasz-beli i Sulluk-giölu...

Walery był mistykiem, nic przeto dziwnego, że go to jasne powiedzenie zdumiało ogromnie. Dłuższe też namowy derwiszów pokonały zresztą jego nie-wiarę; zgodził się na rozpoczęcie poszukiwań. Der-wisze dawali ludzi, a on pracę inżynierską; za parę dni mieli w pole wyruszyć.

Wracając samotnie do domu, wstydził się i śmiał zarazem ze swej łatwowierności. Postanowił jednak zrobić próbę, bo go zanadto ściagała myśl bogactwa, które mu rękę Diurju zapewniało. Ani wiedział, jak a nim Abdulla krok w krok postępował.

VI.

Przed wycieczką swoją po zakłętę skarby do Ajasz Walery dopomagał swym nowym chleboda-wcom w tem, co im przyrzekł. Zakupywał u go-spodarza Abramowicza, brata Abrama-oglu, a ojca Artina, potrzebne wańtuchy, czyli „torby” na „tifik,” mający być wyeksperymentowane do Anglii. Chodziło o najzmuśniejszą część pracy, mianowicie o odbiera-nie worków i sprawdzenie ich całości i mocy, bo już ceny zgodzono.

Po dziedzińcu krzatali się ojciec Artina i on sam, wyciągając worki z najrozmaitszych zakątków, w ocze-kiwaniu nadejścia Walerego z robotnikami. W oknie

stał Abramowicz, w błękitnej bonżurze aksamitnej, w grochowych szarawarach z lampasami, w pantoflach, z myką paciorkową i gitarą na różowej wstędze przez ramię. Krzaczaste brwi i puklate wasy, jakby się rozpluskiwały na drożdżowej twarzy nadinżyniera, gdy tony wydobywały, a był biegtwy w sztuce grania na andaluzyjskim instrumencie, jak... krowa hiszpańska w języku francuskim... Widok Artina, który prócz tego, że z rysów przypominał Diurju, ale i co dnia bywał w jej domu, wprawiał niebiegłego inżyniera biegle palce w ruch po strunach, a przy dźwięku ich coraz rzewniej nastrajało się i jego oblicze drożdżowe.

Młodzieniec z gębusią podszedł pod same okno i ułożył cały stos worów. Stary seladon nie wytrzymał i głosem podobnym do skrzypu tabakierki zanucił pieśń „światową“ o Filonie, przytupując takt pantoflami. Śpiew żałośliwie czuły coraz się głośniejsz rozlegał, aż psy uliczne zresztą zaczęły mu wtórować delikatnem wyciem i skomleniem.

Brama od ulicy raptownie się otwarła i oko w oko stanął w niej Walery, parskając głośnie śmiechem. Śpiewak, jakby na węża nałepnął, odskoczył wgląd pokoju, zdjął zaraz gitarę, a natomiast wziął do ust sążniowy cybuch z bursztynem i podchodząc do okna napowrót, wytrzeszczał zjadliwe swe oczy racze na zuchwałego śmieszka. Usiadł następnie przy oknie, pod którym składał wory Artin, a Walery, pozdrowszy gospodarza i jego syna, podszedł właśnie do tej kupy towaru.

Niebawem, z tyłu za nadinżynierem, ukazała się głowa Abramczuka Fedia, który „meldował pokornie“ swemu zwierchnikowi o tem, że śniadanie już podano na stół, a zarazem prosił słodkim głosem, by wysłał do zatwierdzenia jego nominację na adjutanta inżyniera, już od kilka dni przez paszę zatwierdzoną, ale zalegającą dotąd w biurze szefa.

Ta właśnie okoliczność, wcale niewiadoma Wa-

leremu, ani europejskim „tiftikdzim“, spowodowała, że imć Fed' już od kilku dni powiadał, jako jest obecnie: „chadzą“, przeróbką „adjoint'a“ francuskiego na dyalekt kołomyjsko-turecki, którego nie był znów wstanie objaśnić komentarz mazowiecki „chadzioma“ Gomulkowskiego.

— Dobrze, dobrze, a już mnie nie nudź! — odpowiedział Abramowicz Fediowi, nie ruszając się od okna — co to oni tam za szmaty sprzedają?

— Proszu pana pułkownika — odpowiedział Fedio wyszczerzony — to nie je szmaty, ale „torby.“

— Komuż to, żebrakom sprzedają?

— Ale jakim żebrakom, też to pan Walery skupuje dla panów Inglizów.

— Co tam pleciesz, toż to żebracy tylko torby potrzebują?

— Cha, cha! pan pułkownik sprawiedliwie gadają. Prawda „didy“ z torbami wędrują, cha, cha! Rozmowę tę Walery doskonale słyszał, gdyż była głośnie toczoną tuż nad jego głową. Nie robił najmniejszego znaku, że ją słyszy i pilnie dalej przeglądał swój towar. Słońce świecić zaczęło w same oczy, stanął więc pod oknem, przy ścianie.

— I coby mu ta Diurju tam do łba nalała — mówił Abramowicz dalej do Fedia — że się tak poniewiera biedaczysko?

— Ta to pewno... Hi! hi! hi! a coby miała nalać?

Walery podniósł groźnie do góry czoło i pogroził pięścią, mówiąc:

— Słuchaj, brzydki starcze, pozbawiłeś mnie kawalka chleba z zazdrości; nie ci zato nie zrobiłem, ale wara od szkalowania dziewicy, bo cię dostanę w ręce.

— Ja cię pierwszej dostanę, żebraku! — i to mówiąc, Abramowicz końcem cybucha uderzył po głowie Walerego.

Niby lew raniony, Walery wydał z piersi ryk,

jednym susem stanawszy na worach, porwał Abramowicz za gardło i zaczął go policzkować. Zleciała i mycka haftowana i cybuch został połamany, a krew się sączyła obficie z nosa nadinżynierskiego, krzyczącego w niebogłosy.

— Abramczuk! Abramsohn! ratujcie! rozbój! za-bija! gwałtu!

— Proszu pana indziniera puskać!—wołał Fed', chwytając za rękę Abramowicza, aby go odciągnąć od okna.

— Jezus, Marya! ależ nie bij pan tak—krzyczał Hans, wpadając przez drzwi — czyż to się godzi za-służonego człowieka tak bić?

I cyrkowy artysta, porwawszy szefa za drugą rękę, odciągnął na środek pokoju. Manewr ten był wyborym do ocalenia drożdżowej cery pana nadinżyniera od przerobienia jej na czekoladową, czy śliwkową... Skoczywszy na ziemię, Walery sięgnął do kieszeni i wyjąwszy bilet wizytowy, cisnął nim w twarz osowiłą Abramowicza.

— Dasz mi, gałganie, satysfakcyę! — krzyknął Walery, łyskając oczyma — jeden z nas na polu zostać musi.

— Co? co on mówi? — pytał Abramowicz półgłosem obu swych urzędników.

— Nie bójcie się, panie pułkowniku—odpowiedział Fed', ciągle jeszcze trzymając za rękę szefa — powiadają, że muszą zostać u poli...

— Osiół jesteś! — i Abramowicz wyrwał rękę z opieki Fedia—cóżście to gawronili i na pomoc mi nie pośpieszyliście?

— Ale, a któż to was trzymał za ręki?—odpowiedział Fed' z godnością obrażoną—wy je brat Słowian, jak i my.

Podczas, gdy imć „chadzą“ Fed' usiłował usprawiedliwiać się, Hans z głębokiem współczuciem oglądał połamany cybuch i kiwał głową, machając jednocześnie ręką.

— Szkoda cybucha — rzekł Hans, westchnawszy—czyby mi go pan inżynier teraz nie podarował, wszak już z niego palić nie będzie?

— Ja ci dam prezenty! — ofuknął Abramowicz nieczulego podwładnego — pójdziesz jeszcze za to precz, coś sobie pozwalał dokazywać na przedstawieniu u tych urwiszów...

— Dalibóg! cóż ja winien?

— Tyś rozumniejszy od tego osła — i szef skinął wzgardliwie na Fedia—czyś słyszał, co ten rozbójnik powiedział, ciskając swój bilet?

— A no, nic niezrozumiałego; powiedział, że wyzywa pana inżyniera na pojedynek z tem, że jeden z was na placu pozostanie.

— To kryminal! Alboż w Turcyi wolno się pojedynkować? tu pojedynki uważają za zwykłe morderstwo! I ja miałbym się pojedynkować z jakimś Ormiaszką galicyjskim?! Te! niedoczekanie jego.

— Ależ to jak pan pułkownik nie staną k due-tu—zauważył Fed'—to się będą dusze śmijały!

— Zkąd tobie, osle, takie głupstwa do głowy przychodzą? Wiesz ty, że mnie znają wszyscy jako najstraszniejszego pojedynkowicza, który już nie jednemu ziemię kazał gryźć?

— Hej, ty tam śmiałku — naraz Walery krzyknął z za okna—a podnieś-że choć bilet z ziemi, jeśliś taki straszny pojedynkowicz?!

Abramowicz zbłądł i szepnął do swych podwładnych:

— Idźcież mi go zaraz aresztować!

Podwładni wszakże się nie kwapili wykonać rozkazu zwierzchnika, lecz jeden na drugiego tylko spoglądał jakoś pytająco.

— Cóż stoisz, Abramczuk?—wołał Abramowicz, szepcząc—bierz go zaraz!

— Ależ, pan pułkownik, oni je „krajają“—odpowiedział Fed' niechętnie—wstyd przed ludźmi...

— To ja cię napróżno robię adjunktem? Nic z tego nie będzie.

— Ehe, a jakże będzie, jak mnie zabiją? Czyż to pan pułkownik dziecko, że nie wiedzą, co to mogą zrobić człowiekowi ludzie wyzywający na pojedynkę?

— Fel ty tchórze Rusinie jeden. Ruszaj mi zaraz po kawasa i po komisarza!

Zaledwo ruszył z miejsca Fed', gdy na dziedzińiec weszli Puk z Wacławem, chcąc okiem rzucić na skupywany towar. Walery pośpieszył opowiedzieć o swej hańbiącej przygodzie i wnet wezwał obu, aby, jak stali, poszli w jego imieniu wyzwąć Abramowicza na pojedynkę.

— Sprawa poważna — rzekł Puk — chodźmy, panie Wacławie.

Wejście obu agentów handlowych zrobiło przygnębiające wrażenie na starym pojedyńkowiczu, zwłaszcza, gdy nawet usiąść nie chcieli. Wyzwanie nastąpiło w zwykłej, suchej i grzecznej formie.

— Ależ, moi panowie, wy jesteście sobie nie równi — odpowiedział Abramowicz zbiełały jak chustka, lecz pomimo to usiłujący naśladować spokój na twarzy — ja jestem wypróbowany duelistą, a on się nigdy jeszcze nie strzelał?

— Skoro wyzywa pana — odpowiedział Wacław — to spada na niego wszelka odpowiedzialność za następstwa niedobre. My chcemy tylko wiedzieć, czy pan przyjmuje pojedynek lub nie?

— Ależ, kto on jest? Jakiś tam Ormianin galicyjski, bez stopnia wojskowego, może on być mi równym?

— Słusznym byłby ten zarzut wówczas, gdyby na naszym przyjacielu ciążył jakiś czyn hańbiący; ale to, co nam pan przedstawia, nie zasługuje na uwzględnienie.

— Ja, dalibóg! słowo honoru! nie wiem zresztą, o cobyśmy mieli się pojedyńkować? To bagatela...

— To pan spoliczkowanie siebie za bagatelę uważasz?

— Jakie spoliczkowanie! Zastrzegam się najmocniej przeciwko temu, jakoby spoliczkowany został; otrzymałem tylko pewne psychiczne wrażenie na zmysł dotyku...

— Bardzo pięknie, ale my tu nie przyszlismy badać pańskiego wrażenia, chcemy jeno wiedzieć, czy pan dajesz satysfakcyę honorową panu Waleremu Abrahamowskiemu?

— Ale bo to pan zapominają — odezwał się Fed', który powrócił z przedpokoju, widząc grożące nowe niebezpieczeństwo szefowi — że to czołowiek ma je jedno życie? A pocóż to umierać, kiedy my mamy wszystkiego wbród; i „ajlik“ (pensyę) duży, i „flajsz“, i „wajn“, che! che!

— Czy pan jesteś świadkiem pana Abramowicza? — zapytał Wacław Fedia.

— A dlaczegożbym nie miał nim być pan Ahliczan? Albo to mnie nie raz przychodziło się świadczyć, jak był ja policajem?

— Wynos się mi tu zaraz za drzwi! — krzyknął Abramowicz, ujrawszy uśmiech szyderczy, latający na twarzach świadków Walerego; a gdy Fed' i Abramsohn za nim wyszli, dodał: — teraz panom mogę dodać jeden jeszcze szczegół, który zapewne uwolni ich od wielu przykrości.

— Cóż to za szczegół?

— Jako cudzoziemcy, nie wiecie panowie, że w Turcyi pojedynki są zabronione, a wszyscy ucześniczący w nich uważani bywają jako spółnicy morderstwa.

— Niech nas pan uwolni od podobnych przestępstw. My spowiedzi ze strachu słuchać nie przyszlismy; ale sądziliśmy po jego zuchwałej obeldze, że, jako człowiek honoru, dasz satysfakcyę obrażonemu?

— Ależ zważcie panowie na mój wiek i na

stanowisko, cóż ja pocznę wobec policyi, skoro interweniować zechce?

— Więc pan się boisz?—i Wacław włożył helm na głowę, a obracając się do Puka, dodał—chodźmy, ten pan nie daje satysfakcyi Waleremu.

— Ależ dwóch zabiłem w pojedynku—mruca Abramowicz, poźółkły, jak wosk, z ocznemi gałkami pobielalemi, jak porcelana, i całkiem na wierzch wy-lazlemi.

Przyjaciele Walerego mierzonemi krokami wychodzili z mieszkania szefa inżyniera z owym zabójczym uśmiechem, straszliwszym dla ludzi honoru od kuli morderczej. Mister Puk zastanawiał się nad honorem wogóle i w szczególe w zastosowaniu go do wojskowości. Byli już na ulicy.

— Wiesz co, skoncentrowany idealisto — rzekł mister do Wacława—dziwi mnie to niemało, kto nadał właściwie aż pułkownika rangę tak fatalnie nie wojowniczej osobie, jak pan inżynier „en chef.“

— Kochany ser elfie, musiałeś widocznie zapomnieć o prawie rykoszetowem—odpowiedział Wacław, ręce w tył zakładając — wiedz więc, że inżynier en chef, pułkownik Abramowicz, nosi tę wysoką rangę jako wojskowy jej brytańskiej mości.

— Dyabło! tom nie przypuszczał nigdy, że my takich zuchów oplacamy z naszej kieszeni? Mniejsza wszakże o brawurę, ciekawiej tu nieco wygląda kwestya honoru, który tak silnie niby ma przykuwać wojskowego do sztandaru?! Dyabło jestem wzruszony tym szwankiem zaszłym w mem pojęciu o nieomyślności mojej królowej, choćby na tym jednym punkcie.

— Możesz uspokoić, ser, swe wzruszenie, naturalnie w granicach owego psychicznego wzruszenia, którem się uwarunkowywa i wrażenie moralne. Nasz, a raczej wasz pułkownik, dosłużył się stopnia tak wysokiego, utrzymując wzorowy rygor i porządek

między osłami, mulami i wielbłędami w intendenturze wojskowej.

— Aż lżej oddycham! Toż jużem był całkiem zwątpił o mej ojczyźnie na wypadek, gdyby ją najechać zapróbowali Mongołowie, albo nawet choćby Zulusi pokonani?! Ależ oto i szanowny nasz klient, pan Walery.

Walery właśnie chodził niespokojny po ulicy, widział bowiem, jak Abramczuk po wypędzeniu z pokoju, pośpieszył szybko do „konaku.“ Szedł naprzeciwko swych niedoszłych sekundantów.

— No, mój Walku rycerski, choćbys chciał gwałtem umierać—rzekł Wacław—to pan pułkownik bez pułku zakazuje ci tego...

— Daj pokój żartom! — odpowiedział Walery nasrożony—co to ma znaczyć?

— Poprostu, bracie mój, stchórzył i to paskudnie, a więc twej wspaniałomyślnej oferty mordowania się dobrowolnego nie przyjął.

— Ja, kochany panie Walery, zamierzam z tej rący wystosować interpelacyę do naszego ministra wojny—wtrącił Puk, podkręcając wąsiki—mianowicie w tej materii: czy tchórz może być pułkownikiem i czy pułkownik może być tchórzem?..

— Dziękuję szanownym mym kolegom za facytę!—odpowiedział Walery posmutniały—a zarazem przepraszam panów, żem was naraził na przykre obcowanie z nikczemnikiem.

— No, idź że teraz, mój pogromco nieustraszonych pojedynkowiczów do domu — dodał Wacław — a my tymczasem sami odbiór worków uskutecznimy.

— Ja się ztąd nie ruszę—odpowiedział Walery—sam skończę, com zaczął.

— Ależ nie, ależ nie; ty, bratku, unosisz się rycerskością i coś innego dokonać zamierzasz?..

— A cóż innego, jak nie kije wyliczyć tchórzowi, który śmiał mnie zelżyć z za węgla? Nie ru-

sze się ztąd do nocy, póki tej starej ścierki nie wytrzępię należycie.

— Jeżeli tak, to i my, świadkowie, w honorowej solidarności musimy tu pozostać. Czy tak, ser elfie?

— Najzupełniej tak—odpowiedział Puk—możemy zaraz przed tą kawiarnią usiąść w oczekiwaniu, aż się szranki turnieju rozerwą i ja będę miał zaszczyt sprawdzenia ilości wrażeń psychicznych, jakie otrzyma skóra pułkownika mej królowej imości...

Nie pomagały wcale perswazyje Walerego, namawiającego przyjaciół, aby się usunęli od tej wstrętnej operacji, jaką uznawał za stosowne wymierzyć na grzbiecie zuchwalca; uparli się jak ci, co zakład niby zrobili i kamieniem usiedli przed kawiarnią licha, naprzeciwko samych okien Abramowicza. Po odpiciu kawy, dla oryginalności, kazali sobie podać „nargila“ i belkotali niemi bez miłosierdzia, ku wielkiej ucieście obsługującego chłopaka.

— Wiesz co, idealisto skoncentrowany—mówił Puk, belkocząc tak, że aż woda pobielala w „nargilu“ — uważam, że tylko w Austrii mamy jeszcze nieocenione resztki niepodrabianych Falstaffów? Powiedz np., czyś spotkał kiedy u nas, w Anglii, coś podobnego, jak ten rasowy pułkownik i to jego otoczenie? Nietylko Szekspir, ale Plaut, Molier i sama Szecherazada mogą wam, Słowianom, pozazdrościć tej kopalni charakterów...

— Gotowiśmy wam ją z dopłatą odstąpić—odpowiedział Wacław.

— Możeby to było i niezłe, bo my już stajemy się straszliwie monotonni, a więc i nudni... Jedno, co mi się nieco nie podoba, to pewna śmiałość zbyt duża waszych tchórzów i niedołęgów. Nie wiem, jakbyśmy z tem dali sobie radę, bo my waszej zbytnej pobłażliwości nie mamy we krwi?!

— To pono rozwierzganie naszego stada ludzkiego stało się przyczyną naszego upadku... Wasz

purytanizm surowy, tak rażący rozlaże trawozerstwo, oddał niezaprzeczenie znakomitą usługę swemu narodowi, wytopniając te pasożyty plugawe, co ośmieszyły i zdyskredytowały rycerstwo prawdziwe...

— Rad jestem słuchać twych pouczających teoryj, ale jako syn narodu przede wszystkim praktycznego, zastanawiam się nad tem: czyby nie lepiej było naszego Falstaffa słowiańskiego zmusić do pojedynku na boksy, z małym salto-mortale na deser?... Hej! chłopcze, a chcesz ty zarobić „beszlika“ (pięć piastrow)?

Ostatnie słowa mister Puk wypowiedział do chłopca kawiarnianego, który wnet objawił gotowość do spełnienia rozkazów Anglika. A w tymże samym czasie wyszedł z domu Abramowicza za bramę Hans i z zacięciem jakoś pociągał dym ze swej porcelanki, wodząc tęsknem okiem naokoło.

— Baczność! stać spokojnie! — komenderował Puk chłopakowi.

Następnie mister zdjął hełm, zakasał rękawy, zrobił młynca pięściami, wypunktował kufakami na powietrzu miejsca do trafienia, i nagle opuścił głowę do brzucha swego żywego manekina z wyszczerzonymi zębami. Chłopak mimowoli zgął się we dwoje, i zanim miał czas odgadnąć podstęp przeciwnika szermierza, był już ujęty za nogi około kostek i w mgnieniu oka został zarzucony „na barana“, na plecy Puka wyprostowanego, wszakże głowami na dół. Śmiech homeryczny powstał pomiędzy widzami, a Hans, ścisnąwszy mocniej munsztuk fajki zębami, w obie dłonie klasnął z całych sił brawo. Natura artystyczna Hansa przemogła rozwagę; zapomniał zupełnie, że miał nad karkiem czatujące oko szefa.

— A komu to bijesz brawo? — zapytał Abramowicz, raptem stając w oknie i pytając Hansa.

— Nikomu, panie nadinżynierze — odpowiedział zapytany, wyjmując fajkę — ujrzałem kota na dachu,

jak się skradął po gołębie i pragnąłem go spłoszyć...

— Nie byłbyś cyrkowym błaznem. No, ale ja żartów z siebie robić nie pozwolę; dosyć było twych popisów na próbie teatralnej, a teraz już ostatecznie zmuszasz mnie do wypędzenia cię ze służby. Od jutra nie masz miejsca w personelu drogowym!

— Ja mam nominację, i nie mogę być wypędzony jak pierwszy lepszy sługa.

— Dostaniesz więc jutro dymisyę według formy — i rozfuryowany szef odskoczył od okna.

— Ach! Her Jezus, co ja teraz pocznę z sobą?

— Panie Hans! — krzyknął Wacław — od jutra masz u nas miejsce z tą samą płacą, byleś się tylko zanadto nie bratał z Bachusem...

— Jak widzę, prawdziwy z pana rodak — wołał Hans, salutując Wacławowi — masz serce dobre, nie takie, jak u tego pułkownika bez pułku, co umie być odważnym tylko ze słabym i pałasować pieczenie, oraz galarety... Ja!

Dalsze słowa podzięki Hansa przerwane zostały ukazaniem się Fedia, idącego razem z kawasem Abdullą. Zrównawszy się z Hansem, Fed' wytarł spoconą twarz swym czarno-żółtym fularem i pocichu zaczął mu dysponować:

— Uważajcież, her kolega, żeby zara iść w pomoc Abdulle, jak bude hareshutowaty. Rozumiesz? — i Fed', choć nie dostał odpowiedzi, wszedł z kawasem pod bramę.

Nie czekając, aby go wezwano, Hans, podbiegł do Wacława i zdał sprawę z sekretu Fedia. Pomiędzy namowy towarzyszy, Walery postanowił nie opuszczać placu i kończył swe zatrudnienie odbierania worów. Na rozkaz Wacława Hans wrócił na dawne stanowisko i kurzył obojętnie niby porcelankę, klnąc pocichu.

— Rzecz tragiczniejszy charakter przybierać zaczyna — wołał Puk, belkocząc „nargile” i świdrując

oczami mieszkanie Abramowicza — zdaje się, że wypadnie użyć chorągwi jej brytańskiej mości...

Wacław nic nie odpowiedział, tylko skinął głową i oglądał pilnie miejsce, na którym siedzieli. Była to ulica prosta i nic więcej; niepodobny był tu do wykonania żaden fortel taktyczny dla odparcia przemożnego nieprzyjaciela. W głębi pokoju Abramowicza widział jak szef inżynier żywo gestykulując, wydawał rozkazy swemu policyantowi, Abdulle.

Pogłoski chodziły, że stosunek pomiędzy szefem inżynierem a jego policyantem, był natury dosyć podejrzanej. Pomijając bez dawania wiary pogłoski, jakoby Abdulla wybierał kubany za prestacje drogowe i takowe dzielił pomiędzy siebie, nadinżyniera i komisarza drogowego, Ibrahima-effendiego — były inne, daleko straszniejsze. Opowiadano sobie pocichu, że „kawas” Abdulla był poprostu opryskiem, i „przypadkowo” spotkawszy Abramowicza, będącego cego podówczas w Bolu, przystał do niego na służbę. Od chwili jego przystania do personelu inżynierskiego, w Bolu na dobre dopiero rozpoczęły się rozboje, które jednak nie nie szkodziły szefowi, owszem, z chudopacholka został raptiem bogaczem i siedziałby do skończenia życia na swej posiadzie, gdyby nie przykry wypadek, raczej figiel, jaki mu technika drogowa wypłatała. Pan pułkownik prowadził niby trasę z jednego końca, a wysokoczoną Fed' z drugiego, rzecz prosta, że to wszystką robili na oko. Nastąpiła potem robota. Szli tak sobie i szli kopiąc, aż nareszcie spotkali się w pewnym punkcie, z tem wszakże, iż końce trasy jednej były wyżej od drugiej o paręset metrów. Bagateli tej niezawodnie możnaby było zaradzić, gdyby wozy, konie, bawoły, osły, ludzie, mogli byli podostawać skrzydeł, jeżeli nie za plecami, to przynajmniej u nóg, ale że dotąd, niestety, nikt nie odkrył tego sekretu, przeto jakiś złośliwiec doniósł o wszystkim miejscowej władzy, która gwałtować zaczęła przed ministeryum. Nie

było rady, musiano ściągnąć cały personel z Boli do Stambułu i osadzić go na bruku. Stosunki dozwoliły jednak szefowi wycofać się z kłopotliwego położenia, dzięki gęsto rozdawanym „baczyszom“, podarkom, między Turkami i Turczynkami; dyrekcyja przeto dróg i mostów, po dodaniu do boku Abramowicza Walerego Abrahamowskiego, w roli właściwego inżyniera, wyprowadziła go znów na wysoką posadę nadinżyniera do Angory. Zaszło przytem jedno, godne zastanowienia zjawisko: oto z chwilą wyjazdu Abdullę z szefem do Stambułu, ucichły i wszelkie rozboje w Boli. Był to prosty zbieg okoliczności, czy coś bliżej dotyczącego Abdullę, ale to nas obecnie mniej obchodzi niż fakt jego przywiązania do szefa i ślepe wykonywanie jego rozkazów.

Po skończonej naradzie poufnej Abdulla z Fediem wyszli z mieszkania nadinżyniera i przystąpili do Walerego, który stał obok Puka i Wacława. Skrzywiwszy wzgardliwie swą twarz mongolską, kawas ponury grabnął ręką po powietrzu i rzekł:

— Chodź...

— A to dokąd? — zapytał Walery, biorąc kij do ręki i podniósłszy go do góry nad głową „kawas“, dodał: — pójdź precz, ty jakiś łobuzie („czapkin“)

— Zkąd masz prawo aresztowania mego pomocnika! — krzyknął Wacław — słyszysz? nie wolno („jasak!“), on jest protegowanym angielskim!

W miarę obelg i rozkazów, twarz Abdullę dziko się mieniła; drżała jak pysk wilka, gdy warczy. Nareszcie wyrwało się z jego gardzieli coś podobnego do pisku i szypienia, co wyrażało uczucie śmiertelnej obrazy; macnął po broni na brzuchu, ale w tejże chwili błysnął rewolwer w rękę Puka, który go zawsze nosił w kieszeni, zwyczajem angielskim na Wschodzie.

— Matka cię niepotrzebnie powiła na świat — ryknął Abdulla w stronę Walerego — „Ałlach ama-

net!“ (Bóg mym zakładnikiem) prędko pójdziesz ty na cmentarz!

— Ruszaj ty, proroku! jeśli nie chcesz — odpowiedział Walery — aby kij ten cię do tego zmusił...

Obrażona godność prawowiernego, co to traktuje każdego „giaura“, jak „giaur“ np. żyda u siebie, przygniotła ołowiem do ziemi Abdullę, który jakoś tylko zaskomlił na tę śmiertelną obelgę i pobiegł w kierunku rządowego „konaku.“ Rzecz godna zastanowienia, oto Koran ciągle nawołuje: „Ałłach nienawidzi człowieka dumnego!“ — tymczasem wyznawcy jego, najciemniejsi nieucy na ogół i niewolnicy wstrętni względem swych współwierców, bywają tak pyszni wobec ludzi innych wyznań, jak żadni inni półgłówki rytualiści na kuli ziemskiej! Widoczny to owoc bezkrytycznych illuminatów, którym się zdają retoryczne niespodzianki za nieomyłne prawdy, kiedy ich wartość zgoła na czem innem polega.

Fedio nie czekał też dłużej i żwawo zmykał ku bramie, a gdy stanął obok Hansa, płaczliwie zawołał:

— „Bih me!“ „zara,“ „cily“ patrol sprowadzą... „Prijde“ pan „bin-baszi“ (policmajster, major), bo taki je „befel...“ Będą strzelać, skoro nie posłuchają.

Podczas gdy Fed' uciekał na dziedziniec, Hans, naturalnie zaraz doniósł nowym chlebobdawcom, co słyszał. Odesławszy Hansa na dawny posterunek w bramie, ze zleceniem śledzenia wszystkiego, co władza policyjna zarządzi, sekundanci i duelant, po cichu naradę rozpoczęli. Stało na tem, aby Walery nie stawiał oporu, gdyby go Turcy siłą zechcieli aresztować, a Puk natychmiast o tem zawiadomi telegrafem ambasadora.

Czekali niedługo: patrol z „bin-baszim“ na czele szybko obstał Walerego.

— Wybacz, Walery-effendi, ale muszę cię duszko aresztować — rzekł „bin-baszi“ słodko.

— „Jasak!“ (urzędowe — niewolno) — zawołał Puk z ową niezrównaną wyniosłością brytańską, co na proch ściera dumę muzułmańską — imieniem jej królewskiej mości zabraniam komubądź dotykać tu obecnego inżyniera Walerego Abrahamowskiego, który jest protegowanym angielskim!

— Ależ, „beju mosju“, trzy kryminalne zbrodnie ciąży na waszym protegowanym: 1^o zamiar zabrania ukradkowo i przywłaszczenia sobie połowy skarbów padyszacha, oby zwyciężał! 2^o zamiar dokonania morderstwa na nadinżynierze Abramowiczu i 3^o zamiar wzniesienia buntu przez urządzenie próby teatralnej? Tak.

— Otóż te wszystkie zamiary zgola nie stanowią istoty czynu w naszym pojęciu i będą przez nasz rząd uważane jako głupie i nieczne kłamstwa, za które, gdyby weszły na drogę urzędową, pasza, a razem z nim i ty, „bin-baszi“, pójdziecie obaj precz ze służby i dostaniecie się jeszcze do kozy. Rozumiesz?

— Co ty doprawdy, „beju-musju“, alboż to kłamstwo? Mamy na to wszystko świadków. W Ajasz skarby miał...

— A ja ci powiadam, że kłamstwo, i to o ile beczelne, o tyleż głupie!

— „Waj! waj!“ czyż się godzi tak hańbić władzę?

— Władza, skoro nie słucha lub nadużywa prawa, staje się bezprawiem, łotrowstwem. Rozumiesz mnie?...

Mały Anglik jowialista, w głębokim poczuciu godności i siły narodowej, przerósł o całą głowę wszelką powagę turecką i zdrętwił swobodę poruszeń jej przedstawicieli. Z pod maski wesołej i obojętnej kupca błysnęły straszliwe pazury albiońskiego lamparta, gotowe rozszarpać w sztuki święty półksiężyc...

„Bin-baszi“ był zanadto Turkiem, ażeby nie

wiedział, jako pogrożki angielskie mogą istotnie wielce nadwerżyć jego „kief“ (spokój, wygodę); zaczął też wnet parlamentarkę, cofając rozkaz aresztowania, które zamienił na wezwanie stawienia się dobrowolnie w urzędzie. Stanęła zgoda na tym punkcie, patrol odesłany został precz, a wszyscy razem poszli do paszy. „Bin-baszi“ grabnął ręką na Abramowicza, który stał z wytrzeszczonymi oczyma w oknie i następnie, pod eskortą Fedia i Abdudy, gdy już angielscy przemysłowcy znikli w ulicy, pośpieszył z tyłu za nimi do urzędu gubernatorskiego.

Siedzący z archanielską powagą w swej sali audyencyjonalnej Hamdi-pasza zrobił na widok wchodzących minę ni to uśmiechniętą, ni rozszaloną. Nie czekając na zaprosiny, wszyscy trzej europejczycy usiedli, podczas gdy „bin-baszi“ zdawał szeptem sprawozdanie ze swego zarządzenia.

— Osioł jesteś! — syknął pasza pocichu na policmajstra, a głośno zapytał Walerego: — a powiedzże mi, duszko, co cię spowodowało do zamiaru wykonania morderczego zamachu na twym zwierzchniku, nadinżynierze Abramowiczu?

— Żadnego zamiaru mordowania Abramowicza nie miałem — odpowiedział Walery — chciałem go tylko obatożyć za to, że uwlażył memu honorowi i dobrej sławie nauki prawdziwej.

— Wstyd! wstyd! u nas nie wolno podobnych bezprawi dokazywać. My mamy na to dowody, że nie tak było i ty chciałeś właśnie zamordować nadinżyniera Abramowicza.

— Jest to niegodziwe kłamstwo, a oto są moi świadkowie, którzy pod przysięgą gotowi potwierdzić prawdziwość mego zeznania.

— Tak jest, „hazeretleri“ (ekscellencyo), gotowiśmy przysiąc — zawołał Wacław, jako lepiej mówiący po turecku od Puka.

— A my wam dowiedzimy, że tak nie jest —

i zwrócony do bin-baszego pasza, dodał:—wprowadź tu Abramowicza!

Niebawem z za „pérdé“, kotary, ukazała się wystraszona, ponura twarz Abramowicza. Stał w pokornej postawie przed paszą; podczas gdy obwiniony, dzięki zmyślonej protekcji, siedział najspokojniej na gościnnej sofie.

— Spójrz na mnie, beju!—rzekł pasza do Abramowicza — Walery-effendi i jego świadkowie przeczą twjej skardze. Powiadają, że kłamstwem jest to, coś powiedział o chęci zamordowania cię?

— On, on, chciał mnie zabić — odpowiedział Abramowicz, przyczem twarz jego drożdżowa pobladła, a oczy w zez się rozbiegły—to szczerą prawdą.

— Ależ to wierutne kłamstwo! — wykrzyknął Walery.

— Cicho! — zawołał pasza w stronę Walerego, a Abramowicza pytał dalej:—no, i cóż ty na to?

— Niechże mi się tu wyprze w oczy, że mnie na pojedynek nie wyzwiał—odpowiedział na to Abramowicz—a ci dwaj byli jego sekundantami.

— Cóż ty na to?—pytał pasza Walerego.

— Pojedynek u nas wcale się nie uważa za morderstwo—odpowiedział Walery—bo ludzie honoru dają nawet prawo strzelania pierwszemu, kto choć go obraził najhaniebniej, ale został wyzwany. To sąd Allachal!

— A więc wyzwales go?

— Wyzwałem; gdy zaś był tak podłym, że odrzucił z tchórzostwa me wyzwanie, naówczas zagroziłem go kijem obić. Bojaźń przed obiciem, ta go nakłoniła do skargi kłamliwej.

— Przyznałeś się do pojedyнку, jesteś przeto winien zamiaru morderstwa, a jako taki, musisz być uwięziony i sądzony, bo i zaskarżony zostałeś.

— Abramowicz jest również naszym protegowanym—wtrącił Puk—tymczasem nasz kodeks karny nie uważa pojedyнку za żadną zbrodnię; nie wol-

no ci przeto, paszo, więzić naszych ludzi za to, co u nas nie jest uznane za zbrodnię. Słyszysz! skargę śle zaraz do ambasadora.

— Dobrze, a pocóż to Walery-effendi buntuje mi Ormian i zamierza skarby państwa sobie przywłaszczać?—mruknął pasza, poczerwieniawszy.

— Ekscelencyo! chyba kpiny z nas urządzasz, albo jesteś waryat?

— Co? ja, waryat? Otóż aresztuję Walerego-effendiego, a wy, jako spółnicy, zostaniecie też do odpowiedzialności pociągnięci.

— Dobrze, paszo, ale pamiętaj, że za dwie godziny będziesz musiał uwolnić Walerego i nas przeprosić — zawołał Puk groźnie — ty sądzisz może, że my nie wiemy, kto to konkurencyę nam urządził w skupywaniu „tiftiku“? Zapowiadam więc ci w dodatku bankructwo i utratę posady.

Po tych słowach Puk z Wacławem, nie żegnając paszy, wprost poszli do telegrafu i rozpoczęli rozmowę z ambasadorem. Nie upłynęło i dwóch godzin, gdy od „walego paszy“ wpadł „bin baszi“ z przeprosinami do Puka i Wacława, a jednocześnie wrócił do domu i Walery, od którego wzięto słowo, że da pokój szukaniu wymiaru sprawiedliwości na strupieszalym przeciwniku, co się niezmytą sromotą, jako denuncyat pojedyńku własnego okrył. Rzecz prosta, że Walery przyrzekł to uroczyście.

Cała Angora tego samego wieczora śpiewała nowe „tjurki“ o starym zalotniku tchórzku, pobitym przez młodego rywala.

VII.

Pomimo swe upośledzenie społeczne i polityczne, chrześcianie Wschodu dobrze pojmują wartość danego słowa w związkach małżeńskich. Mają tam za coś okropnego zerwanie przyrzeczenia dożgonnego

połączenia się dwojga serc. Przymiot ten, jak to dowodnie etnologia poucza, nie koniecznie się ludów ucywilizowanych trzyma; nie mówiąc np. o takich cnotliwych Eskimosach, właściwie Innuitach, Kafrach, poprawniej Kafirach, Chińczykach — czyż i tacy nawet ludożercy: Papuasi, Polinezyjczycy, Murzyni, Indyanie — nie powinnyby służyć nam za wzór słowności w tym wypadku? Mowa tu nietylko o mężczyźnie, lecz i o kobiecie. Zwyczaj wszakże ma przeważnie na celu opiekę nad tą ostatnią, jako słabszą. Po za prawną przeto stroną stoi tu rycerskość męska, poezją honoru owiana, co te śluby świętami sama zdolną jest uczynić, pomimo strasznej prozy, na dnie ich spoczywającej...

Ale jeżeli widzimy, że cywilizacya w tej arcyważnej sprawie chybia swemu powołaniu, to nie mniej dziwnem się okazuje, gdy przekonania z faktów niemal codziennych nabieramy, jako i władza patryarchalna w niczem od niej nie jest lepszą, a nawet czy nie gorszą. Dlaczego patryarchalizm walczy przeciwko prawu, z którego sam powstał? Dlatego, że każda instytucja ułomną wnet się staje, skoro chce stać na stanowisku nieomyślności i rządów absolutnych. Władza rodzicielska poczyną tu, jak każda inna, uważając to za słuszne, co ma sama za dobre, chociażby ono było wstrętnem dla dziecka. A jest ona tem straszliwszą, im wola rodziców jest mniej okraszana i cnotliwą.

Łamiąc wolę córki, Abram-ogłu, wśród nietajonego żalu opinii do niego za to, nie mniej przeto był uważany przez tenże sam czynnik, jako prawowicie działający, na mocy patryarchalnej władzy. Wypływające z czysto osobistych rachub: „sic volo, sic jubeo” — zostało i w tym wypadku, jak i w każdym z nawyknięcia powstałym, uważane za omanację woli Boskiej, choć jej tu naprawdę na lekarstwo nie było, przeciwnie, uważać takowe raczej wypadało za jej kardynalne pogwałcenie.

Jak zwykle więc i świat niewieści angorski pierwszy uległ przed urokiem władzy patryarchalnej; co ojciec osądził za dobre, musiała według niego i Diurju uznać za najlepsze. Kobieta, nie znająca większego szczęścia ponad rodzinne, nie pojmująca innego czynnika w społeczeństwie ponad hierarchię, choćby jak ta, która zwierzęce potrzeby człowiekowi narzuciła, będzie zawsze tyranką bezwiedną samej siebie i tamującą prawidłowy rozwój postępu. Wyznawczyni uległości bezwzględnej i czci *quand même*, musi z konieczności zastygnać w swych prawdziwych uczuciach i zostać tylko narzędziem prostej wygody lub nędznej rozpusty. Jako najwyższym darem, Stwórca uszczęśliwił człowieka wolną wolą: można nie powstać i nie potępiać nawet tych, co gwoli lenistwu ducha przekładają ponad nią bierną niewolę, dlatego, że jest niby to wygodniejsza? Nie. Emancypacya kobiety zależy od niej samej, ale wcale nie od jakiegś tam przemocy społecznej, nie mówiąc już o męskiej, która jest czystym zmyśleniem, a chyba prawdziwą w nader nielicznych, i to wyjątkowych wypadkach.

Była niedziela. Katolicki kościół, jedyny w Angorze, był przepelniony wiernymi po brzegi. Celebrował sam biskup, „monsignor“, a kazanie miał autor „Arki Noego i Karapampura“, niezrównany kapłan poeta, „wartabel“, Abramian.

Kaznodzieja mówił właśnie o przykazaniu: „Czcij ojca twego i matkę swoją“, jako o swem najulubieńszem. Popierał znakomicie powagami Kościoła swe zasady umiarkowanego postępu, niestety, w rzeczy formy raczej niż jego właściwej istoty. Barania głowa dogmatyka walczyła u niego o lepsze z rogatemi sofizmatami lepszości Pawła nad Gawłem i Gawła nad Pawłem... Pot rześisty operlił jego szczurzy profil i spadał nieprzyzwyczajone kropkami z granatowego haczyka nosa na kozłą bródkę. Ręce latały mu w dół i w górę, jak stemple lokomobili, puszczonej

w ruch kołowy niezmierne siły, przykute jednak martwo do stałego środka. Naśladowanie pono kosmicznego ruchu jest udziałem rzeczy nieruchomych, choć się im częstokroć zdaje, że w nieskończoność lecą po wirach i głębiach wszechświata, a one tymczasem stoją na miejscu...

— Dzieteczki najmiłsze, oby „Ałach Baba” (Bóg Ojciec) miał nad wami zmiłowanie! — wołał kaznodzieja po turecku — bądźcie posłuszni dawcom żywota waszego, a to dla zbawienia dusz waszych, choćbyście je mieli zatracić. A jak tej władzy najwyższej macie słuchać, tak również słuchajcie i każdej innej, co nad nią stoi, choćby to ją unicestwić miało. Pomnijcie bowiem, co rzekł apostoł: „wszelka władza jest od Boga dana!” a gdyby nawet Bóg jej nie dawał, toć i w takim razie macie ją uważać jakoby była z Boga.

We drzwiach świątyni stali Wacław i Puk, uważnie słuchając kaznodziei.

— Ależ najserdeczniejszy kaznodzieja, jak uważam — szepnął Puk do towarzysza — umie wywracać koziołki nie gorzej od naszego pocziwca Hansa?

— Zasługą jego wielką — odpowiedział zapytany również pocichu — że wierzy święcie w to, co głosi...

— Wątpię, czy większą ma wiarę od Abramsohna, gdyż i on, choć częstokroć nic nie widzi pod nogami, z łaski alkoholu i wiary w niego, zawsze jednak znajduje stały grunt pod stopami przy koziołkowaniu...

— Widocznie nie pamiętacie, że św. Augustyn kazał wierzyć w głupstwo, choćbyś wiedział, że to głupstwo...

Podczas gdy się tak zabawiali kupcy angielscy w przedsionku kościelnym, u stopni ołtarza stało też dwóch Europejczyków, ale całkiem zatopionych w pobożnym słuchaniu kazania. Zaledwo uchłyły wymowne usta wartabeta, jeden z nich rozłożył czarno-

żółty fular, a drugi, całkiem bez niego ukląkł przykładnie, i głęboko wzdychając, oraz bijąc się w piersi, odczytywali modlitwy z ksiąg do nabożeństwa. Stojący po prawicy mężczyźni, ławek bowiem nie znosi na Wschodzie tak dobrze grecki, jak i łaciński obrządek, jak również i kobiety, po lewicy, niby gro- no białych widm biblijnych, jedni drugim milcząco wskazywali głowami na nabożnych Europejczyków u stopni ołtarza i wesołych Anglików u drzwi.

— Farmazon?!... Tcs! tcs! pobożni ludzie — szeptano po obu stronach.

Skończyła się zresztą msza. Wacław z Pukiem zajęli stanowisko przeglądowe przed stopniami wchodowymi ganku. Podziwiali niepospolitą urodę kobiet młodych, godnych zająć najpierwsze miejsce w szeregu piękności całej kuli ziemskiej. Piękność angorskich „katoliczek” przeszła w przysłowie na całym Wschodzie; Diurju z matką i ciotką wyszła z siostrą na samym końcu.

— „Goddam!” o ile mnie nos dotąd bolał od czosnkowych i „czamanowych” (kminu dzikiego) wyziewów naszych spółwierców, o tyleż teraz olśniony zostałem tem słonecznym zjawiskiem kobiet — szepnął Puk, zdejmując helm i robiąc ukłony familii Abramaogłu — mądrzy ci Ormianie, skoro takie żywe kwiaty przeflancowywać umieją na swój grunt...

— Okropnie coś zmizerniała — odpowiedział Wacław — a uważasz, ser-elfie, jak nasz ex-socyzusz czegoś nader wdzięcznie kiwa swym „tukanim” nosem przed „wartabetem?” Widocznie coś mu miłego do ucha wkłada o rozmodlonych naszych antagonistach z przed ołtarza...

— Jeden drugiego nic nie zrozumie i dlatego bądź pewien, że się zrozumieją doskonale... Patrz, jak nabożnisie nasi pukają łbami o podłogę, szkoda, że nikt im orzechów nie podłoży! —

— Daleko łatwiejsze dla ukłonów, niż inżynierska sztuka...

— Podzielał zupełnie to zapatrywanie, wszakże nie bez pewnego zastrzeżenia, mianowicie: czy nie jest to u nich pewnego rodzaju sportem, dla zaskarżenia sobie zupełnego zaufania u patryarchalizmu, a może i dania dowodu, że są doskonałymi inżynierami, gdyż umieją tłuc kamienie do „macadamu” bez młotów i machin?!

— To bujne kwiecie twej logiki tajemniczej jest zapewne daleko dostępnejsze od tajemnic: Izydy, amatorów Wisznu-Kriszny, kół Ceugantu druidyckiego, niemniej przeto pozostać wolę przy mem pierwotnym zdaniu...

— Wiem, że cię, skoncentrowany idealisto, nic tak nie nęci jak tajemniczość; pomimo tego, nie może mi ona dokładnie wytłómaczyć zjawiska, mianowicie: co znaczy tu owo niezwykle natłoczenie „nasienia” Abrahamowego? Widzisz tu przeto patryarchę Abrama-ogłu, Abramowicza, Abramjana i nareszcie sławetnego Fedia Abramczuka, szkoda, że nie ma Ibrahima-effendiego, i co też ta potomność upostaciowanego ładu społecznego według Biblii chce tu dokazać? Brakuje tu tylko naszego Abramsohna, a szkoda, bo tenby zaraz cały sekret wydał... Że się coś knuje, i to przeciwko nam, najlepszym tego dowodem nie tylko ich tu nagromadzenie i szept, ale i to, że sam słodki nasz tragiczny „wartabet”, ani spojrzysz w naszą stronę...

— Słuszny domysł, do którego najlepszym komentarzem smutek przepięknej Diurju i jej dobrej matki. W tym też kierunku powziąć potrzebujemy języka i to zaraz.

— Ale jak?... Czekaj! mam, wpadłem na koncept. Odejdźmy tylko nieco na stronę.

I usunąwszy się nieco na bok, w cień, Puk wyjął z własnej książki obrazek, na którym ołówkiem napisał:

„Gdybyśmy byli pani potrzebni, proszę odesłać

obrazek z dopiskiem tylko dnia i godziny. Robin, dobry duch”.

— Naprzód! — zakomenderował Puk i pociągnął za sobą pośpiesznym krokiem Wacława.

Dopędzili niebawem kobiety Abrama-ogłu. Z tyłu postępowała Diurju z siostrą Maryam, mając przed sobą matkę i ciotkę; zrównawszy się z nimi, Puk upuścił obrazek nieznacznie, z miną znaczącą podniósł go z ziemi i następnie doręczył nieco zdziwionej kochance Walerego.

— To jest pani zguba — mówił Puk półgłosem, podając obrazek z ukłonem — nie da to zginąć komuś...

— Dziękuję panu za jego uprzejmość — odpowiedziała Diurju, chowając obrazek do książki, niby całkiem obojętnie.

Zaledwo odeszli obaj spółnicy przyjaciele, Maryam nie omieszkala zapytać siostrę:

— Co to za obrazek upuściłaś?

— Ależ ten z Matką Boską na księżycu — odpowiedziała Diurju, splonąwszy mocno na twarzy, i zasłaniając się „czarczałem”, dodała: — co za niezdolne słonce!...

— Jaby za równieź niezdolnych uważała i tych nadskakujących Anglików z ich grzecznością... Da-liby nam pokój!...

Podczas gdy siostra to mówiła, matka Katarina też szepnęła do swej siostry Anny:

— Szkoda, duszko-siostro, że to nie oni — i raptem ucieła, westchnąwszy głęboko.

— Myśli twe hamuj, siostro — odpowiedziała „marhabetka” — przypomnij tylko sobie, co dostojny „wartabet” wykladał z kazalnicy? Posłuch, posłuch ślepy: oto co duszom waszym zbawienie zapewnia, co od Boga przepisane nam zostało!

— Ależ rozważ tylko, wszak sercu trudno posłuch nakazać?

— Nawyk, duszko-jagniątko, wszystkim tu:

krw przed wolą Boską ustępować musi. A przygotowałaś ty ją, jak się należy, do spełnienia woli ojcowskiej i przyjęcia wyroku rady familijnej?

— „Waj! waj!” biedna moja głowa, co ja z sobą pocznę? Mówiłam, ale ona słyszeć o nim nie chce, jak dawniej..

— To źle, grzech, chyba „wartabet” dopomoże do uwolnienia jej z tego opętania. Pracuj gorliwie z radą wspólnie, byśmy ten upór złamać mogli na pociechę Boską i dla ustalenia dobrego przykładu posłuszeństwa woli rodzicielskiej.

Z kościoła wszystkie kobiety krewniaczki i swojaczki, należące do rodu Abrama-ogłu, ze starszego pokolenia, szły masą do jego domu za gospodynią, wzdychającą i niespokojną. Miał się odbyć wielki „medzlis”, rada familijna, do której wchodziły nie tylko kobiety, ale i mężczyźni, idący znów za Abramem-agłu do jego apartamentów.

Obszerny pokój gościnny, „kokony” Katariny, niczem się nie różnił od mieszkania najuboższej Ormianki, chyba swą obszernością i szerokością sof, biegnących, jak u nas ławy chłopskie, naokoło ścian pobielanych. Zgromadzenie krewniaczek i swojaczek wcale imponująco wyglądało; prócz bowiem kilku młodszych kobiet, były tu same statystki, nad którymi ząb czasu już dobrze popracował... Jeżeli z tem wszystkim przedstawiały one sobą okazy prawdziwych tancerek, czy wojazerek na Łyse góry, Blocksbergi, uczujących przy kotłach makbetowskich, to z innej strony aż lśniło od nich z powodu nagromadzonych klejnotów na złotych pasach, kameryzowanych drogimi kamieniami, i fezikach, okrywających ich szpakowate lub całkiem siwe fryzury. Siedzące w kucki, po turecku, można je było brać za bałwany bogini Kali, plutokratyczne, acz wcale nie krwiożercze bóstwa skarbów podziemnych. Co wszakże zdumiewało w poważnym zgromadzeniu dam an-gorskich, to, że o ile młode bywają tu cudownie

piękne, o tyle stare wyglądały, jako nieklamana trwogę wzbudzające. Nosy np. *qui va mieux mieux*, srożyły się z pośród szacownych pergaminów jagód zwiedłych, jak dzioby: sowie, sępie, krogulcze, wronie, kacze i mierzyły złośliwie w usta barwy róży suszonej lub świeżej... wątroby, których warga górna zapadała gdzieś w przepaść bezzębną, jak płot obalony przy ruinie, porosłej ostami i pokrzywą, zastąpionymi tutaj kępami szczeciniastego porostu na brodawkach i wąsach. Haczyki nosów i pięt podbródków mierzyły do siebie złowrogo, jak żądla gądzin do osich... A kiedyś te czarownicze postacie były... czarującymi... *Sic transit gloria mundi!*...

Pozostanie to niezaprzeczenie tajemnicą fizyologiczną na wieki, jak te np. lube noski gładkie dostają w późniejszym wieku kształtów Himalajów i Kordylierów; te jagody z lilii i atlasu, jeżowej lub nosorożcowej gładkości i barwy; te usteczka koralowe, czy różowe, pieczeni lub wątroby zabarwienie?... Zawsze atoli widok ten godzien będzie głębszego zastanowienia... „Tajemnica wieków senna” wyśmiała tu zabiegi młodości, co to woła z Bohdanem Zaleskim:

„Mlekiem dum i mleczem kwiecia
Pój do lotu mdle to ciało!...”

Mowa wielkiej symboliki wyszydza tu marne zabiegi kobiety nad przechowaniem wdzięków cielesnych i z niemi razem męzkich pieszczot. Wielka zagadka kontrastów odciska tu swe piętno szydercze, dające poznać, że mamy tu tylko z formą przechodnią, ale nie z samą istotą do czynienia.

Choć upał podzwrotnikowy panował, kawa sakramentalna, pomimo to, na początku wystąpić musiała i w tem damskim zgromadzeniu, zupełnie podobnie jak i w męzkim na Wschodzie. Przychlipywanie i cmókanie zarówno głośno wśród pań, jak i u panów, na znak szacunku dla gospodarzy, rozle-

gało się przy kościelnej ciszy. Wszystkie bez wyjątku kobiety domowe posługiwały gościom, aż na bladej twarzy siostry Anny ruczajkami pot płynął. Gładko i żwawo szło przyjęcie u bogatej, a powszechnie lubionej „sarafaswy”, bankierowej.

Najwymowniej przychlipywała bratowa staruszka, matka Ohanesa, której twarz zdobił nos kształtu i barwy kondora, obsypany brodawkami i pryszczami, a kibić dobrze rozrosła pokrywała suknią adamaszkową, z całym kramem jubilerskim na pasku i głowie. Odpiswszy najprzód kawę, zapytała znacząco gospodynię bratową:

— A kawę, duszko-jagniątko, z kąd bierzesz?

— Wprost z Yemenu, od brata „kawedżego” (kawiara) — odpowiedziała Katarina z dumą kobięcia.

— „Czok szej! czok szej!” (przedziwnie) — mówiła chórem reszta zgromadzonych.

— A kozinę od kogo bierzesz? — zapytała druga bratowa, matka Artina, gospodyni Abramowicza.

— Od „karapa” (rzeźnika) Turka z naprzeciwnika — odpowiedziała gospodyni.

— „Czok szej! czok szej!” — powtarzał chór.

— A kury i kaczkę? — zapytała wujenka żółta jak wosk, z gwoździkiem ponsowym, zamiast nosa.

— Od Turków wieśniaków — odpowiedziała Katarina, zbierając filiżanki.

— „Czok szej! czok szej!” — wtórował chór niezmiennie.

— Znoszą nam tego więcej niż potrzeba za procenty... Poczcwi ludziska, jak wogóle wszyscy Turcy.

— Gdyby nie oni, cóżbyśmy poczęli sami? — zakończyła matka Ohanesa.

A tymczasem sfinks dziejowy miał niebawem z tego krwawo zażartować...

Zapewne mocnoby zdziwiła ta proza narodowa Walerego, gdyby ją tu mógł być podsłuchać *in fla-*

granti, wypowiedzianą przez matkę jednego z najgorliwszych swych adeptów patryotycznych. Zrosło z naturą pojęcia nietylko się obecności, ale i przeszłości trzymają. Nowatorstwo rewolucyjne zawsze Ormian trwożyło.

— „Aman!” dobre to były te dawne czasy — dodała tłusta jak okseft matka Artina — gdy ludzie jak ty, duszko-bratowo, dawali zarabiać tylko Turkom i swoim, nie szukając wcale Frenków...

— „Uf! uf!” jeszcze jak dobre — dodała matka Ohanesa — i Turek miał podostatkiem i nam też ciągle kapało, nie tak jak dzisiaj...

— Stary zwyczaj, boży zwyczaj — wtrąciła „marhabetka” Anna, żegnając usta i ani na chwilę nie ustając w swej roli służebniczki.

— Dobrze, bardzo dobrze — twierdziła wujenka, świeczka kościelna z gwoździkiem — był Bóg przy nas, było i Jego błogosławieństwo. „Garybaldczyków” (t. j. spiskowców i wolnomyślących) nie znałimy wówczas...

— Oj! prawda to, prawda święta — kończyła Maryam, przeszywając wzrokiem Diurju.

— A jakże, a jakże, tcs! tcs! — dodała bratowa z kondorowym nosem — było ci woncez błogosławieństwo od „Jsy-effendiego” i „Marjem aná” (Maryi Matki Bożej) zato, że dzieci słuchały rodziców, jak prawo boskie nakazuje. Niesłychanym był wtedy wypadek, by dziecko śmiało woli rodzica nie słuchać...

— „Czok szej! czok szej!” — chwaliły chórem kobiety stary zwyczaj, posyłając przeszywające spojrzenia w stronę Diurju, zajętej posługą.

— A co, nie mówiłam ci? — szepnęła Maryam do Diurju — słuchać trzeba ojca... Wstyd!

— „Meriem-aná” i „Isa-effendi” słuchać każą rodziców bezwzględnie — mówiła „marhabetka” Anna, sprzątając ciągle — to samo rozkazuje Bóg Ojciec i Bóg Duch św., niech nas od pokus wszelkich strzeżę! Amen.

— Amen! — powtórzyły chórem kobiety, żegnając się.

— Alboż to u nas, siostrzyczko, inaczej się dzieje? — pytała matka Ohanesa.

— Inaczej. Siostrzenica moja, Diurju, dotąd światło mych oczu, nie chce słuchać woli ojca swego i potoście się tu, krewniaczki drogie, zgromadziły, by ją opamiętać i na drogę posłuszeństwa prawdziwego sprowadzić.

— Och! och! czy to być może? — wołały kobiety niby zdziwione, chociaż doskonale o wszystkim już wiedziały.

— Ja ci powiadam za cały „medzlis“ familijny — rzekła matka Ohanesa — że ty, Diurju, bezwarunkowo musisz ojca słuchać! Tak.

— Słyszysz, słyszysz, duszko Diurju, co „medzlis“ powiedział? — wykrzyknęła Katarina pobladła do córki — tak być musi, jak ojciec chce, trzeba oddać rękę bejowi Abramowiczowi!

Brzęknęło mocno, Diurju upuściła całą tackę z filiżankami na podłogę; stanęła osłupiała z wyrazem przerażenia i wstrętu na pomartwiałej twarzy. Wszystkich oczy wystraszone pobiegły w stronę winowajczyni domniemanej; w żadnym jednak z nich nie widać było współczucia; chyba tylko w matczynych. Łzy zresztą trysnęły u Diurju, westchnęła głęboko, jakby do przytomności z omdlenia przycho-
dząca.

— „Aman!“ duszko-matko, czyż i ty przeciwko mnie? — zawołała Diurju z płaczem — toż, co jest przeciwne naturze naszej, to się też sprzeciwia i woli Bożej? Winnam ja wam, moim rodzicom, życie, bierzcie je, ależ nie chcecie zadawać gwałtu memu uczuciu, które tylko od Boga zależy.

— Co ty, duszko, doprawdy! — wykrzyknęła Marjam — alboś nie słyszała, co mówił „wartabet“ na kazaniu?

Bezlitośne przytoczenie powagi kościelnej dało

hasło wszystkim kobietom do wyrażenia swego głośnego oburzenia na nieposłuszną. Cmokaniom i szeptom nie było końca, a wśród nich, jak ostre żądła gadziny, łyskał ciągle wzrok siostry zawistnej i chciwej względów rodzicielskich.

Katarinie łyzy z oczu kapąły, ale nie śmiała stanąć w obronie córki najukochańszej. To samo działo się i w sercu służebniczki Anny, lecz ta nawet łyzy nie śmiała okazywać z powodu „bojaźni Bożej“ i obediencyi kościelnej. Łysogórska powierzchowność „medzlisu“ dopiero teraz w przerażającej nagości wystąpiła; grzebał on na cmentarzu piękna twórczego to, co ma serce ludzkie najdroższego, jakby mu tylko na dręczeniu tego, co lepsze, zależało.

— Wolę rodzica uszanować musisz — rzekła matka Ohanesa — tak patriarcha Abraham przykazał.

— Zwyczaju deptać nie wolno — dodała matka Artira — ojciec ci wybrał starszego, a ty mu rękę zaraz oddaj!

— Choćby bez serca? — pytała Diurju przez łyzy — a jakże będzie wtedy z sumieniem?

— Na to jest Kościół święty, Matka nasza — wtrąciła wujenka — ten ci da rozgrzeszenie, a ty słuchać musisz ojca. Tak.

— Tak, tak, tak, słuchaj ojca i matki twojej! — krzyczały jedne, podczas gdy drugie krewniaczki szeptały już — szkoda ślicznej Diurju dla tego starego. Karać tak aniołów przez całe życie nie wolno.

— Narobiłaś teraz sobie wstydu — szeptała Marjam gniewnie — a ja ci nie radziłam, żebyś po dobroci oddała rękę Abramowiczowi, zamiast tego farmazona?

— Dajże mi pokój! — odpowiedziała Diurju — nie dokuczaj mi swemi uwagami i radami! Bóg jest moją ucieczką, przeciw jego prawu nie pójde.

Kobiety powtarzały między sobą ostatnie powiedzenie Diurju, która, pozbierawszy z ziemi czere-

py filiżanek, przez siebie potłuczonych, cicho z izby obrad wyszła, jakby ją całe życie już odbiegło.

Anna postanowiła teraz złamać opór dzwęczęcia za pomocą powagi kościelnej, a to wzywając do pomocy „wartabeta” Abramjana, będącego obecnie w gościnie u Abrama-ogłu.

Pokój gościnny bankiera był pełen po brzegi gośćmi, wyłącznie krewniakami i swojakami, wśród których wyjątek stanowili Abramowicz i Abramczuk z bukietami w rękach. Abram-ogłu parł z całych sił do zaręczyn córki, dziś już nie dla jakichś widoków, ale wprost dla ocalenia fortuny za pomocą kapitałów przyszłego zięcia i możliwości pociągnięcia spółników do projektowanych kopalń, a przez to samo i uzyskania gotówki, koniecznej do opłacenia weksli, które wszystkie nabyła spółka Puk & Co. Patryarchalizm zawsze bywa w mocy osobistych potrzeb i zachcianek; stojąc też na podobnych etycznych podstawach, nic dziwnego, że służy samym tylko interesom materyalnym, co widać najlepiej na naszych chłopskich stosunkach.

W rzędzie najznakomitszych gości był naturalnie i Abramjan, jako najświętsza powaga familijna, wtajemniczona w całą grozę położenia patryarchy angorskiego. Dowiedziawszy się przeto z ust Anny, o co chodziło areopagowi niewieściemu, i widząc pogorszone położenie Abrama-ogłu pod względem finansowym, postanowił ratować je żarliwie.

Cisza uroczysta zapanowała w izbie kobiecej, gdy po rozdaniu rąk do ucałowania, Abramjan zasiadł na poczesnem miejscu, wodząc bystro wzrokiem po zgromadzeniu, jakby je zahypnotyzować usiłował, przyczem postukiwał ziarnkami różańca, przebieرانego żwawo.

— Zrządzenie Boże każe mówić tak, gdy się mówi nie — zaczął wysoko uczony „wartabet” z powagą — i rzec nie, skoro się widzi w potrzebie rzec tak. Szukajcie tu początku i końca wszechrzeczy,

obyśmy go dla zbawienia dusz waszych wynaleźli! Ale to nastąpić wtedy tylko może, córki moje, skoro uszanujecie prawo tradycji świętej, która nam przekazana została w księgach śś. od czasów pierwszego patryarchy.

— Och, och! waj, waj! — jęczały kobiety pobożne wzdyhając — jakież to mądre.

— Tyle wam miałem do powiedzenia o obowiązku względem prawa Bożego, któremu ślepo posłuszni wszyscy być winniśmy. Wprowadźcie mi tu Diurju! Niech usłyszę z ust jej, co ma przeciw oddaniu swej ręki tak znakomitemu mężowi, jak Abramowicz-bej.

Przemocą prawie wprowadzono Diurju, która, ocałowawszy w rękę ojca duchownego, zakryła sobie oczy, aby na nikogo nie patrzeć. „Wartabet” nie tylko był swojakiem w domu, ale miał szczególną miłość dla pięknej Diurju, jako jednej z najpojętniejszych swych uczennic, którą też i ochrzcił był w dzieciństwie. Zanim przystąpił do swej logomachii kazuistycznej, wytarł nos po jerychońsku w kraciastą chustkę i obcierał nią twarz szczerowatą wirowym ruchem namysłu. Z po za abluicyi kazuisty wyglądało w tem tarcu nosa coś takiego, co zakrawało na rozmiękczenie serca, zdenerwowanego potrzebą głoszenia rzeczy przeciwko sumieniu i to osobie bardzo nieobojętnej. To zafrasowanie chwilowe jednak ustąpiło, gdy po tarcu nosa nastąpiło chrząknięcie głośnie i schowanie chustki pod habit, który tajemniczo osłaniała krepą czarna welonu kołpaka, otaczająca, niby ciemny nimbus, tę zagadkową dla siebie samej postać wieszczka kapłana, „na dwoje babka wróżyła” w sroczey pożądlivosti gadania.

— Uległość woli rodzicielskiej, córko moja, jest prawem Bożem — rzekł „wartabet” do Diurju — tom dziś jeszcze z kazalnicy ludowi objawił. I nie sądź, że się tak dzieje odtąd, gdy światło wiary Chrystusowej rozwiało ciemność w duszach naszych, znano je i w czasach pogańskich, jak tego ślady widać

w córce Agamemnona, Ifigenii, błogosławiącej ojca, co jej śliczny gardziółek przeciał, gwoli bluźnierczej ofierze krwawej bogom. Przykazania Boskie spełniaj, słuchaj, co ci ojciec rozkazuje! Straszliwa bowiem jest kara niebios za nieposłuszeństwo dzieci.

— Srodze mnie, ojcie duchowny, karcisz—odpowiedziała Diurju, odejmując rękę od oczu i odsłaniając twarz—ale ja na to nie zasłużyła, bo idę tu za głosem sumienia i przyrzeczenia, jakie już dawniej zrobiłam innemu.

— To, co my, kapłani, rozgrzeszamy na ziemi, to będzie i w niebie przebaczone; sprawę przeto twego sumienia mnie zostaw. Inna rzecz z przyrzeczeniem słowa danego w celach małżeńskich, trzeba je koniecznie dotrzymać. Ale i na to Kościół święty moc rozwiązywania ślubu posiada, choćby już on na prawdę istniał, a nie dopiero na słowie polegał.

— Ja jednak z tych praw korzystać nie chcę, bo czuję, że obraziłabym samego Boga, raniąc śmiertelnie serce człowieka, który mi miłość dozgonną przysiągł.

Mocny rumieniec oblał alabastrową twarz panny, a promienie ametystowe z jej ocz strzeliły jak błyskawice, wywołując jakieś zamieszanie u pogromcy duchownego, które go zmusiło do ponownego wydobywania chustki kraciastej i kręcenia nią pod nosem dla zachowania kontenansu. Zaprzestał zresztą manewrów rękami kapłan w kłopotach, a natomiast czoło zachmurzył i wargę do góry wzgardliwie podniósł.

— Owoce twych rozumowań są niedojrzałe, a więc i szkodliwe — rzekł „wartabet” — to zaś, co jest szkodliwe, nie jest i miłem Bogu. W tej dusznej twej cborobie ucieczką twą jedyną niech jeno ojcowska wola będzie, ona ci wskaże nieomylnie, co masz mniemać o tem słowie, niebacznie wyrzeczonym—i tu się zwrócił do wszystkich:—Do was tymczasem wołam, jak do Eryinii, co zostały zamienione

wołą bóstwa w Eumenidy, ażebyście mi nie ustawały w nawracaniu najmilszej córki, uwikłanej w słowo własnej nierozwagi. Bóg tak chce! Amen.

Nie czekając dłużej, „wartabet” szybko teraz opuścił radę kobiecą, będąc pewny zwycięstwa, o którym na ucho gospodarzowi zwiastował, a ten Abramowiczowi, ogromnie zaniepokojonemu. Tymczasem w radnej izbie kobiecej zaszło coś całkiem innego.

— Słyszysz, duszko Diurju, co kapłan świętobliwy rzekł?—wołała Anna—„Bóg tak chce!” musisz przeto woli ojcowskiej usłuchać!

— Dziecko me najdroższe, ochłodo mych oczu, słuchaj ojca — dodała Katarina, jak echo siostry zelantki—słyszysz, Bóg tak chce.

— Musisz, duszko, iść za tego—mówiła matka Ohanesa —kogo ci niebo wybrało, ale nie twa wola?

— „Czok szej, czok szej!” — pochwaliła reszta kobiet chórem.

Z oczyma zasłoniętymi rękami stała Diurju na środku izby, jak winowajczyni, skazana na ukamienowanie. Słyszała wyrok niesprawiedliwy, pomimo to ust otworzyć nie mogła, jakby je ołowiem zalało. Drgnęła raptem, poczerwieniała i, opuściwszy rękę, głosem mocnym zawołała:

— Bóg tego nie chce, bo jest najmiłosierniejszy i ja też nie chcę; słowa danego nie złamię, ręki mej, prócz niego, nikomu nie oddam!

Jakby piorun trząsł wśród „medżilisujących” Erynij, awansowanych na Eumenidy; jedna, druga klasnęła w dłonie, które następnie potem załamywały, wydając najrozmaitsze wykrzykniki zgrozy i przeobrażenia. Nie czekając dłużej, Marjam wyskoczyła i pobięgła zwiastować ojcu, co zaszło.

Szmer trwogi zabobonnej przeleciał pomiędzy obradującymi, gdy w drzwiach stanął Abram-oglu, zaperzony od gniewu, jak bomba kurząca, gotowa wnieść śmierć i zniszczenie. Ni to gołąb gruchający,

ni to głuszec tokujący, kiwał swym potężnym nosem marmocząc głucho; oczy bielmem zasuwiał, a grubemi ustami wciąż mlaskał.

— Otóż ci powiadam, zła córko, że wyjdiesz za Abramowicza — krzyknął na Diurju chrapliwie — albo pójdziesz precz z domu, którego hańbić nie dozwolę. Słyszysz! hańbić siebie nie pozwolę, bom już za cię dał słowo bejowi-inżynierowi!

Zamiast odpowiedzi, Diurju, pobladłszy jak płótno, padła na klęczki i załamała ręce przed ojcem.

— Zabij, zabij mnie raczej, ojczel! — wołała — ale nie żądaj tego, czego nie jestem w stanie dokonać.

— A więc precz z mego domu! — zagrmiał patriarcha, niby Jowisz z chmury.

Powstało okropne zamieszanie, kobiety wydały okrzyk zgrozy i współczucia. Pierwsza przypadła do Abrama-ogłu żona i załamawszy ręce, krzyknęła:

— Ależ to dziecko nasze, effendi, miejże litość nad niem!

Abram-ogłu patrzył na córkę, która po wymówieniu strasznego słowa wygnania z domu rodzicielskiego przypadła do ziemi, szlochając okropnie. Z odstawioną nogą wyprężył swój tułów potężny, ustami mamrotał bez słów, przyczem czarne cienie błyszczały wciąż na jego wzburzonym obliczu.

— Daję ci trzy dni do namysłu — rzekł do klęczącej córki — poczem musisz przyjąć oświadczyzny Abramowicza, albo pójść precz na wieki z mego domu!

Po wypowiedzeniu tej strasnej pogroźki Abram-ogłu opuścił szybko zgromadzenie kobiet, by wrócić do mężczyzn. Nosy okropnie się powydłużały u konkurenta i jego popleczników w swatostwie, gdy usłyszeli politycznie sformułowaną rekuzę, w postaci naglej choroby, która niby to córkę zaskoczyła. Dzwigając brzemie grochowego wieńca na skroniach, zamiast światłowego kręgu od hymenowej pochodni,

Abramowicz w swych grochowych z lampasem ineks-prymablach i Fedio z czarno-żółtym fularem, trzymając bukiety z mirtami, kroczyli w milczeniu pod oknami domu, gdzie mieszkali przemysłowcy angielscy. A wieść straszna i tu już doleciała za pośrednictwem gospodarza Onika, który, jako krewniak, był zaproszony na niedoszłe zaręczyny i najprędzej pośpieszył o rekuzie zawiadomić swych lokatorów. Miał też Onik na tyle odwagi, że dotarł był do Diurju i z ust jej usłyszał, jako ona nigdy swej ręki Abramowiczowi nie odda, a zarazem obrazek doręczył Pukowi.

Puk z Wacławem stali w oknie i parsknęli głośno, gdy pod niem odpalony konkurent przechodził.

— Goddam! Waterloo — zawołał mister i głośno się zaśmiał — bukiety *à propos*.

Żółcizna Abramowicza nabrała teraz ziemistego koloru trupiego.

— Chochlik ten musi od mej kuli zginąć — mruknął nadinżynier-bej.

— Ale czy nie tak — wtrącił Abramczuk, obcierając się fularem — jak „tyj“ hen Walery! — i „chadża“ skinał w stronę okna, w którym z tyłu ukazał się i Walery.

— Osiół jesteś!

— Słucham pana pułkownika.

VIII.

Nastał zresztą i dzień trzeci do dania odpowiedzi przez Diurju. Walery tymczasem robił przez te dwa dni poszukiwanie skarbów w Ajasz z derwiszami, którzy sobie pokpiwali z paszy i fałszywych donosicieli, co okłamywali władzę przywłaszczonemi bogactwami padyszacha, kiedy ich śladu jeszcze nie było. Nie znajdując nic, prócz pordzawionych hufnali i jakichś czerepów od potłuczonych garnków pastuchów, które, gdyby był zawołanym archeologiem, za-

pewne wyawansowałby na urny, czy amfory—ale tak, jak go znamy, dał za wygraną sennym poszukiwaniom i pośpieszył wrócić tej nocy do Angory.

Od samego rana w domu Abrama-oglu piekło prawdziwe było. Pokłócił się właśnie z braćmi, co zresztą często bywało, ale obecnie nosiło piętno wyjątkowej zawziętości. Jak straszliwy „Diw“ Sefid, co kruszy żarnowe kamienie w zębach, lub nosorożec rozhukany w klatce, w drzenie cały dom swym gniewem wprawiał. Z ust jego, jak pioruny, lały odmowy kredytów, lub rozkazy zamykania do kozy nieakuratnych dłużników. Bo też naprawdę i sytuacja jego była krytyczną, a spółnicy i poręczyciele jeden po drugim go odstępowali, wydając na łup angielskim agentom, raz wraz żądającym wypłaty weksli, bez dawania najmniejszej prolongaty. O konwersyi myśleć nawet nie mógł, bo mu teraz już kredytować nikt nie chciał chociażby na chwilę. Po kończywszy sprawy finansowe, klasnął w dlonie na wyrostka.

— Zaraz Katarina niech mi tu Diurju przyprowadzi! — rozkazał mruqliwie, odrywając na chwilę wzrok od rachunków.

Żona i córka natychmiast stanęły w progu, ze złożonymi pokornie rękami na brzuchu. Liczył, liczył, mruczał, przekreślał, odczytywał coś i składając papier we dwoje, nie patrząc nawet na kobiety, zapytał:

— Dziś jest dzień trzeci, muszę dać odpowiedź Abramowiczowi-bejowi. A no, cóż tam postanowiłaś z sobą Diurju?

Zamiast odpowiedzi, Diurju, milcząc, płakała.

— Mówże przecie, bo ja muszę zaraz dać odpowiedź. Prędko, prędko!

— Ależ, mężu, „sultanie“, miej litość nad naszym dzieckiem!—wołała Katarina, też łzami zalana.

— Milcz, nie pytam cię o nic, ale ja. Mów zaraz: pójdziesz, czy nie za Abramowicza-beja?

— Nie, ojcie drogi—odpowiedziała Diurju głosem stanowczym, przestając płakać.

— A więc precz mi na wieki z przed oczu, wyrodna!—wrzasnął Abram ogłu, poczerwieniały, jak korale indyka. — Katarina, dasz jej „czarcza“, żeby miała czem wstyd okryć i bochenek chleba, by pierwszy głód zaspokoila i natychmiast mi ją precz z domu wyprowadź. Noga twoja niech mi tu nigdy nie postanie, wyrodna córko, precz z mych oczu!

Diurju padła na klęczki, ręce wyciągnęła w niebiosy i zawołała uroczyście:

— Boże, przebacz mi i błogosław temu domowi rodzicielskiemu!

— Zabierz ją ztąd precz!—krzyczał Abram-oglu na żonę. — Od gacha swego widocznie komedye odgrywać nauczyłaś się. Precz!

Katarina, zalewając się łzami, uprowadziła córkę na pół przytomną z przerażenia, a pomimo to niewzruszoną w swem postanowieniu. Kilka chwil zaledwo czasu potrzebowała do zbiorów, a już owinięta w swój „czarcza“ biały, mając nieco pieniędzy, ukradkiem przez matkę wciśniętych do ręki, Diurju opuszczała na zawsze progi domu rodzicielskiego. Młodsze rodzeństwo biegło za nią, nawołując, krzycząc, zanosząc się od płaczu, ale groźny głos ojca zawrócił je rychło do domu. Groza i trwoga zapanały pod dachem patryarchy angielskiego.

To, co się stało, było dziełem niby piorunu. Diurju wyszła z domu rodzicielskiego, jak ogłuszona, straciwszy na razie głowę, jakby już nikogo na świecie nie było, coby się nadal chciał jej losom zaopiekować. Oczy swe fiołkowe opuściła na bruk, jakby w tych grubych kamieniach szukała ratunku i współczucia. Z tego odrętwienia zbudził ją szum skrzydeł nad głowami; były to jej ulubione gołębie, których pora karmienia właśnie nadeszła. Niesłychana też żalność ją opanowała na widok przywiązania tych stwo-

rzeń; ale jednocześnie z rozrzwinięciem wróciła do niej i świadomość jej położenia.

Wolno, ale pewnym krokiem ruszyła w stronę apteki doktora Duclos'a, wiedząc, że jest to jeden z lepszych przyjaciół angielskich kupców. Dla młodości tak nie wiele trzeba, by nadzieję odzyskać.

Na pierwszym jednak kroku już zawodu doznała, doktor bowiem wyjechał na wieś do swej posiadłości w Esset. Pomyślała chwilę i zawróciła ku bazarowi, gdzie Onik miał swój sklepik bławatny, z problematycznym odbytem, jak nasze żydowskie po małych miasteczkach, które trzeba raczej uważać za jakieś wylęgarnie idealne pomysłów do życia, niż za właściwe źródło dochodów. Tej tajemnicy nietylko nasi europejscy, szczególnie polscy kupcy nie rozumieją, owszem, szydzą z niej i dlatego nie mogą ani sobie wystarczyć, ani oszczędzać ubogą publiczność, stanowiącą właśnie podstawę odbytu.

Zaledwo atoli stroskana wygnanka z rodzicielskiego domu zrobiła kilka kroków w kierunku bazaru, ujrzała zaraz przed kawiarnią siedzącego imię „chadżę,” Fedia, kurzącego „nargile” i obmachającego swą zajmującą fizyognomię wspaniałym czarno-żółtym fularem.

„Chadżę” złośliwie się uśmiechnął, ujrawszy dziewczę, którą widoczny przestach ogarnął na widok tego spółnika jej prześladowcy.

— A kogo to szukasz, panienko? — pytał wyszczerzony.

— Nikogo—odpowiedziała Diurju, niby nadąsana, przyspieszając kroku.

O kilkanaście kroków dalej napotkała stryjecznych braci, Ohanesa i Artina, ale ci już wiedzieli o jej wygnaniu i zamiast podejść sami, odskoczyli od niej do przeciwnego muru. Pod spódnicą chowane angorskie lwy, gdy chodziło o manifestacje słowem lub demonstracyami, jak teatralna np., na gruncie legalnym, czyli pozerskim, tak skwapliwi i gor-

liwi w naśladowaniu Walerego—wobec meduziej rzeczywistości czynu potracili grzywy, kły i pazury, a natomiast przywdziali swój właściwy strój: prozy cielecej... Zjawisko to codzienne nietylko u Ormian wschodnich, ale i u nas, źródło śmiechu i pogardy—dla kobiet wszakże jest to najzdradliwsza łapka na ich wszystkie wzniosłe poglądy i nadzieje życia. Rzecz dziwna, kobieta wie o tem doskonale, pomimo to wiecznie bywa uwodzona temi pozorami bohaterstwa, udawanego przez pięknych młodzieńców. Czy nie mieli tylko racji starożytni Tebańczycy, wytępiając wszystkich pięknych chłopców zaraz po urodzeniu? Ale kto tu winien: bohaterowie prawdziwi, czyli ludzie czynu śmiałego na cnoce opartego, czy kobieta?

Sądziłibyśmy, że ta ostatnia, gdyż, goniąc wiecznie za szczęściem, nie chce pojąć, że życie, to twar-da szkoła cnoty tylko, ale nie żadne jakieś Królestwo Boże na ziemi... z mahometańskim rajem, a choćby nawet i biblijnym, z niezrówanemi jabłuszkami. W wielkiej tej szkole tajemnica wiekuista na każdym kroku przysłania rzeczywistą prawdę i każe ćwiczyć siły ducha we wszystkich kierunkach, jedynie zdolnych do wytworzenia charakterów samodzielnych, celu prawdziwego naszego bytowania ziemskiego. Idealnym szablonem dla ducha ludzkiego nigdy nie będzie jakieś prawidłowo funkcjonujące kółko, czy sprężyna maszyny socyalnej lub politycznej—ale ów typ bohaterski: Prometeusza, Herkulesa, d'Arc; w nim bowiem streszcza się zadanie i kształt zewnętrzny wielkich charakterów, godnych nieskończoności nieśmiertelnej, co miażdży bez litości wszelką małoduszność i występność, jako niemożliwe do istnienia tam, gdzie ustaje byt materyalny i tem samem się na moralny przeobraża. Wszystkie fizyologie, logiki i etyki nowoczesne przenigdy nie zdołają wygładzić z pamięci naszej, że zanim zostaliśmy ludźmi, byli-

śmy przed tem duchami wolnemi i takiemiż pozostać na wieki musimy.

Istnienie ziemskie bez celu wyższego jest przede dla człowieka rodzajem pleonazmu retorycznego, w najlepszym razie, zwykłe zaś zawadą do snucia pasma dziejów postępowych, których logiczny wynik spoczywa w dłoni Budowniczego wszechświata. Szczęście na ziemi, to kłamstwo, bo ziemia jest obcym żywiołem dla ducha, twardą szkołą i warsztatem jego pracy tylko.

Widok ogołoconych z lwich skór nie osłów, ale cielaków, wywołał uśmiech na ustach Diurju, która też szybko ich minęła, jakby całkiem nie widziała. Lwy stanęły na chwilę.

— Ach! duszko bracie, jak ja jej żałuję serdecznie—szepnął Artin—anioł ten byłby nieszczęśliwy z tym starcem...

— Co za dzielna dziewczyna — dodał Ohanes, odstawiając nogę — wartoby jej pomódz, ale jak? W tem właśnie pytanie... Chodźmy ztąd, bo tam Fedio siedzi...

Podczas gdy kuzynkowie bogaci tak się rozczulali i medytowali, „anioł“, „dzielna dziewczyna“, wiedzioną instynktem kobiecym, szła dalej ku bazarowi. Zaledwie atoli na zakręcie uliczki zniknęła, Abramczuk, ciągle ją obserwujący, szybko wstał i poszedł naprzeciwko ulicy Kilis sokak; machnął nad głową fularem i tym sygnałem przywołał do siebie „kawasa“ Abdullę, który kiwnął ręką i zniknął niebawem za rogiem domu najbliższego Onika obejścia. Sam zaś Abramczuk znów pośpieszył za Diurju i ujrzawszy ją jak wchodziła do sklepu Onika, usiadł naprzeciwko, przed jakąś kawiarenką na ulicy. Po krótkiej pauzie Onik wyszedł ze sklepu i podążył ku domowi.

A jeszcze imć „chadzą“ nie dopalił swego „nargila“ kawiarnianego, gdy się tuż koło niego wynurzyli: Walery, Puk i Wacław, a za nimi z tyłu

i Onik. Pierwszy Wacław dostrzegł obecność Abramczuka.

— Ehe! rodaku, panie „chadzą“, a na kogo tu czatujecie?—zapytał Wacław, niby prostodusznie.

— Co też pan Agliczan gadają — odpowiedział Abramczuk, szeroko się śmiejąc—abo to ja kot, żeby czatował?...

— No to może pilnujecie?!

— Ale, abo to można mówić jak kto pilnuje?!

Gdy go minęli i głos już nie mógł być dosłyszany, Wacław rzekł do kolegów:

— Łgać гладко prostakom, choćby ex-policyan-tom, prawda zawsze przeszkodzi. Miejmy się też na ostrożności, bo ten dudek siedzi tu na czatach bez wątpienia, a argusowość oka lokajskiego jest straszliwa....

— Sądę, ser idealisto, że przyjdzie nam rozebrać pomiędzy siebie role „Trzech muszkieterów“ — dodał Puk, odejmując cygaro od ust—i wypadnie jakąś cudowną manipulację z panną Diurju urządzić wobec sieci argusowej, osnutej przez pajaka Falstaffa w grochowych szarawarach z lampasami?

— Jest w tem racya mówiąca, ser idealisto, musimy rozum nasz wziąć na kwintę i subtelnie ukryć dalsze poruszenia, bo jestem głęboko przekonany, że po za tą krzątaliną pionków szpiegów szanowna policja turecka rozwinie wnet cały swój aparat Harun-al-Raszydowskich konceptów przewrotności.

— W które się sama naostatku złapie?!

— Prawda, to tak bywa z nią zwykle na dalszą metę; lecz na bliższą mogą wcale niemałe niebezpieczeństwa wyniknąć, zważywszy, że mamy tu do czynienia z bardzo delikatnym materiałem, całkiem podległym sloniowej subtelności prawodawstwa ottomańskiego...

— Mister Puk może nam oddać w tym wypadku największą przysługę — zakończył Walery, a do

Onika dodał: — pójdz mi zaraz kup płaszcz gumowy na wzrost Diurju!

Nie czekając na swych spółników, którzy się z rozmysłu nieco w tyle pozostali, Walery wpadł do kramiku i rzucił się na klęczki przed kochanką, okrywając tysiącem pocałunków jej ręce. Diurju płakała tymczasem, nie mogąc ze wzruszenia przyjść do słowa.

— Przez takie dopiero straszliwe próby—wołał Walery—możemy się pobrać; straszne i nieubłagane są koleje losu ludzkiego. Tak wielką, tak wielką ofiarę, mój aniele, poniosłaś dla mnie; czemuż ja ci się za to odwdzięczę?

— Tem, że zapomnisz to wszystko mým rodzicom — szepnęła Diurju, nie wyjmując ręki z gorących uścisków kochanka — co złego obecnie zrobili.

— Już przez to, że są twymi rodzicami przebaczyć im muszę. Lecz ty, ty, aniele, czem wynagrodzona być możesz?

— Twą miłością...

Dalsze wynurzenia zakochanych przerwane zostały ukazaniem się w progu Puka z Wacławem i Oniką, który na rękę przyniósł płaszcz gumowy, starannie zawinięty. Po uprzejmem, z największym spóścuciem powitaniu Diurju, Wacław rozpoczął naradę z Walerym, stojącym już na nogach, zanim koledzy weszli do kramiku. Wobec niewątpliwej zasadzki, urządzonej przez Abramowicza na spółkę z Abramem-ogłu, a więc niezawodnie i Hamdi-paszą, wypadało manewrować nader zręcznie. Żeby zatrzeć pierwsze ślady Diurju, a na czem powodzenie dalszego jej ukrycia bezpiecznego polegało, wypadało ją przedewszystkiem uprowadzić niepostrzeżenie z bazaru. Na to nie było innej rady, jak ubrać Diurju w świeżo kupiony płaszcz gumowy, przykryć jej głowę hełmem Puka, a tego ostatniego przebrać w jej „czar-czał“, który wybornie pasował do małego wzrostu „ser elfa.“

Scena trawestacji poprawiła wszystkim nieco humor, osobiłwie, gdy mister Puk zaczął wykręcać misternie głową pod mantylą i wzdychać żałością. Najprzód wyszli Walery, za nim Wacław i przebrana Diurju, zmierzając wolnym krokiem ku domowi, tylko inną ulicą, a nie tą, którą przyszli; na ich widok Abramczuk przesłonił oczy ręką i wpatrywał się pilnie. Po nich, w kilka minut dopiero, wyszła fałszywa Diurju, czyli mister Puk trawestowany, który wykręcając się jak najestetyczniej, żwawo pośpieszył we wręcz przeciwnym kierunku od swych towarzyszy. Abramczuk skoczył na nogi, rzucił pieniądze za „nargile“ i pośpieszył śladem domniemanej Diurju, która wnet na zakręcie znikła.

Imię „chadzą“ zapomniawszy nawet manipulowania swym wspaniałym fularem; leciał na złamanie karku, ale już nikogo z rodzaju niewieściego nie spotkał i w dali tylko ujrzał mężczyznę z zawiniątkiem pod pachą, w fezie, idącego śpiesznie w dół tą samą, co on ulicą. Abramczuk był w niemałym kłopotcie, nieco się namyślał, potem ponotował sobie uważnie numery domów, bo już i w Angorze one zaprowadzone zostały, po nauczaniu Turków przez Polaków w r. 1864 w Stambule, gdzie i jak one przybijane być powinny. Uczyniwszy to, z wolnem już sumieniem powlókł się pan „indzinier“ do biura na wysiadywanie urzędowe, z ciągłym paleniem fajek i takiemże spijaniem kaw w filiżankach wielkości napastrka.

Niebawem, poprzedzony przez kawasa Abdullę, zjawił się i sam nadinżynier, w niezmiennych grochowych szarawarach, z podniesioną dumnie głową, dzwoniąc w ostrogi, te symboliczne pamiątki po istotach, co kreowały jego majestat urzędniczy. Widać teraz było jawnie, że się tu rozgrywała prostacka intryga łamania woli dziewczicy, w której stary rozpustnik przyjął rolę poniżającą wykonawcy spisku. Prócz zazdrości zapamiętałej, stare to cielsko zapło-

nęło pożądlivością zwierzęcia, którego okazy zbyt liczne posiadamy i w naszym społeczeństwie, a co obdzierają z czystości uroku na każdym kroku piękny typ polskiej niewiasty. W jego siwych oczach raczych połyskiwało coś mętnego, gdy stojąc nad rajsbretem, ośliniał bursztyn cybucha palonej fajki. Pykał, pykał i patrzył na naciągnięty papier z rysunkiem, mającym nibyto przedstawiać profil podłużny drogi do kopalni węgla. Z tyłu za nim stali Abramczuk i Abdulla, z wyciągniętymi szyjami i uśmiechniętymi twarzami.

Cisza panowała, szef inżynier oglądał swój rysunek.

Pospolity inżynier nicby nie zrozumiał, patrząc na to arcydzieło nadinżyniera. Pierwsze, coby go stropić z drogi świadomości mogło, to właśnie, że na tym podłużnym profilu tak zwana płaszczyzna porównawcza nie była jak trzeba linią prostą, lecz łamaną pod rozmaitemi kątami; samo zaś przecięcie gruntu, zamiast suchych linii prostych, przedstawiało sobą cały pejzaż. Było to coś podobnego do rozkładanych dziecinnych wizerunków zwierząt, ptaków, domostw, budowli i roślin. Na wstępie więc widać było podobiznę gmachu rządowego, dalej siedziała dżamija z minaretem, za nią kilka różnokolorowych domów i domków, a gdy się już miasto skończyło, w czystym polu stały rzędem nieprzerwanym: wielbłądy, bawoły, konie, krzaki róż, narcyzy, hyacenty, osły, psy, zające, a przed nimi cała kawałkata jeźdźców, w złoto i srebro przystrojonych. Powietrze też nie próżnowało w profilu inżynierskim: latały po niem złote i srebrne motyle, granatowe ważki, ponsowe koniki polne z zielonem tułowiem, gołębie, kuropatwy, sępy. Gdzie była domniemanie jakaś woda, siedziały na niej rozkosznie gęsi, kaczki, bekasy, bociany. Pośrodku zaś całego rysunku, w niebiosach jazurowych, jaśniał urzędowy święty „aj“, półksiężyc i w sierpnie jego gwiazda, jako godło państwa Otto-

mańskiego. Żeby jeszcze więcej upiększyć ten profil ottomański, ziemia pod powierzchnią była różową i ponatykaną szmaragdami, rubinami, turkusami i t. p. drogocенnościami mineralnemi, naturalnie malowanemi...

Powoli nadszedł i komisarz drogowy, bawołowaty Ibrahim-effendi, ze swym pisarzem i nieodstępny „czibukczim“, a stanąwszy obok dawnych widzów, również jak i oni, cmokał, wyrażając oznaki zachwyty i podziwienia.

— To nie Walerego „malowanie“ — rzekł Abramczuk — a czyby nie było dobrze, ażeby pan pułkownik puścili tu kozy przed paszą, jak „wony wtikały?!“

— Fedio z ciebie prawdziwy — odpowiedział Abramowicz po turecku — alboż to nie pamiętasz, że one były na boku drogi?

— A co? a co? nie próbuj uczyć tych, co są twymi nauczycielami — wołali Turcy żartobliwie na Abramczuka, który rumieniec na twarzy przykrył swym fularem, obcierając niby pot z czoła.

Pykanie z fajki nadinżyniera tymczasem ustało, umoczył pendzelek w złotej farbie, i właśnie przed domniemanym wizerunkiem paszy, pod nosem jego malować zaczął cały rój pszczoł złotych, jakby one tworzyły nimbus nad jego głową. Przerwał zresztą malowanie, opuścił pendzelek, i niby od niechcenia zapytał Fedia:

— No i gdzie poszła?

— „Pojszła“ prosto „wulicą“ — odpowiedział zapytany „indzinier“, miętosząc fular w garści — taj przepadła.

— Co? Cooo? co ty pleciesz? — wykrzykiwał Abramowicz, coraz się więcej pochylając i chmurząc oblicze.

— A no, pojszła, taj przepadła.

— Gdzie?

— Wyjrzała była z bazaru, a potem zara w uliczce propała; nijak numery domów mam spisane...

— Kiep jesteś!

— Ale, pan pułkownik, toż ja tera „chadżą“, to „belajdigungi“; nie można tak kazaty! che! che!

— Milczałbyś ośle!

Podczas tej rozmowy, toczonej naturalnie po polsku, Ibrahim-effendi, usiadłszy na sofie, zaczął wszystkich po kolei witać z należytem namaszczeniem. Na znak błęgiego uczucia, którego doznawał, westchnął głęboko jak bawół, co się w błoto układa. Po odpiciu kawy biurowej i zapaleniu fajki sakramentalnej, spojrzał dopiero w stronę klócących się inżynierów. A dowiedziawszy się, o co chodzi, rzekł:

— Wam, wysokouczonym ludziom, nie tak łatwo zrozumieć nasz świat; ja się zaraz prawdy dowiem — i grabnął po powietrzu ręką na Abdullę, a skoro ten stanął przed nim, zapytał — a widziałeś ty, duszko-jagniątko, wchodzącą do domu Onika córkę Abrama-ogłu?

— Nie, „sultanie-effendim“, wcale jej nie widziałem — odpowiedział duszka jagniątko, wyniośle potrząsając odstawioną bosą nogą w trzewiku.

— „Marszałła!“ a kogóżeś widział wchodzących do domu Onika?

— Wchodzili sami Anglicy, no i ten syn niegodziwości, Walery-effendi.

— Nie dobrze, duszko, tyle zawziętości okazywać do ludzi...

— „Waj! waj!“ ależ to jego „język przebił mnie gorzej od szabli?“

— Dosyć, dosyć! a widziałeś ty ich wszystkich w twarz?

— W twarz? A jakże, ten tylko mały Anglik miał muślonem od helmu twarz zasłoniętą, ale on waryat...

— Chodź, zobaczymy! („giel bakałym“) — i ef-

fendi skinął ręką na Abramczuka, z którym następną rozpoczął rozmowę: — A tyś, duszko-inżynierze, napewno widział córkę Abrama ogłu?

— Ale, jak ciebie teraz widzę..

— To mniejsza; widziałeś jej twarz, gdy ze sklepu Onika wychodziła?

— Jak to? ależ miała ją po zwyczaju zasłoniętą „czerczefem“ i była do mnie tylem odwróconą?...

— Dobrze, dobrze! Idźcież teraz sobie w spokoju! — a gdy obaj niżnicy odeszli, rzekł effendi do Abramowicza: — córka Abrama ogłu jest w domu Onika, między Anglikami. Policya ma prawo ją aresztować i to aresztować za niemoralność...

— A co?... żłem obrachował?... Czy nie wyszło na moje? — wołał Abramowicz, zacierając ręce — śpiesz teraz do paszy, żeby nam potem nie popsuli, skoro wieść po mieście gruchnie. Prędko!

— Idę, beju, idę zaraz — ale effendi ani się ruszał z miejsca, dopalając fajkę — czy tylko wszystko powiedziałeś?

Szeł właśnie był zajęty malowaniem srebrnej kaczki, czy orla, lecącego nad złotymi pszczołami.

— Doskonale, ha! głównej rzeczy nie dodałem — rzekł przytłumionym głosem szeł inżynier; — Walery-effendi wrócił tej nocy i przywiózł z sobą cały juk złota, wykopanego w Ajasz, pomimo zakazu. Teatr też znów grali... Pamiętaj!

— Taak, bardzo dobrze... Śpieszę teraz do paszy, a tobie, beju, winszuję najprzód spożycia smacznego kaska, jak śmietanka... Będzie on grał teatry!? Zaśpiewamy teraz i my „tutki...“

Odsapnąwszy ciężko, Ibrahim-effendi, zwyczajem tureckim, skoczył żwawo na nogi i popędził do Hamdi paszy. Po zebraniu wszystkich potrzebnych wiadomości w tajemnicy, pasza zwołał radę poufną, zdecydować mającą o losie Walerego i Diurju. Abram-ogłu był też parę razy w „konaku“, szeptal

z „diwan-effendim“, sekretarzem paszy, poczem naradzał się z Abramowiczem i obchodził z wizytami znakomitych spółwyznawców. Po długich naradach, w której stronę oskarżonych jako obrońca wziął na siebie „müfetsiz“, sędzia najwyższy prowincyi „ulema“, biegły prawnik — postanowiono wezwać najprzód derwisza Kuzguna, będącego w mieście. Rozpuszczona do poszukiwania policya znalazła niebawem „drogą osobę“, błogo uśpioną, tuż pod murem otaczającym „konak“, jakby nie chciała narażać napróżno swych poszukiwaczy. Sporą ilość wody musiano atoli na kudłatą głowę „drogiej osoby“ wylać, zanim się nieco wytrzeźwić zdołała ze swego haszyszowego upojenia. Ledwie stojącego na nogach, a grożącego gniewem „Pana światów“, odstawiono derwisza do paszy z niemalym trudem. Dwaj „zaptje“ trzymali pod pachy „drogą osobę“ przed rozszochanym na ten widok „wali-paszą.“

— Nie jestże to obraza Allacha — wybuchnął pasza, odkładając fajkę — tak się po dniu pokazywać, derwiszu „tirjaku“ (pijaku opium).

— A tyś od kogo słyszał, że ludziom nauki po nocy udzielane bywają?! — odpowiedział Kuzgun, ciężko obracając językiem w gębę — dosyć tej pustej pytaniny, każ mnie raczej posadzić! Spać chcę...

Rada cała doniosła się zaśmiała. Nie wytrzymał i sam pasza, uśmiechnął się, a zarazem dał znak „zaptjom“, aby derwisza usadowili z nieodstępnym cybuchem w ręce. Ledwo nie ledwo zdołali go usadowić na sofie „zaptje“, którzy też tuż przy nim jak niańki stanęli.

— Duszę twą gubisz, pijaku — wołał pasza, z udaniem oburzeniem — zamiast jak przystało na „drogą osobę“, dostać się po „ukłęknięciu czarnego wielbłąda przed twym namiotem“ (po śmierci) na dno studni Zem-Zem, znajdziesz ty legowisko w bagnisku Barbutu (w piekle).

— Allach rzekł tak. „Szatan powtarza słowa

Koranu, jakie mu wpadły do ucha, ale większa ich część kłamie.“ (Koran, surata „Poeci“, 26).

Śmiech ponownie wybuchnął.

— „Waj! waj!“ bezwstydniku, alboż to nieprawda? — ciągnął pasza dalej, paląc fajkę.

— „Otwórz twe usta! Spójrz przez okienko twej duszy!“ — odpowiedział Kazgun, kiwając się i paląc — aż nie przez „al berzak“ (stan ducha przejściowy), przez odrywanie się częste z życia od ciała, dochodzisz do „ted zelljatu“, co prowadzi do „dżem dze maatu“ (od blasku objawienia do mistycznego skupienia umysłu, wiekuistego odpoczywania). A nie myż to, „kalenderzy“, mamy przytem obowiązek i oduczanie was od nieumiarkowania? Nie tobie sądzić postęпки nasze, sług „Pieczęci proroków i posłanników“, ani wolno ich do siebie przyrównywać... O! paszo, wiedz o tem! Tak.

— „Marszałła! marszałła!“ — wołał zbudowany „medżlis“, pomacując końce swych bród w posłuchu nabożnym.

— Mądrą jest twa nauka, „droga osobo“ — rzekł pasza — ale dlaczegoż jej pierwszy do ucha mego nie przyniosłeś?

Czkawka okropna napadła pijanego derwisza, zakrztusił się i fajkę opuścił.

— Szejch, grobowiec jego niech uczczony będzie! — rzekł — powiada tak:

„Walny to emir, co się u drzwi derwisza zjawia,
Lecz nędzny to derwisz, co do drzwi emira kwapi“ —

a któż ci przeszkadzał przyjść do mnie?!

— Skrzydła mi jeszcze nie urosły, ażebym mógł za tobą latać po wszystkich szynkach.

Homeryczny śmiech pokrył dowcip paszy, a Kuzgun zaczął się obliżywać i przykładać do ust burzty od wygasłej fajki. Pasza skinął ręką na „czibuczizego“, a ten, wnet podbiegłszy do derwisza,

zjął jego fajkę z cybucha, nałożył świeżym tytoniem i z rozżarzonym węglem wetknął ją napowrót na skaczący po powietrzu koniec. Stukając bursztynem o zęby, Kuzgun mocno pociągnął z fajki i buchnął przez nos dymem.

— Kazesz mi, duszko-jagniątko, chodzić do siebie po prawdę — rzekł pasza — otóż dlatego odkryjesz nam, ile znaleźliście złota w skarbie Ildirima w Ajasz i kto to go zabrał?

— Alboż pytają tego, kto nie był, zamiast tego, kto był? — odpowiedział Kuzgun, buchając całemi obłokami dymu — pytaj tych raczej, którzy tam byli, ale nie mnie.

Przy ostatnich słowach Kuzgun całkiem osowiał, upuścił fajkę i powaliwszy się na poduszkę pod ścianą, zapadł w sen nieprzebudzony palacza opium. Prózne były wszelkie próby trzeźwienia go, spał snem kamiennym. Pasza skinął, dano mu pokój; zap-tje też wyszli.

Z powziętych niby to wiadomości od Kuzguna, obok zeznań pozytywnych Ibrahima-effendiego, tajny medżlis stworzył dwie sprawy kryminalne: 1^o zgor-szenia publicznego i 2^o okradzenia skarbu sultańskiego, albowiem po panujących wszelkie pozostałości należą do padyszacha — oby zwyciężał!.. Wyrok zaś brzmiał krótko: uwięzić gorszyciela i gorszycielkę obyczajów cnotliwej Angory, oraz powtórnie uwięzić gorszyciela i skonfiskować mu skarb padyszacha, nie-prawnie przywłaszczony. Walery Abrahamowski i Diurju mieli być jeszcze tej nocy aresztowani; pa-sza wydał na to rozkaz „bin baszemu“, gdy radni opuścili salę.

Mijając śpiącego Kuzguna, „bin baszi“ zapytał paszy, co ma z nim zrobić? Pasza się uśmiechnął zjadliwie, kiwnął głową i rzekł.

— Łobuz ten kazał mi prawdy przy sobie szu-kać: otóż zobaczymy czy się sam połapie w prawdzie, gdy ze snu powstanie?! Zrobić z niego „Śpiącego

ozłowieka“ z „Tysiąc i jednej nocy“¹⁾; niech go ostrożnie zanosą na to miejsce, zkąd go podjęto. Ależ i o fajce jego nie zapomnijcie!

Służba niezmiernie ucieszona z figla paszy, ostrożnie zanosła Kuzguna pod mur i ułożyła go jak najwygodniej. Śmiechu było moc, gdy pijany, już leżąc na ziemi, coś mamrotał i ustami ruszał.

— „Iszalla!“ widzi pewno „droga osoba“ jakąś hurysę — rzekł starszy policyant — dajmyż mu się ba-wić w spokoju. „Hejdel!“ (idźmy).

Zaledwie atoli dowcipnisie zniknęli za rogiem muru, a już się jedno oko Kuzguna otwarło, potem i drugie, a następnie i kudłata głowa poszła do gó-ry, śledząc, czy niema kogo w pobliżu. Pusto było naokoło, wszyscy wracali przed wieczorem do domu. Derwisz najprzód usiadł w kucki, czapkę filcową przywdział, wstał, poły hyrki podkasał i co żywo pomknął do miasta, na Kilisé-sokak. Tam się długo czaił i oglądał, zanim zapukał do domu Onika.

Wszyscy byli obecni; opowiadanie derwisza, który je przeplatał dobrą mastyką, w zapal wprawia-ło słuchaczy. Mister Puk i Wacław wydawali roz-kazy Gomulkowskiemu, który klnąc, na czym świat stoi, pobiegł je do stajni wykonywać. Nie upłynął kwadrans, gdy już Gomulkowski w czapce na ba-kier, z cygarem w zębach, wyprowadził parę koni osiodłanych w kierunku cytadeli; za nim wyszedł Hans Abramsohn, jakby na spacer. Jak z pod ziemi wyrósł Abdulla i niby od niechcenia zapytał Dydaka Gomulkowskiego, dokąd konie prowadzi?

— Do cytadeli, dla „tistikdźich“ naszych — miu-knął Mazur, a odszedłszy dalej zaklął: — bodajś ska-piał, ty pazurniku!..

Po kwadransie mimo Abduły wracał Dydak, poświstując mazura, a konie jego prowadził Abram-

¹⁾ „Bin bir müsellik.“

sohn za miasto. Ukrytemi drzwiami, istniejącymi tu w każdym chrześcijańskim domu, przez kilka podwórzny dalej wyszedł Walery, a z nim, przebrana po męzku, Diurju i pośpieszyli w kierunku, w którym Hans poprowadził konie. Wacław z Pukiem mieli za nimi podążyć pocztą i razem dalej podróżować do Stambułu.

Dzieci światłości wydały walkę potomstwu ómy, wyzwaly na rękę sługi „księcia tej ziemi” i ich popleczników, czcicieli ślepej formułki tradycji. Nie strach wszakże podyktował im fortel ucieczki. Nie. Tylko nie chcieli za nic dopuścić do tryumfu, chociażby chwilowego, zespiskowanej zgrai gwałtowników.

— Niedoczekanie wasze, Jarmiany! — mrucał Dydak, wygrażając pięścią — co sokoly, to nie sowy; uleca wom z przed nosa i sam Fedio „chadziom” nie pomoże...

IX.

Liczyć na pomoc ludności miejscowej, choćby chrześcijańskiej, ofiary kabaly rządowej, w żaden sposób nie mogły, byłoby to bowiem to samo, co się zdać na pobłażliwość policji angorskiej. Szczęściem było już i to, że zdołały jakoś cało wybrnąć z miasta, na drogę stambulską; stanęło przytem, że zanim rozkaz aresztowania w podróży ich zaskoczy, powinni już być za granicą wilajetu, a wówczas będą mogli bezpiecznie czekać na interwencję ambasady. Wygrać więc na czasie wypadało koniecznie, a było to w możliwości Puka i Wacława, jako obywateli angielskich.

W nocy, stosownie do rozkazu walego - paszy, policja napadła na dom Onika, żądając wydania Walerego i Diurju; lecz Puk nie pozwolił na to przed-

tem, zanim otrzyma odpowiedź ambasady, ze Stambułu. Straż postawiono naokoło; ale nie śmiała ona przekroczyć progu domu, w którym stali uzbrojeni słudzy angielscy z Gomulkowskim na czele, dopóki Puk na swe telegraficzne zapytanie nie otrzymał odpowiedzi, że musi ustąpić władzy miejscowej. Wybiegiem tym atoli tyle skorzystano, że minęła prawie cała noc, kiedy „bin - buszi” naocznie mógł się przekonać, że już nikogo ze ściganych w domu nie było. Turcy z pospuszczanemi nosami z domu wyszli przy śmiechu do rozpuku tych, co ich w pole wywiedli.

Ofiary przemocy tymczasem skorzystały tyle, że jeszcze ciemno było, gdy dotarły do wsi Istunos, zamieszkałej przez Ormian, za którą zaczynały się góry, mogące dać im ukrycie, dopóki nie nadciągną kupcy angielscy. Pokrzepiając się raz wraz z flaszki Walerego, Hans szedł przy koniach raźnie; skoro zaś zamigotało coś podejrzanego na drodze, ekswojak z niewzruszoną flegmą germańską odbywał zwiady na raku i dawał znak świstem, że niebezpieczeństwa niema.

Wody Sakcharyi, starożytnego Sangarjusa, wezbrały; huk był przeto wielki, gdy nad ranem podróżni nasi wjechali na most, przy którym stał młyn. Zwiady z przeprawą i na ten raz zupełnie się powiodły, zwłaszcza, gdy kopyta koniom trawą poobwijały; tak sądzili uciekający.

— Jak nas tu moi rodacy nie podpatrzyli — szepnęła Diurju do Walerego — to już chyba ujdziemy całkiem bezpiecznie przed pościgiem tureckim...

Słowa te kochanki spłynęły, jak balsam kojący do serca Walerego w troskach o jej bezpieczeństwo, za co też pokilkakroć ucałował rękę swej Egryi. Pochmurno było; ciemność jaknajdoskonalsza ich ukrywała, gdy minęli młyn. Byli na progu grzbietu gór Ajasz-beli, który miał im dać przytułek na dzień w tej krainie stepowej. Hans, który musiał być zga-

sić swą nigdy niegasnącą porcelankę, nałożył ją znów teraz i potarł zapalką, aby zapalić. Już byli o kilkadziesiąt kroków, gdy drzwi od młyna skrzypnęły; ktoś w nich stanął i przypadłszy do ziemi, poglądał w stronę, z kąd błysnęła przed chwilą zapalka. Nikt tego z tajemniczych podróży nie widział.

— No, chwała Panu Jezusowi! — rzekł Hans, mocno pociągając z fajki — jużśmy przebyli największe niebezpieczeństwo. A możebyście, panie inżynierze, dali czego do posmarowania mych nóg, bo dyablenie jakoś nie gładko suną?...

— Smarowanie przez gardło?! — odpowiedział Walery, podając mu opłatankę z wódką.

— Nie bylibyśmy rodakami, kochany inżynierze — gdybyśmy się nie rozumieli nawzajem... A już ci przez gardło, to najskuteczniejsze — i tyknawszy, aż gluknęło w gardle, wykrzyknął pobożnie — ach! Herr Jezus...

— Siadajcież teraz, „lancmanie” artysto, na mego konia — i Walery zeskoczył na ziemię — bo ja teraz będę waszym przewodnikiem.

! zrobiwszy to, Walery stanął przy strzemieniu konia Diurju i poprowadził manowcami, by obejść strażnicę przydrożną, Ajasz-beli derwent. Koło „czeszmy”, studni przydrożnej, skreślił w lewo, w łożysko wyschłego ruczaju, i zanim dzień zaświtał, obeszł strażnicę, spuszczając się w dolinę na przeciwnym stoku grzbietu głównego. Niezmiernie trudny ten pochód nocny mógł jedynie odbyć dzięki temu, że zaledwo przed dwoma dniami zbadał był jak najdokładniej całą tę przestrzeń podczas poszukiwania skarbu z derwiszami.

Niezwykłe duża zorza, purpurą świecąca, choć nieco przymglona, opromieniła twarz Diurju, nie tyle poetyczną, ile raczej rzewnem jakimś uczuciem napiętnowaną. Starożytnych bogów i bogiń praktyczne bohaterstwo świeciło z tego oblicza dziewiczego, dumnego, że miało kogoś przy swym boku ze swej ra-

sy, co o niej nie dozwalał zapominać. Ze spróchniałego pnia, za jej to przyczyną, niebawem miała wytrysnąć latorośl odrodzenia narodu ormiańskiego. Unosiło się nad nią jakby echo głosu Klitemnestry z „Elektry” Sofoklesa, widzącej we śnie cień męża z berłem w ręce:

W ognisko nasze wsadził, i oto niebawem
Do góry gałąź z berła wystrzeliła bujna,
Co ocieniła całą ziemię Mycenejską.

Weszli teraz na całkiem ustronną drogę karawanową, wcale nie widną z góry, z głównego gościńca z Ajasz do Bejbazaru. Walery siadł znów na koń i skreślił na taki punkt, z kąd możnaby niepostrzeżenie widzieć nadciągających Wacława z Pukiem, którzy, jak wiemy, mieli równo z dniem z Angory wyruszyć, aby ich dogonić co najrychlej. Niejasne atoli przeczucie jakieś ciągle mąciło spokój Walerego; usiłował je odegnać od siebie, aby nie płoszyć szczęścia Diurju. Pociskał boki konia, widocznie do jakiegoś znanego sobie stanowiska zmierzając.

— My, Polacy, mój aniele, mamy przysłowie — mówił Walery do kochanki — że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Mógłżem ja np. przewidywać, że z głupstwa poszukiwania skarbów taką korzyść ogromną dla siebie wyciągnę?...

— Sam wiesz lepiej, co mówisz — odpowiedział Diurju uśmiechnięta — tylko nie bądź, mój drogi, tak złośliwym; bo nas jeszcze gotowo istotnie coś złego spotkać w drodze... No i szczęścia to jakoś nie dodaje ludziom?!

— A potrzebuję mieć je większe, skoro cię widzę przy mym boku?...

— Najukochańsza rzecz może łatwo obrzydnąć i znudzić, skoro szczęścia zabraknie.

— Dosyć tego, bo cię doprawdy ukarzę, moja ty anielska sensatko!...

— A to w jaki sposób?...

— Ale w najprostszy, oto pocałuję cię zaraz w nóżkę.

— To są komplementy dla waszych europejskich dam, lecz my ich wcale nie przyjmujemy; bo u nas panuje odwrotny stosunek towarzyski i to bodaj czy nie naturalniejszy. Nasza i wasza grzeczność towarzyska wyszydza się niby nawzajem. Poezya też nasza buja tuż ponad ziemią, u was znów i tu naodwrot; porzuca ona całkowicie ten padoł prozaiczny i ginie we mgle ideałów nieuchwytnych. Ja w tobie, mój orle, miłuję ów środek złoty, tak obcy reszcie twych rodaków, których dotąd spotykałam...

— Praktyczność twa, mój aniele, nie odstrasza mnie od ciebie bynajmniej; teraz bowiem widzę, co za dzielną żoną los psotnik zamierzył mnie obdarzyć.

Sympatyte narodowe, po tysiącletniej rozłące, odnalazły nanowemu drogi zbliżenia przez zapatrywania jednakie na poziom życiowy. Umiarkowanie, najgłębiej zapuszczając korzenie bytowania w ziemski grunt, rdzenny przymiot ormiańskiego charakteru, przemówiło przez ich usta do głębi serc kochających. Kłasy czny świat starożytny ztąd pozytywniej przemawiał, chrześcijański bowiem tak powiada: „A tak ponieważś letni, a nie zimny, ani gorący, wypłuję cię z ust moich. Albowiem mówiąc: Jestem bogaty; z bogactwem się, a niczego nie potrzebuję; a nie wiesz, żeś ty (duchowo) biedny i mizerny, i ubogi, i ślepy, i nagi”. (Apocal. rozdz. III, w. w. 16, 17). Lecz w tem, co zgubiło naród Hajuka W., czyżby się odnalazło i lekarstwo na jego zmartwychwstanie? Być może. Nie ma bowiem tak rozpaczliwego położenia, z któregoby narody prawdziwe nie wybrnęły, skoro swą istotę wewnętrzną przechowały nieskazitelnie. Niech promienne postacie „działwy słonecznej” oświecą i rozgrzeją wnętrze jego częstokroć żółwiej, czy ślimaczej, w skorupę niewoli zamkniętej natury, wnet się i ona przeobrazi, zdobywając byt niepodległy. Raz tylko

wyzwolony z kajdan niewoli, potrzebuje jeno wytworzyć u siebie parę geniuszów i kilka talentów, a wnet odkryje znów swe posłannictwo w rzeszy ludów, przeznaczonych do prowadzenia ludzkości w nieskończoność dzieła postępu dziejowego. W duszach promienistych i zapalnych największa moc i błogosławieństwo spoczywają, bo one są temi pszczelnymi matkami, co ustalając ład boży wewnątrz, dają i na zewnątrz narodowi ową siłę zbiorową, która jest niezwyciężoną, dopóki jej prywatna i zbytek nie osłabia.

Słońce zawsze być musi ciepła i światła ogniskiem, koło którego koniecznie wirować muszą chłód i ciemnota bierności lub złości, bo one same w sobie są niczem innym, jeno przeczeniem. Mądrze więc powiada Objawienie, a biada tym, co niedołężne umiarkowanie sadzą u siebie w słonecznym środku, ognisku ruchu wolnego, źródle świadomości, która jeśli jest dobrą, musi być ogniem, a skoro się złą staje, bywa mrozem moralnym—gdyż ono jest tylko plodem ułomności ludzkiej, powstałej z sobkowstwa obłudnego i bojaźliwości niemęskiej, niszczących wszelką samodzielność, czyli warunek bytowania rzeczywistego. Próba krwawa obecna jest pierwszym krokiem na drodze odrodzenia Ormian. Ale byłoby to wielkiem złudzeniem, gdyby oni sądzili, że okropnem swem męczeństwem biernem odzyskają prawo wejścia, jako równi, pomiędzy ludy niepodległe Europy ucywilizowanej. Męczeństwo dziś nie popłaca, postępuje drogą dowcipu i siły bohaterskiej. Ormianie dobrze o tem pamiętać winni, bez błagania Turków i przechodzenia na islam.

Kobiety nie potrzebują studiować filozofii, aby umieć oceniać w lot wartość dusz męskich; widzą bowiem one ich wdzięk i wyższość oczyma ducha, instynktu domniemanego. W lot też poznają ich blask, jasność i ciepło samorodne ducha, spoczywające w naturze męskiej, a co im każe zapominać nie tylko o jej powierzchowności, lecz i o samym wieku nawet, któ-

ry stanowczą przewagę w instynkcie reprodukcji odgrywa i tem się właśnie wyróżnia od zwierząt

Chociaż wiele młodsza od Walerego Diurju, uczuła jednak rozkosz niewysłowioną przy ostatnich słowach narzeczonego, a zarazem i strach, żeby go nie utracić. Z zachwytem patrzyła na niego, gdy zostawiwszy ją na miejscu, sam pogalopował, aby naokoło obejrzeć miejscowość. Wracał po chwili, klepiąc po szyi niezmordowanego wierzchowca.

— Tu spoczniemy — rzekł — pierwszy biorę na siebie czatę, a wy sobie tymczasem odpoczywajcie.

Konie odprowadzono zaraz na dno dolinki, spętano i puszczono na paszę. Diurju schronienie dla siebie znalazła w plantacji szakłaku farbiarskiego, „džehri” (*ramnus infectorius*) i astragalusów, dających gumę adragantową, a na skraju której usiadł Walery zaczajony, mając widok rozległy na drogę angorską. Ukrywszy torby z prowiantem i furazem w tychże zaroślach, Hans zasnął wnet snem kamienym.

Zdawało się wszystko pomyślnie układać, gdyż nie widać było nigdzie niebezpiecznych pastuchów, dla tych, co mają jakieś tajemnicze ruchy po kraju odbywać. Żeby nie próżnować, Walery podczas snu towarzyszków ucieczki zbierał ostrożnie paliwo, składające się w tych pustych stepach z suchego gnoju wielbłądziego i łodyg przeszłorocznych chwastów wyschłych. Strojny inżynier nie wzdragał się przed podobnie brudną pracą, myśląc tylko, jakby dogodzić w czemkolwiek najdroższej istocie w straszliwym obecnem położeniu. Słońce już było dosyć wysoko, ale nikt się jeszcze z angielskich towarzyszków nie pokazywał, chociaż wciąż przez lunetę oglądał widnokrąg. Nie było rady, wypadło przynajmniej napić się kawy, zwłaszcza tak nienawykłej do drogi i noclegów pod gołym niebem Diurju.

Popatrzywszy przeto dobrze przez lunetę naokoło, zbudził Hansa, posłał go po wodę i w pobliżu

koni rozpalili niewielki ogień, który nieco tylko dymu na początku wydał. Tknięta widocznie instynktem zakochanych Diurju, wnet się też przebudziła i zaczęła się krzątać koło kawy, oraz śniadania z sakw dobrze zaopatrzonych w wiktuały. Jedli, pili i śmiali się oboje z całą swobodą, bo Hansa teraz była kolej czatowania przy drodze.

— Widzę, aniele, co za rozkosz będę miał z ciebie w domu — mówił Walery, całując ręce kochanki.

— Żebyż tyle tylko trzeba było do szczęścia — odpowiedziała Diurju wesolo — albowiem to kucharka wiele rozkoszy dodać może!

— Może, jeśli jest np. tobą. Zresztą kobiety pono nie całkiem to dobrze rozumieją, że praca wazna, zręczna i umiejętna, wprost oczarowuje mężczyznę. Ale szczególnego uroku dodaje ona takim ślicznym istotkom, jak ty naprzykład, i robi z was rodzaj motyla z pszczelną naturą...

— Naturalnie bez żądla, o co kobiecie najtrudniej!...

Zakochani byli zajęci gawędą, a Abramssohn paleniem swej porcelanki w cieniu, i nikt ani spostrzegł, jak konie wylazły za paszę na górę, tuż koło drogi. Nikt też nie widział, jak od strony Bejbazaru, dokąd jechali, ciągnęło drogą dwóch konnych Turków. Zakochani tymczasem dalej gruchali,

— Jak to najtrudniej? — pytał Walery Diurju.

— Bo mężczyźni zbyt wiele częstokroć pozwalają sobie z nami...

— O! za to muszę cię skarcić koniecznie — i prędzej niż błyskawica złożył pocałunek na ustach kochanki.

— Nie wolno! grzech! dopóki przed ołtarzem nie staniemy. Gniewam się na cię... Zobaczysz, że ściągnie to na nas jakieś nieszczęście...

— A więc przebac, aniele, była to pierwsza i ostatnia moja zuchwałość! — i zaczął ręce kochanki całować, która łyż miała w oczach — ale, co do

prognostyków, to tym nie wierz; gdyż im dzisiaj nikt w świecie ucywilizowanym nie wierzy.

— Alboż ty przywiązujesz wiele do tego niby to ucywilizowanego świata? Cóż on więcej daje dla szczęścia jednostki, ponad to, co i my mamy w naszym prostaczym bycie? Ja, jeżeli przyłgnęła do ciebie całą duszą, to najprzód dla twych pięknych przymiotów serca i umysłu, a następnie coś mnie niezwykłego za serce uchwyciło, gdyś ty wystąpił z projektem wskrzeszenia naszej narodowości. Turcy i nasi zwykli ludzie przepadają za europejską cywilizacją, ale my, młodzi, szukamy w niej tylko sposobu do rozkucia naszych kajdan niewoli, i nic więcej. Wiara u nas być musi nienaruszoną, jak również i sam zwyczaj („adet”) staroświecki; tylko nie niewola, choćby nam miała dać całą cywilizację.

— Czuję się zupełnie przekonany twoimi dowodami, aniele, a jeżeli nie we wszystkim podzielam tę zapatrywania, to wistocie rzeczy jesteśmy całkiem zgodni w naszych poglądach.

Wynurzenia te poważne kochanków przerwał energiczny wykrzyk Hansa, wyskakującego na drogę, by odpędzić na dół konie popętane, które wyłazły na widok. Ale tuż ponad rozsierdzoną główką ponsową ex-wachmistrza i sztukmistrza wynurzyły się dwa łby końskie, a nad nimi dwie brodate głowy w zawojach.

— Dzień dobry! — zawołała jedna z głów brodatych — zkład i dokład jedziecie?

— Przyjechaliśmy ztąd, zkład wyjechaliśmy — ofuknął Hans, zajmując konie — a jedziemy tam, dokąd zajedziemy. „Donnerweter noch a mal!”

— Bardzo to dobrze, a masz-że ty „teskirć” (paszport)?

— Oto jest tu! — i Hans zły, że mu przeszkadzają, stuknął po torebce rewolweru — idź sobie pytać o „teskirć” swoich osłów „rajów” (chrześcian), ale nie nas, Frenków!...

— Tcs! tcs! to wy Frency? aha!

Turcy spojrzeli po sobie znacząco i popędzili galopem do Ajasz. Nie zdołał jeszcze kilkanaście kroków odpędzić koni Hans, gdy przypadł do niego Walery i kazał co żywo rozpętać je i kielznać.

— Nie mamy ani chwili do stracenia — wołał Walery do Diurju — uciekajmy! Ci Turcy są z Ajasz i mnie poznają, a widzę, że pojechali po żandarmeryę, bo to jacyś krewni Ibrahima-effendiego; widywałem ich często u niego w Angorze, niezawodnie są telegraficznie zawiadomieni i szukali nas, a dym nas zdradził.

— A co, widzisz, że prognostyki nie zawsze bywają błędne? — szeptała Diurju, siadając na koń.

— Nie bój się, aniele! Zaraz będziemy na terytoryum Bejbazarskiem naszego przyjaciela Hüsni-beja, i nie potrzebujemy obawiać się urzędowego pościgu.

Za swe zbyt filozoficzne dumania przy porcelanówce Hans musiał teraz dobrze wyciągać swe długie nogi z półlokciową stopą płaską jak deska, którą mierzył wzdłuż i wpoprzek żwawo pagórki i doliny, oddzielające „kajmakamlyk”, powiat Ajaszski od Bejbazarskiego. Nie było innego na to ratunku, bo w kraju zupełnie bezleśnym jeden pośpiech tylko mógł ocalić uciekających. Wpadłszy tedy na karawanową drogę, pustą o tej porze, a co najważniejsze, nigdzie w pobliżu śladów pasących się nie mającą, ku wieczorowi nadążyli do Bejbazar, rezydencyi Hüsni-beja, który już od kilku dni wrócił był z Angory na miejsce swego urzędowania.

Okoliwszy miasto, Walery z Diurju pozostali w ukryciu, po za ogromną skałą ze szczątkami rzymskiego akropolu, a Hans sam ruszył z listem do Wacława, który miał na poczcie czekać jego przybycia. Koledzy i chlebowawcy Walerego jechali pocztą konną, która tutaj inaczej nie chodzi, jak galopem; mieli

przeto uciekający niepłonną nadzieję, że jeżeli już nie przybyli do Bejbazaru, to wnet nadciągną. W liście Walery zawiadamiał, że będzie jechał drogą w nocy, a za „derwentem“ Soukty Bohaz, po drugiej stronie cieśniny górskiej, stanie, oczekując na ich przybycie.

Z początku Hans dobrze się sprawował z odaniem listu, ale gdy spojrzał na słońce, które jeszcze miało z godzinę do zachodu, nie wytrzymał; zaczął też robić po miasteczku poszukiwania ciepłej strawy, a głównie dobrej szklanki wina. Bejbazar jest wyłącznie tureckim miastem, z kilku uliczkami wszystkiego; od biedy przeto możeby i czego dostał do zaspokojenia głodu, ale o trunkach nie wolno tu było głośno nawet mówić. Pocztmistrz atoli, jak każdy urzędnik turecki, znał się doskonale z zakazanym przez „Dostojną Księżę“ trunkiem i wnet, pod największym naturalnie sekretem, wskazał w zaułku, przy bazarze „lokandę“, szynkownię ormiańską potajemną, gdzie wśród białego dnia jawnie pito i nabierano białego i czerwonego wina, ile tylko „dusza“ zapragnęła. Aż się oblizał ex rycerz, artysta, inżynier, i z całą zapamiętałością niemowlęcia, rwącego się do piersi matczynej, wnet poomacku dotarł do świątyni Bachusa.

Na tem miejscu zrobić wypadnie małą dygresję w opowiadaniu na rzecz pytania: co też poczną z sobą, bez żartu, prawdziwi lubownicy trunków gorących na tamtym świecie, gdy ich już zażywać nie będą mogli?... Przecież trudno przypuścić, by ich chciano poprzerabiać w sferach nadziemskich na alembiki spirytualne? Doprawdy...

Na razie potomek filozofów ani pomyślał nawet o tem, i nie zapominając, co ma za trudną przeprawę przed sobą, pałaszował misę koziny z „bamią“, groszkiem ślazowym, gęsto ją zazakropiając tegiem winem angorskiem. Sfera ormiańska w Turcyi ma w sobie coś dziwnie przejrzystego i czulego na słuch

urzędowy: nic się w niej ukryć na jedną chwilę nie może, ażeby zaraz z sekretu nie zostało wydane na tychmiast. Hans też, chociaż w ciemnym kąciu zasiadł, był jednak raptem jakby błyskawicą olśniony: ni ztąd, ni zowąd ujrzał przed sobą szanownego ex-kolegę, imć „chadzą“ Abramczuka, który, zdało się, wzrokiem chciał wypić z niego całą tajemnicę, gdy on pracował nad zbadaniem głębokości dna gąsiorka, a ten usiłował zajrzeć na spód jego skrytek psychicznych.

Ponsowa z granatem główka Hansa na ten widok straszliwie nabrzmiała, zaszypiała, jakby naprawdę zostać chciała szrapnelem, gotowym wrazić wszystkie swe pociski gniewu i wzgardy, oraz strachu, w wyszczerzone oliwkowe oblicze ex policyanta, c. k. Rutena. Dawni koledzy i przyjaciele, a nawet swój jacy z lewego boku, patrzyli sobie w oczy, jak koguty wyciągające szyję i śledzący z gdakaniem niepokojnie ślepią tchórza, zerkającego z dołu, by nabojem niearomatycznym harem ich z grzęd na dół sprowadzić...

— Dobry wieczór, her kolega! — zawołał zresztą Abramczuk, nadrabiając miną — a co wy tu robicie?

— Co? jem i piję za własne pieniądze — fuknął Hans, lyknawszy potężnie — a nie łażę szpiegować po kątach... „So, ja!“

— A her kolega dawno tu „przyjszły?“

— Przybyłem wtedy, kiedyś przyszedł, a wam to na co wiedzieć?

— He! he! bo ja „tutka“ chcę wina dostać...

Z całą bezczelnością tropiciela Abramczuk zasiadł na stołeczku i kazał sobie podać wina. Słońce tymczasem coraz zapadało ku zachodowi, a grube chmury wyłaziły na widnokrąg. Hans, wypiwszy resztę wina, zapłacił i kazał sobie podać nowy gąsiorek, a tymczasem zapytał gospodarza, w której tu stronie studnia.

— Zaraz się wody napiję i wrócę po gąsiorek — rzekł Hans, szybko powstając i zostawiając swe wino na stole.

Abramczuk wodził ciekawie wzrokiem za odchodzącym, a potem kazał sobie podać ulubione „nargile“. Czekał, czekał, spoglądał na gąsiorek zaplacycony, a Hansa tymczasem jak nie widać, tak nie widać. Coś go tknęło nareszcie, wyszedł na próg, zapytawszy naprzód, gdzie studnia; ale gdy się do niej zbliżył i ex-kolegi nie odkrył, zaklął i splunawszy pośpieszył na pocztę.

Klnąc od wszystkich „ludrów“ i „halunków“, Hans tymczasem kurząc zawzięcie ze swej porcelanki, jak wąż prześlizgiwał się szybko po krętych uliczkach miasteczka. Zaśmiał się, spluwając, gdy już był za miastem i spojrzał szyderczo za siebie; w pół mroku z po za ostatniego domu mignęła oliwkowa twarz i zaraz znikła, tak, że jej rozpoznać nie mógł. Odnalazłszy kochanków, którzy konie karmiąc z ręki, zapomnieli o całym Bożym świecie, zajęci rozmową, Hans zdał raport dokładny ze wszystkiego, naturalnie nie pomijając i spotkania z Abramczukiem, nie wiedzieć kiedy przybyłym do Bejbazaru. Po kilku jeszcze zapytaniach Walery, korzystając z zapadającego szybko mroku, z powodu chmur postanowił okrążyć Bejbazar i ruszyć w drogę, licząc na to, że tym pośpiechem udaremni nowe jakieś zamachy na ich bezpieczeństwo, albowiem bystrość Abramczuka w Bejbazarze uważał za wielce podejrzaną i niebezpieczną.

Po okrążeniu miasteczka, po za ogrodami, brzegami rzeki Sakcharyi, nie głębszej tu jak po kolana, wyszli na drogę stambulską, gdy już całkiem ściemniało. Konie szły same. Błyskać zaczęło na niebie, a wtedy podróżni łatwo mogli rozpoznawać okolice nagą i pustą naokoło, na daleką metę. Głuchy grzmot zahuczał w oddali, gdy dojeżdżali do

derwentu Soukty Bohaz. Siedzący na czatach „zap-tja“ nad drogą, na ganku strażnicy, zapytał:

— A zkąd i dokąd?

— Z Angory do Nał-hanu śpieszymy — odpowiedział Walery — czy bezpiecznie?

— Ałach niech prowadzi!

Widocznie żandarm nie miał ochoty schodzić na dół, bo właśnie w tej chwili lunął deszcz i dlatego nie żądał okazania paszportów, zresztą wiedząc, że złoczyńczy, chociażby w nocy, po drogach nie jeżdżą i to w strojach europejskich. Minawszy strażnicę, wjeżdża się w skalną szczelinę, nie szerszą nad kilka metrów u góry, na dnie której wiję się droga, a raczej ścieżka, na jednego konia. Jest to sławne Soukty Bohaz, „Gardziel do pchnięcia“ dosłownie, miejsce zasadzek opryszków na podróżnych. Szczelina ta nie jest głęboką, ściany jej boków zaledwo mają kilka metrów wysokości.

Przy zamogilnym blasku błyskawic skalna ta czeluść wyglądała jak prawdziwa „Brama zatracenia“ ze strasliwym swym napisem: *Lasciate ogni speranza!* Złudzenie to byłoby zupełne, przy zakapturzonych w gumowe okrycia podróżnych, gdyby nie ogień w fajce Hansa, który ręką ją od wody zasłaniając, chociaż brnął po kostki nawodnioną ulewą ścieżką, niemniej jednak zawzięcie kurzył i mruczał od „Teuflów“ na pogodę.

Ognista strzała gzygakiem chmurę rozpruła, echo piorunu rozdarło powietrze pałką tysięcy tysięcy, poczem huk ogłuszający pokrył przestwory czarnej ciemności. Aż konie przysiadły; wszyscy byli oślepieni blaskiem piorunu, który uderzył w skałę tuż przy drodze. Walery popędzał łydkami konia, bojącego się stapać po szumiącej wodzie potoku, w który ścieżka niebawem zamienioną została. Dzielne „huntery“ wietrzyły pas skały i chrapały, a choć ostrożnie, niemniej przeto równo stapały naprzód, bez oznak znużenia i wielkiego strachu.

— Dzielne koniska, idą jakby były do takich trudów stworzone — rzekł Walery, klepiąc konia po szyi.

— O! tak, tak, panie inżynierze — odpowiedział Hans z tyłu brniący — więcej one warte od niejednego człowieka... „Ja!...”

— Cicho! ktoś za nami jedzie — zawołała Diurju głosem niezwykle — tuż blisko, jadą szybko...

— Ja nic nie słyszę — mówił Walery.

— I ja też nic — dodał Hans, paląc spokojnie.

Błysnęło oślepiająco, jasno się stało, jak w dzień. Ktoś biegł wierzchołkiem stoku lewego, a z tyłu dobiegał głos turecki:

— Stójcie! w imieniu prawa zatrzymajcie się!

— Rozbójnicy! — zawołał Walery — Hans! ognia do nich, gdyby się zbliżyli. Jedźmy prędzej!

— Stójcie! stójcie! — krzyczano z tyłu.

— A możeby stanąć, panie inżynierze? — mruzczał Hans, wyciągając nogi i chowając fajkę.

— Słyszę głos Abramowicza! — wykrzyknęła Diurju.

— Stójcie! — wrzasnął głos tuż nad Walerym.

Spłoszony niespodzianym krzykiem, koń Diurju dał susa i stanął obok wierzchowca Walerego. Tuż nad głowami uciekających błysnęło, huknął strzał, koń Diurju stanął dęba, a ona z krzykiem:

— Zabił! — runęła z konia na skałę.

Błyskawica biała odkryła wszystko.

— Abdulla! — krzyknął Walery — giń psie!

— Nie zabijaj! — szepnęła Diurju na skałę.

Ale Walery naturalnie tego nie słyszał, ani usłuchałby podobnego rozkazu; dał ognia z rewolweru do stojącego nad głowami Abdully, który runął na skałę, krzyknawszy:

— „Aman!”

Parę sekund zaledwo trwała ta cała scena, a już Walery, skoczywszy z konia, przepadł do Diurju.

— Bierz konie! — krzyknął Walery na Hansa lamentującego.

— Złóżcie broń! — krzyczano z tyłu.

— Nie nachodź, bo zabiję! — odpowiedział Walery, klęcząc nad Diurju i usiłując ją podnieść.

— Bierzcie ich! bierzcie! — rozkazywał głos z tyłu, coraz bliżej.

Przyciskając ciało Diurju, nie dającej oznak życia, Walery skierował rewolwer, widocznie oczekując, aż ujrzy któregoś z napastników. Naraz, jeszcze z dalszej mety błysnęło, huknęło, ale już nie z pistoletów, tylko ze strzelb.

— Bij, zabij selmów! — doleciało do ucha Walerego — z konia pazurniki!...

— Uratowaliśmy *Gott sei dank!* — krzyknął Hans. — Hop! hop! *Donnerwetter!* to Mazur...

— Walery bywaj! — jeszcze bliżej witano — Walery! Walery!

— Wacławie tum jest! — odpowiedział Walery — ratujcie Diurju!

— Z konia pazurniki! — wrzeszczał Gomulkowski nieludzkim głosem — wiązać selmów!...

— Co? mnie, pułkownika?...

— Taki ty drożdżowy pułkownik jeden, Hajnok! z konia zbóju — krzyczał Gomulkowski jeszcze srożej — ho! ho! to i ty tutaj panie „chadziom“, a ci pedam z konia! ty, Fedziu, halo! Bedzies ty tera wisiol...

— Ale bo ja nie winien, wielmożny panie kucharu, dalibóg! — lamentował Abramczuk — co wy odemnie chcecie?

— Z konia! psiakrew, a nie to se zrobię z ciebie tłókno, albo i gomołę, jakem Gomulkowski!

Odezwał się stary żołnierz w kucharzu, który z rykiem lwa, czy byka rozszrozonego skakał od jednego do drugiego napastnika, grzmocił ich kolbą wystrzelonej strzelby, i wnet ściagał z konia, krępując jak pajak muchę w tył ręce, nie wiedzieć kiedy

i gdzie wziętemi sznurami i powrozami. Napastnikami byli Abramowicz z całym swym personelem drogowym. Jęki i błagania jeńców miały ten skutek tylko, że Gomulkowski coraz gorzej srożał i okładał ich podwójną ilością kolbowañ. Wacław z Pukiem biegli-tymczasem do Walerego.

— Nie rannyś—pytał Wacław Walerego.

— Ach ratujcie ja!—odpowiedział Walery—nie żyje! nie żyje! ja nieszczęśliwy...

Dopadłszy do miejsca, Wacław i Puk przyklękli przy Diurju. Niedługo potrzebowali badać, aby poznać stan prawdziwy leżącej bez ruchu.

— Żyje! — zawołał Wacław jasnym głosem — nieśmy ją do strażnicy. Widocznie tylko zemdląa od rany.

Wzięto na ręce ciało bezwładne rannej i doniósłszy do strażnicy, złożono na posłaniu. Długo jednak musiano cucić, dopóki przytomności nie odzyskała, a gdy się to stało, błysnęła wzrokiem na Walerego i szepnęła:

— O, Boże, jakżem szczęśliwa!...

I dalej mówić nie mogła, bo wysilenie to spowodowało wybuch krwi z ust, gdyż dostała postrzał pod łopatkę, na wylot. Nastąpiło teraz nowe zemdleńie, które już trudniej było zwalczyć. Czekało świtu, by móż rozpocząć powrót do Bej-bazaru, zkąd miano telegrafować po doktora Duclos.

Nic nie pomagały świadectwa Abramowicza i Ibrahima-effendiego, że działali na podstawie pozwolenia ścigania uciekających kochanków, nietylko przez Abrama-ogłu, lecz i samego Handi-paszy. Na dowód przedstawiali też razem z nimi wziętych do niewoli Artina i Ohanesa, którzy w imieniu rodziny mieli żądać od władzy pomocy do ujęcia zbiegłej niby to z domu rodzicielskiego Diurju. Obaj kuzyni Diurju, nie śmiejąc oczu podnieść na Walerego płakali rzewnemi łzami na widok siostry stryjecznej między życiem a śmiercią; na usprawiedliwienie zaś swoje po-

dawali, że byli zmuszeni przez patryarchę angorskiego, stryja, do odebrania z rąk Abramowicza siostry, by się nie poniewierała między obcymi mężczyznami i nie nabawiła tem całego rodu Abrama-ogłu nowego wstydu. Trudniej przychodziło z usprawiedliwieniem Abramowiczowi i Ibrahimowi - effendiemu, którzy wprowadzie tezę swej obrony opierali na tem, że tak jeden, jak i drugi też do rodu Abrahamowego należą — Ibrahim bowiem, to Abraham po turecku — ale tego nikt nie chciał brać za dowód poważny, choć go tak urzędowe powagi przytaczały. Najmocniej jednak przyłgnał do tej tezy, nie przymierzając, jak pijany plotu, imć „chadża“, Abramczuk, który też się kłął, że tylko jako krewniak przyjął był udział w wyprawie, choć temu straszliwie zaprzeczał Abramsohn, tak w swoim, jak i Abrahamowskiego imieniu, aby Fed', raczej od Czuczów, niż od patryarchy biblijnego pochodzący, miał jakieś prawo należenia do „nasienia“ abrahamowskiego.

Koniec końców wyniknął cały galimatyas z usprawiedliwiania się winowajców ze stanowiska etycznego prawa; bo co do zezwolenia paszy i to nie na piśmie, naturalnie, sędziowie, jako prawdziwi „farmazoni“, ani słyszeć o niem chcieli. Dojście prawdy tem trudniejszym było, albowiem właściwy sprawca napadu zbrodniczego, „Abdułła, wyzioną ducha zanim przyniesiono go do strażnicy. „Zaptje“ przytem, którzy przynieśli ciało Abdułły do strażnicy, twierdzili, że ten, konając, zeznał przed nimi, jako strzelał nie do Diurju, ale do Walerego i to na wyraźny rozkaz Abramowicza-beja; dodał i to jeszcze, że też z rozkazu tegoż tropił krok w krok swe ofiary od Istanos, a Fed' mu dopomógł w Bejbazarze do wpadnięcia na ich trop przy bytności Hansa, jak i w Ajasz, przez niegoż nasłani krewniacy Ibrahima-effendiego odkryli byli ich ślady przy plantacyi szakiaku farbierskiego. Zeznania te straszliwie pogorszyły sprawę Abramowicza w materji głównej, mianowicie w zamiarze

rozmyślnego morderstwa, zakrytego pozorami zezwolenia urzędowego do ścigania uciekających przed wyrokiem sądowym. Wykryło się i to naostatku, że Abramowicz, dowiedziawszy się przez gadatliwość Hansa o zamierzonym wyjeździe Anglików pocztą, uprzedził ich na tej drodze o całą godzinę i utrudniał jadącym za nim pośpiech na pocztach wskutek machinacyj Ibrahima-effendiego z pocztmistrzami. Dzięki złotu wszechmogącemu, część tylko złego dała się naprawić i tym sposobem Wacław z Pukiem nadbiegli z odsieczą i nie dopuścili do aresztowania Walerego.

Odkrycia te wszystkie największe wrażenia robiły na Gomulkowskim, jako na Mazurze, nienawidzącym przewrotności i wyrachowania, rzecz też prosta, że przyjmował najczynniejszy udział w indagacyach. Dodany dla eskorty przemysłowcom angielskim przez Hüsnibęję z Bejbazaru „zaptja“ przedstawiał władzę miejscową, acz „czauusz“, podobicer straży „derwentu“, był nią właściwie; ale, że tu chodziło o wysokich urzędników „wilajetowych“, pozostawił mu przeto całą moc do odbierania zeznań aresztowanych. Rozpytywania robiono zbiorowo, sami nawet pocztylioni, zwykle Turcy, nietylko stawali w roli świadków, ale i sędziów. Prezydował zaś Wacław, jako najbieglejszy po Walerym w języku, a co było niezmiernie na rękę i Dydakowi Mazurowi.

— Powiadasz więc pan, że nie wydawałeś rozkazu Abdulle — rzekł Wacław do Abramowicza ze związanymi w tył rękami — zabijania kogobądź ze ściąganych?

— Tak jest, rozbójnik ten postąpił samowolnie — odpowiedział Abramowicz, drżąc, płaczącym głosem — słowo honoru daję panu na to.

— Kto nie ma pojęcia o honorze, tego słowo nic nie znaczy. Poszukaj pan raczej lepszych jakich dowodów?

— A jakie on może dać dowody? — wtrącił Gomulkowski, przestając palić swą „brulgueulkę“, faje-

czkę — czyż to nie ów siał Fedia na pseśpiegi? Nie tyż to, pułkowniku drożdżowy, ślałeś Abdullę, żeby zabiegł drogę, he?

— Zapewne pan Gomulkowski kuchmistrzowskim zwrotem „drażkowego“ na drożdżowego pułkownika przerobił? — pytał Wacław z udaną powagą.

— Rychtycek tok, aleć drażkowy lepszy, bo go widać trzeba będzie wziąć pod dragi, żeby prawde śpiewał. No, gadajże drażkowy! — a do Abramczuka dodał: — Hajnok, ty, Fediu, śpiegu, co na to?

— Fedio sam schodził — odpowiedział Abramowicz, coraz więcej żółciejąc — ja go umyślnie nie posyłałem.

— Ehe, panie pułkowniku, aleb to prawda? — przerwał Fedio ze zwykłym spokojem człowieka masyżyny.

— A ktoby tam z nimi końca dosed! Moja rada prosta, zaraz z nimi pokonać. Generał Kzonoski, jakieśwa chadzali na „dragardę“, zawsze tak pedał: złapiecie śpiega, to go zaraz powiesić, a potem „karkołom“ spisać — i zwrócony do Hansa, Gomulkowski dodał: — A dyć tam koło was koniec postronka? Dawajcie go tu duskiem!...

Nie wyjmując porcelanki z ust, Hans przeciągnął rękę z postronkiem do Gomulkowskiego, który zaraz z niego stryczek wiązać zaczął. Wacław przy całej grozie położenia nie mógł zachować się seryo, chustką też usta zaslonił.

— A cóż to za „karkołom“ pisać mamy, szanowny kolęgo?! — zapytał Wacław kucharza, zajętego wiązaniem stryczka.

— Albo to pan kapitan nie wie — odpowiedział Gomulkowski — a toż ten, co go spisują przedtem, jak kark skręca?

— To chyba protokół?

— To, to, to!...

Teraz już całkiem się w chustkę schował Wacław, a Puk, dowiedziawszy się o wolnej przeróbce

protokołu na „karkołom,” posłał wnet cygaro hawańskie Gomułkowskiemu, ku niezmiernej jego ucieśze. Zapaliwszy cygaro sędzia-kuchmistrz, ku niezmiernej ucieśze Turków, szarpał i targał swe petle na wszystkie boki.

— Choć byka na nich wiesoć — dodał Mazur, powstając — nie urwiecie się; módlcie się teraz Bogu światłości, bo oto i dzień zacyno. A tak pszez modlitwy, choć to my formozony, ale i was nie pošlemy na tamten świat. Powiesimy, zebyście z własnej, a nie cudzej ręki ginęli.

Okropny zamęt i przerażenie powstało między więźniami. Rzecz prosta, nikt na ich błagania uwagi nie zwracał, wiedząc, że to są proste pogroźki dla wydobycia zeznań.

Tymczasem „zaptje” przystąpili do kucia więźniów w łańcuchy. Płacząc na głos Abramowicz błagał, by mu tego wstydu nie robiono, ale sąd był głuchy, gdyż miał go za głównego winowajcę.

— Ależ daj nam choć jednego świadka na swą korzyść? — odpowiedział Wacław na te błagania pułkownika-inżyniera.

— To dla niego świadki! — wołał Gomułkowski, stryczki podnoszą do góry. — Fediu, a co Jarmiany, he?

Zajęty bez przerwy dozorem Diurju, Walery ani na jedno mgnienie oka od niej nie odchodził. Ranna miała mowę odjętą, ale przytomności nie traciła i od czasu do czasu oczy otwierała. Drzwi strażnicy były otwarte. Błagania też i jęki ostatnie doskonale było tu słyszeć, gdyż indagacye odbywały się na ganku. Diurju spojrzała wymownie na Walerego i ustami poruszyła, kiwnąwszy głową w stronę skarg więźniów. Walery wyszedł na ganek i stanął przed sędziami. Ręką pociągnął po czole, spojrział przenikliwie po Abramowiczu i Fediu, którzy okropnie pobledli.

— Świadców potrzebujecie? — rzekł Walery ci-

chym głosem — że ci ludzie nie mieli zamiaru zabicia mnie? Otóż ja nim jestem i zeznaję, jako Abdulla miał do mnie osobistą złość i wyraźnie oświadczył zamiar zabicia mnie za pogrozenie mu kijem w chwili, gdy mnie Abramowicz chciał aresztować. Puśćcie ich wolno!

— A to być nie może! — wołał zaperzony Gomułkowski, machając stryczkami — pon indzinier z wielkiej ino dobroci to gadajom. Wiesać ich, a „karkołom” potem pisać!

— „All right,” kolego — zawołał Puk do swego kucharza, podając mu nowe cygaro — ty rozumiesz prawo...

Uchylając hełmu, Gomułkowski wydawał tylko jakieś mruki zgorszenia, odgryzając koniuszeczki świeżego cygara, ofiarowanego przez pana. Sąd doraźny tymczasem zastosować musiał swe postępowanie do oświadczenia Walerego, który, nie patrząc nawet na dziękujących byłych kolegów Fedia i Abramowicza, pośpieszył do rannej z wiadomością, która spokój widoczny na nią sprowadziła.

Urządzono tymczasem naprędce nosze. Walery urządził na nich poślanie i zakrycie przed słońcem, którego już pierwsze promienie trysnęły w wyszklonej po nocnej burzy toni powietrznej.

Nieurzędowi sędziowie, prócz Gomułkowskiego, chcieli ściśle wykonać wolę Walerego, puszczając wolno aresztowanych, ale „zaptje” kiwali na to głowami.

— Nie wolno! — rzekł na to starszy „zaptja,” skinąwszy ręką na trupa Abdully — muszą być przesłuchani.

— No, to rozwiążcie ich przynajmniej — doraźdał Wacław — oni są przecie Lechi-Madżary.

— Tak jest, najprawdziwsi Polacy — potwierdził Fedio Ruteńczyk.

— He! to tera ty wies, Fediu — wołał Gomułkowski, wyjmując cygaro z ust — kto ty taki napra-

wdę Łystryjaku, he? Cisarские Ruśniaki, to mi do-piro marcypany?!

— Iszała! Lechli Madżary—zakończył zaptja—to co innego, wstyd publicznie prowadzić zakutych. Rozwiązać ich!

Z ostatnimi słowami rozpoczęto oswobodzenie rąk więźniów z postronków i kajdan u niektórych. Najprzód wszakże Turcy uwolnili zsiniałe pięści Ibrachima-effendiego, całkiem zczerniałego ze strachu i nieruchomości. Wacław dał do zrozumienia żandarmom jednak, że tego właśnie jegomości uważał by za sprawcę moralnego całego napadu morderczego.

— „Aman!“ beju-musju, nie winien ja nic—lamentował Ibrahim-effendi — wykonywam tylko ściśle rozkazy starszych...

Rozwiązano go, ale sprawa znów utknęła gdy przyszło do uwolnienia z więzów Artina i Ohanesa, bladych jak trupy i drżących jak liście osiczyzny.

— A tych „czapkinów“ (łobuzów) już chyba tak zostawić?—pytał „zaptja.“

Tu Diurju znów spojrzała na Walerego, który wnet powstał i uprosił, by kuzynów rannej też uwolniono z więzów. Stało się zadość i temu życzeniu p. krzywdzonej przez rodzinę ofiary.

— Za wiele dobroci — mruczał Gomułkowski i zwrócony do Abramczuka dodał: — a co Fediu, farmazony?!

Smutna karawana po uciążliwym kilkogodzinnym marszu stanęła w Bejbazarze. Zatelegrafowano po doktora i księdza do Angory. Jednocześnie Puk z Wacławem rozpoczęli długą korespondencję telegraficzną z ambasadą angielską w Stambule i z komisyjnym ich domu, któremu zwiastowali rychłe swe przybycie do stolicy nadbosforskiej. Hüsnibej ze swej strony aż dwa dni indagował Abramowicza i jego personel, trzymając ich w więzieniu, ruszając się od wszelkiego rodzaju owadów pasorzytnych.

Na drugi dzień najprzód jednak wypuszczeni zostali Artin i Ohanes, z tem, aby śpieszyli niezwłocznie do Angory i oświadczyli Abramowi-ogłu, że jeżeli natychmiast nie da przyzwolenia na ślub Diurju z Walerym, to go zaraz wsadzą do kozy. Kuzynkowie też pomknęli z niepraktykowaną na Wschodzie szybkością do domu.

X.

Burza narodowa szalała nad całą Turcyą, a biedny ród Ormian odpokutował za podżegania niesumiennych agitatorów. Morze krwi i zgłiszczą pokryły dobytek wieków biednych potomków Hajuka W.; tylko „katolicka nacya“ między nimi ocalała. Miała i Angora swe ofiary, a to dzięki podszczuwaczom jak Teodoraki Fedio, jego szef i inni łotrzy, co Turków szczuli na Ormian, za to tylko, że czytali „Hanczaka“ londyńskiego i t. p. niecenzurowane świstki, a rozfanatyzowana dzicz islamicka wieszała za nie ich posiadaczy. Drżeli i postępowcy umiarkowani, a tych, którzy teatr chcieli byli urządzić, uwięziono, i teżby powieszono, gdyby nie opieka europejska nad „katolicką nacyą.“ Najkomiczniej wyszli, jeśli tu wogóle o śmieszności wolno wspominać, turkofile, jak matka Ohanesa i jej podobni, których dzieci pobrano do więzienia, i tam je gnojąc, jeszcze zwyczajem tureckim posromocono. Ledwo też żywi powychodzili Ohanes nosaty, ładny Artin i reszta trupy amatorskiej.

Ale promień słońca prawdy dziejowej, który z potomkiem jego rasy padł był wcześniej na noc niewoli ormiańskiej, nie dał narodowi Hajuka W. upaść. Trąd renegacyi bardzo niewiele dotknął, a całość, po chrście krwawym, okryła się purpurą majestatu świadomości o potrzebie bytu odrębnego od barbarzyńców, co pasorzytnie ich organizm narodo-

wy opanowawszy, pociągnęli w bagno głupoty, zepsucia i upodlenia. Dzięki latorośli bujnej rasy słonecznej, co ideę ormiańską czystą, z przed niewoli tureckiej, wniosła jako pochodnię zbawienia narodu — dziś śmielej, niż dawniej, wolno mu spoglądać w przyszłość wolną.

Upłynęło lat pięć. Zapomniano w Angorze o Diurju i jej dziwnych przygodach. Przypominały ją sobie chyba matka i ciotka, na które się obecnie zwałił cały ciężar utrzymywania rodziny, co było teraz niezmiernie trudnem z powodu zupełnego bankructwa Abrama-oglu, jak to przepowiedział Wacław Hreski. Nędza ostatnia zapanowała w mieszkaniu najętem przy Stambul-kapussu; były bowiem „miletwekil“ miał na tyle ambicyi szlachetnej, że wszystkie długie co do grosza zaspokoili, nie zważając na to, że sam z rodziną przez to na śmierć głodową wystawiony został.

Czas niejaki, dopóki byli Hamdi-pasza i Abramowicz, miewał chwilowe zatrudnienia, które mu wprawdzie tylko z głodu umrzeć nie dawały, ale zawsze przy życiu zachowywało — skoro jednak obu precz wypędzono ze służby, wskutek znanych skarg i profilu podłużnego z kaczkami i zającami, nędza nie do wytrzymania na stałe wkroczyła w progi jego ciupki, stajenkę raczej na osły przypominającą, niż mieszkanie ludzkie rodziny złożonej z kilkorga dusz. Obecnie zaś właściciel chalupy, krewniak, zagroził wyrzuceniem ich niezwłocznie z mieszkania, gdyby natychmiast komornego nie zapłacili.

Na progu siedziała jakaś chuda jak szkielek kobieta, cerując jakiś łach, i wyężdżając na to marne zajęcie zapłakane oczy. Suknia jej od starości pozieleniała, niegdyś czarna, była w harmonii nędzy z poszczerbionemi statkami glinianemi i szklanemi, oraz kupami szmat i kłaków, mających reprezentować pościel i bieliznę rodziny. Kilkoro dzieci, jak воск żółtych, w odzieży z samych szmatek niemal,

połatanych i pocerowanych, wlepiało cicho oczęta w kobietę i siedziało nieruchomo. Była to właśnie „kokona“ Katarina, żona Abrama-ogłu z młodszą rodziną.

Kurduplaste jakieś indywiduum rodzaju męskiego, w futerku wypłowieł ze stojącym kołnierzem, zatłuszczonym jakby z ceraty matowej, przypominające sobą puhacza w ludzkiej postaci, dreptało po dziedzińcu, pykając fajkę. Kłapaniu pantofli człowieka-puhacza towarzyszył głos, miauczenie wyjące nasładowujący.

— „Aman!“ słońce już się ma ku zachodowi—zrzędził czleczyzna-puhacz— a pieniędzy dotąd niema. Wynoście się, wynoście!

— Ależ krewniak, Antonie hadži, chwileczkę cierpliwości—wołała Katarina, łkając—mąż zaraz nadejdzie. Miej litość, panie gospodarzu!

— Teraz to ja wam krewniak?! Waj! waj! bezwstydni, a dawniej znać mnie nawet nie chcieliście... „Ałłach Baba“ (Bóg Ojciec) wie, kogo karze...

W tej chwili ukazał się mężczyzna całkiem siwy, zgarbiony, w „setre“ czarnym na butelkowozielony, wypłowieł od starości, wytartym co do nitki i połatanym na łokciach i pod pachami; stanął i ogromny nos chudy i poczerwieniały w stronę mówiącego wyciągnął. Katarina powstała, jakby dla oddania ukłonu i napowrót usiadła.

— Otóż i Abram-ogłu!—zawołała, głową wskazując na wchodzącego biedaka.

— Masz pieniądze?! — krzyknął gospodarz, Anton-hadži, ostro przystępując do Abrama-ogłu—a nie, to wynoście się zaraz. „Hajdel“ (ruszaj). Mam ja was dosyć.

Siedzące w kupce dzieci, bądź obejmujące za szyję jedno drugie, bądź z twarzami między dłońmi ukrytymi, spoglądały trwożliwie to na ojca, to na

matkę. Abram-ogłu przelknął głośno, rękę podniósł do czoła, jak do ukłonu.

— „Aman“ duszko-krewniak, Antonie-hadzi, wszak dotąd ani jednego miesiąca nie miałeś niezapłaconego komornego?—zawołał były bankier błagalnie—za parę dni zapłacę, „tiftikdżowie“ nadciągną.

— To taka twa spekulacja?! Ha?! Fora ze dwora! Niema dla ciebie zmiłowania, bo któż to, jak nie ty, nasz były ojciec narodu, pociągnął wszystkich krewnych w otchłań „kałabalyku“ (zamieszek, buntu) i bankructwa? Pychę twą teraz „Allach-Baba“ postanowił na proch zetrzeć i ukarać za krzywdę całego narodu. A nie przez twe też głupstwo i mnie wyrzucono z „beledje“ (rady miejskiej)? Oszuści, złodzieje, precz, precz!

Abram-ogłu poczerwieniał i wyprostował swój przygarbiony, wysoki stan, na obelgi zacnego pielgrzyma do Ziemi Św., „hadżego.“

— „Hajde!“ wynośmy się dziatki ztąd — zawołał na swoich, a do gospodarza rzekł: — alboż ty jeden szeląg straty poniosłeś w mem nieszczęściu?

— Żeś ty mnie, biedaka, nie złapał, to nie dziw—i czeczyna-puhacz szyderczo się wykrzywił—ale ja się mszczę za wszystkich krewnych, którzy przez ciebie ucierpieli. Co zresztą mam z tobą gadać, ot, biedak jestem, żadnych zwłok dawać nie mogę... Wynoście się!

— Nieużyty człowieku, bezwstydy! toż ty masz z pół miliona gotówki i nie chcesz mi pokredytować na kilkanaście piastrow?! (piastr dwadzieścia groszy).

— A bracia rodzeni pokredytowali? a bratan? kowie pokredytowali? a „monsignor“ pokredytowała kasa narodu pokredytowała? Ale najgłówniejsze, córka rodzona, córka pani?...

— Bezlitośny, co ty o tej potworce nam przypominasz?...

— Ha! ha! ha! tak cię pokarał Allach na dzie-

ciach własnych... I ja też nad tobą nie mam litości... Fora ze dwora!...

W miarę zrzędzeń harpagona Antona-hadżego, Katarina raz wraz odrywała wzrok od zwijanych w pakunek rupieci i podnosiła go ze zgrozą na męża. Tymczasem Abram-ogłu z wypieczonemi rumieńcami na twarzy, poczerwieniały ze smutku i nędzy, ani słówkiem nie odpowiadał na obelgi gospodarza, jakby przyznawał słusność robionym sobie zarzutom. Prawda, był on u wszystkich krewnych po kolei, ale wszędzie, choć to byli krociowi kabzani, spotkały go odmowy i szyderstwa obłudne, gorsze niż od harpagona gospodarza. Katarina płacząc, rozkładała płachty na ziemi, a dzieci podawały jej rozmaite graty do pakowania. Najmłodsza córeczka, bardzo podobna do Diurju, zapytała matkę półgłosem:

— Gdzież teraz, duszko-matko, zamieszkamy?

— Miejsce wasze teraz tam, tam! — i Anton-hadzi wyciągnął cybuch w stronę ruin rzymskiego miasta — tam bezpłatne miejsce dla żebraków, takich zwłaszcza jak wy, a i groby mieć będziecie tuż pod bokiem, ażebyście wiedzieli, że już dla świata żyć przestaliście.

Wyrzuceni biedacy nic nie odpowiadali na obelgi czeczyny-puhacza, tylko z tem większym pośpiechem wiązali węzélki i rzeczy składali.

— Ach! jaka ja głodna! — szepnęła córeczka — pociemniało mi w oczach...

I dziecko padło na jeden z węzélków, a Katarina spojrzała okropnie na męża, podbiegła do dzbanka z wodą, i zaczęła poić dziecko zemdlone.

— Co ci jest, ochłodo mych oczu? — pytała matka z wyiskrzonym wzrokiem — pij! zaraz ciotka nadejdzie.

W tej chwili właśnie stanęła w bramie siostra służebniczka, czarnem okryta, z Różańcem u pasa

i koszykiem w ręce. Dzieci biedaków wyciągnęły ręce i zawołały:

— Ciotko Anno! Patrz! siostra z głodu mrze...

— Cicho! cicho! macie tu dziatki — wołała Anna, stawiając koszyk na ziemi — „Allah-Ogluch“ (Bóg Syn) i „Marjem-Ana“ (Marya Matka) czuwają nad nami...

Na ciotce Annie nie znać było wielkiej zmiany, chyba że już całkiem pobladła, jak воск w świecach wielkiego ołtarza. Postawiwszy na ziemi garnek, z kosza wydobyty, resztkami jakiejś z niego zupy zaczęła karmić zgłodniały drobiazg, dając do ręki każdemu kawałek placka, co tu chleb zastępuje. Rodzicom lzy się w oczach kręciły, a na ich twarzach widać było jednocześnie walkę z głodem, z którym sami zapasy staczać musieli.

— A dokądże się wynosimy? — pytała Anna pocichutku.

— Tam, pod te większe gruzy! — odpowiedział ojciec, wskazując większą kupę rumowisk, w sąsiedztwie cmentarza katolickiego.

— Ależ, szwagrze, dzieci?...

— Cóż pocniemy nieszczęśliwi!...

— Słuchaj mnie, szwagrze, ukorź się i przyjmij, co ci ofiarowuje dobry człowiek!...

— A co ofiaruje?

— Mieszkanie bezpłatne, dopóki mu nie zwrócisz z zarobku.

— O! przecież są jeszcze ludzie... A któż to taki?...

Siostra Anna widocznie się zawahała, bojaźliwie spoglądała na szwagra i Katarinę.

— Onik — rzekła pocichutku.

— Cool! ten, ten skrzypek nikczemny, co nas zrujnował! — wołał Abram-oglu, drżąc z gniewu i oburzenia — on, śmie nam podobne propozycje robić! O! niech mu za to matka ziemia odmówi swego pogrzebu; ale ja wolę zaraz w nią ledz, zanimbym je-

go dobrodziejstwo przyjął. Idźmy raczej na cmentarz!...

— Ja cię, szwagrze-duszeko, uczyć nie chcę, tylko jedno ci przypominę, że nie Frency pierwsi spółkę zerwali...

— Dosyć! dosyć! Dzieci precz od garnka, „hajdel“ w drogę...

— Wynoscie się, wynoscie co prędzej, ha! prędko! — krzyczał gospodarz.

Ludność Wschodu, to zupełnie nasi żydzi; niech się tylko jaka wrzawa, czy wypadek zdarzy, wnet całą kupą tam wali. Wieść o nieludzkiem postąpieniu pobożnego pielgrzyma gospodarza ściągnęła niemałą ilość widzów, tak muzułmanów, jak i chrześcian, naturalnie z najuboższych warstw ludności, zamieszkującej tę najpośledniejszą dzielnicę Angory. Im ubożsi są ludzie, tem i litościwsi. Gwar wzrastał w miarę, jak ex-bankier ładował na swe barki węzły, a dzieci i kobiety jęczały i szlochały, biorąc co kto mógł z reszty rupieci i statków.

Z po za najbliższego głazu ruin wychyliła się głowa kudłata, następnie grzbiet okryty skórą lamparcia, a pod nią ruda opończa; na sztorc stanął długi cybuch od fajki, a siwiejące kędziory pokrył kołpak ostrostupowy z filcu. Z posłaniem swem ze skóry lamparciej, obecnie na grzbiecie, derwisz „Kalendar“, z szablą kolorową u pasa i nieodstępnym berdyshkiem żelaznym w ręku, wszedł do tłumu i wzrokiem skaczącym badał ciekawie twarze aktorów głównych zbiegowiska.

Abram-oglu stękał pod ciężarem, który mu podsadzały na plecy obie kobiety i z szeroko rozstawionymi nogami jak „hamal“, tragarz, postępował powolutku ku bramie. Czy płacz rodziny, czy wstyd i upokorzenie, dosyć, że były przedstawiciel narodu katolickiego, wyszedłszy na ulicę, osłabł i ciężko się oparł się o ogrodzenie opuszczonego domu. Derwisz tymczasem ładował fajkę z kapciucha, wydobytego

z pod habita, i coraz ciekawiej patrzył na niezwykle widowisko.

— A ma kto z was zapalki?—zapytał derwisz, nie patrząc na otaczających.

Jakis duży Turek w zielonym zawoju „hadzego,” pielgrzyma do Mekki, w kurcie skórzanej bawolej, z otwartą twarzą, sadzą zbrukaną, skwapliwie podpalil fajkę derwisza. W progu furty stanął właśnie Anton - „hadzi,” cisnąc w rękę cybuch, z obliczem nadętym.

— „Hajdé!” ścianę mi rozwalisz—huczał złościwie, szyderczo czeczyna puhacz wśród śmiechu gawroszów — chciałeś dźwigać na swych barkach cały ród i naród, a teraz tego lichego pakunku kilka kroków unieść nie możesz?!

— Dobrze mu tak, dobrze!—huczało naokoło — był wielkim, niech wie, co kosztuje być maluczkim...

— „Hajde, hajde!”—naglił gospodarz, ośmielony potakiwaniem ulicy.

Tymczasem Abram - ogłu, wycieńczony głodem, napróżno się mocował, aby ruszyć z miejsca. Gospodarz nie ustawał szydzić niby brys łańcuchowy.

— Ałlach nienawidzi człowieka twardego i dumnego — rzekł derwisz, wyciągając cybuch w stronę Antona-hadzego — będziesz ty jęczał „giauru,” gdy bladzi aniołowie po śmierci przyjdą ci rozpalonemi kleszczami wyrywać wnętrzności niehumanne i młotami rozwalać mózgownicę pyszną...

Tłum huknął śmiechem jeszcze głośniejsze.

— Waryaci tylko rohoczą, gdy płakać wypada—mówisz derwisz—a nie ma tu kogo litościwego, coby Ałłaha przebłagał i dopomógł upadającemu pod ciężarem?

— „Ałlach kahhar” (Bóg mściciel) rzekł przez twe usta, derwiszu Kuzgunie — odpowiedział Turek w bawolej kurcie, „hadzi”—ja poniesę twój pakunek, biedny „sarafie!”

I „hadzi,” Turek, silną ręką ujął pakunek Abrama-ogłu.

— „Kto pomaga ubogiemu”—zawołał Kuzgun — pomaga Ałlachowi...”

Tymczasem chrześcijański „hadzi,” gospodarz, wypychał płaczące dzieci Abrama - ogłu i ciągle wykrzykiwał:

— A nie wywracajże mi ogrodzenia!...

Teraz się odezwały z tłumu, rozrzuconego dobrym przykładem, głosy współczucia i oburzenia na niehumanne świętoszka gospodarza, a jednocześnie zaczęto ustępować z drogi na krzyk konnego „zaptyi,” eskortującego jakichś podróżnych europejczyków, jadących konno. Na ślicznych „bahreimach,” białych paradyrach arabskich, jechali pan i pani zakwefiona, a za nimi dwór z kilku jukami na roslących mułach.

— O! szeroki gardzielu, posucho obmierzła, zostaw biedaków w pokoju! — wołał tłum na Antona-hadzego.

Zresztą w rozstapiony lud wjechała para europejczyków. Pani wykrzyknęła, woalkę na kapeluszarzuciła, i zeskoczywszy z siodła, biegła ku Katarinie z wyciągniętymi rękami, wołając:

— Matko! to ja, co z wami?...

— Co? co? to ty, ty? — wołała Katarina, upuszczając węzeł z pleców na ziemię—Diurju! ochłodo miych oczu...

A pani europejska, w swej okazałej amazonce, Diurju, padła na klęczki i płacząc konwulsyjnie obejmowała matczyne kolana. Katarina zanosząc się też od łez, tuliła córkę do łona. Za matką cisnęły się teraz dzieci z krzykiem radosnym do siostry:

— Diurju! Diurju!—wołano naokoło.

Gospodarzowi oczy wyskoczyły na łeb.

— A zabierajcież się raz już ztąd precz!—mruzczał Anton-hadzi.

Z tyłu, z orszaku służebnego, na mule objuczonym statkami kuchennymi, w czapce ceratką pokry-

tej, podskoczył do gospodarza zawziętego blondyn szpakowaty, z harapem podniesionym nad głową, i z mazowiecka po turecku wrzasnął:

— A bodajżeś skapiał Kuldonłyku!—i palnawszy z harapa nad uchem Antona-hadżego, dodał — pójdz precz! A, wy, Jarmiany, pazurniki!...

— Waj! waj! „achczy - baszi“ (kuchmistrzu) tyżeś to?—wykrzyknął Kuzgun szeroko uśmiechnięty—bądź pozdrowion! Dusza się śmieje na twój widok...

— Dajcie pokój, Gomulkowski, temu człowiekowi — wołał pan, złażąc szybko z konia — ot, weźcie lepiej wierzchowca i potrzyście go!

— „Bre!“ (wykrzyknik podziwiania) Walery efendi, tweż to białe oblicze widzisz? — rzekł Kuzgun, podbiegając do pana, czyli Walerego Abrahamowskiego—w imię światłości, witam cię, bracie!

— Witam cię, bracie! — odpowiedział Walery, ściskając dłoń derwisza—ale powiedz mi, co to wszystko znaczy?

I przerażony Walery wskazał z upokorzeniem na rodzinę Diurju, swej żony. Derwisz w kilku słowach objaśnił gościa zagranicznego o wszystkim. Tymczasem Diurju od matki przeszła na klęczkach do ojca, ciągle jeszcze stojącego z ładunkiem na barkach, jakby całkiem stracił zmysły.

— Ojcie! przebacz — wołała Diurju, załamując ręce, cała łzami zalana — przybywamy ci z pomocą, my dziś bogaci...

— Dajcie mi pokój! — ofuknął Abram-oglu nieprzytomnie—zmusiliście mnie dać pozwolenie na wasz ślub, czegoż chcecie więcej? Bogactwo wasze cóż mnie obchodzi! Czyż druga córka, bracia i cała familia nie przekonali mnie, że ja na niczyją z was pomoc liczyć nie mogę?...

— „Aman!“ co ty, ojcie, mówisz? Toż my z Walerym umyślnie po to do was przyjechaliśmy, miej litość nad swą córką!...

— Co ty, doprawdy, duszko-szwagrze, alboż to

się godzi tak dobre dziecko odpychać?—mówiła Anna przez łyzy, ze zgorszeniem — zkad ci ta pycha przybywa?...

— Nie przyjmuję niczyich nauk — mruczał Abram-oglu, odpychając Diurju od swych kolan wolną ręką—idź sobie; ja wam nigdy mej ruiny nie zapomnę!...

Walery cały się zatrzęsł i zawołał na Djuriu:

— Daj pokój, duszko, ojcu! Wszak my nic nie winni?...

— „Bóg się takimi brzydzi, kto się ojca wstydzi“—mruknął Gomulkowski po polsku.

— Wstydz się, wstydz! duszko szwagrze, co ty mówisz?—karciła Anna, wyciągając ręce nad głowę Diurju—„Allah Kudas“ (Duch ś.) nam ją tu zesłał, a ty bluźnisz!...

Śledzący z najwyższym zajęciem akt prześlagnia w rodzinie Abrama-oglu Kuzgun, wyciągnął jak żóraw na czatach szyję, a oczyma strzelał niespokojnie.

— „Derwisz zanné“ (zakonnica, siostra miłosierdzia po turecku) boską ci prawdę objawiła, „sara-fie“ — rzekł derwisz — Allah nienawidzi człowieka twardego i wyniosłego. W rodzinie nie powinna być żadna zemsta znana. Biorę na świadka te oto zachodzące słońca promienie, że musisz Abramie-oglu z dziećmi swemi zgodę i miłość nanowo uczynić. Tak („evét“).

— Tak, tak!—potwierdzili Turcy i chrześciance chórem.

Głos ogółu jakby wytrzeźwił Abrama-oglu, wrócił mu całą przytomność; potarł wolną ręką po czole, a następnie opuścił na ziemię ładunek z pleców. Westchnął głęboko, jak topielec uratowany i do życia wrócony, oparł obie dłonie na kolanach.

— Mężu, ojcie, patrz! — wołała Katarina, pochwytyjąc Abrama-oglu za ramię i ukazując na słońce—Bóg ich ztamtąd na ziemię zesłał!

— Przebaczcie i błogosławcie nam! — wołała Djurju klęcząca i dodała do męża: — Walery! duszo, na tem miejscu prosimy o błogosławieństwo rodziców.

— Nie wstydno przed ojcami choć gdzie pokłęknać—mówił Gomułkowski, ocierając łzy garścią.

Walery zdjął hełm z głowy, przystąpił do Katariny i do Abrama-ogłu, a pocałowawszy ich ręce, uklęknął obok żony na środku ulicy.

— „Alferin, alferin!“ (dziękujemy) „czok szej, czok szej!“—prześlicznie!—wołała publiczność zachwycona, podczas aktu błogosławieństwa rodziców.

Bracia i siostry młodsze rzuciły się w objęcia siostry i szwagra, prócz łez na razie nic nie mogąc z siebie wydobyć. Ulica, do głębi wzruszona i przygodą znieruchomiona, naraz się ruszać zaczęła.

— Pasza! wali pasza idzie! — szeptano naokoło, ustępując z drogi.

— A co, czy poznajecie mnie, duszki? — pytał pasza, stając przed państwem Walerowstwem.

— Hüsnibej!—wykrzyknął Walery, wyciągając ręce i padając w objęcia paszy.

Po równie serdecznym przywitaniu Diurju przez paszę, zaprosił on oboje do siebie w gościnę. O przyjeździe ich wiedział naprzód i właśnie wyszedł był na ich spotkanie, powiadomiony przez straż przyrogatce, tuż w pobliżu „konaku“ rządowego.

Jakim porządkiem Hüsnibej został paszą angorskim? Bardzo zwykłym w Turcyi. Był najprzód usunięty z posady, za opór stawiony Hamdi-paszy, za niesubordynację i przyjęcie strony skazanych wyrokiem niby to. Ale gdy się dostał do Stambułu, jako wielki familiant i przy pomocy osobistych przyjaciół, wyrzucił zaraz byłego swego zwierzchnika, Hamdi-paszę z Angory. Następnie, dobrze uważany w ambasadzie angielskiej, dostał jej poparcie do otrzymania generał-gubernatorstwa wilajetu Angorskiego, po rze-

ziach i okrucieństwach tam popełnionych na Ormianach, w czasie ich ogólnego pogromu.

Szczególnie zaś serdeczny stosunek Hüsnibej, obecnie „paszy“, do Walerowstwa pochodził ztąd, że w jego właśnie domu, w Bejbazarze, odbyło się ich wesele, po którym dopiero wyjechali spokojnie do Europy, choć Hamdi-pasza usiłował za wszelką cenę temu przeszkodzić. Zaś co do Walerego, to ten zaprzestał chwilowo praktykować inżynierstwo, wszedł do spółki z Wacławem i Pukiem, i tym sposobem został bogaczem całą gębą.

— Odemnieście w świat wyjechali—mówił Hüsnipasza—do mnie też najprzód, wracając do domu, zajeżdżać musicie.

Karawana bogatego technika-przemysłowca zawróciła do „konaku“, zabierając razem i rodzinę dopiero co wypędzoną Abrama-ogłu. Walerowstwo zabronili brać rodzinie cokolwiekbądź ze starzyzny, która porzuciła też ją na ulicy. Pasza był doskonale powiadomiony o nieludzkich czynach gospodarza bigota, i to względem stryjecznych krewnych.

— Słuchaj duszko, „bin-baszy“, jak możesz dopuszczać podobne nieporządki na ulicy?—i Hüsnipasza palcem wskazał gospodarza policmajstrowi, co był w jego orszaku — pociągnij zato do odpowiedzialności gospodarza niedbałego.

Zemsta ta urzędowa, a la Turka, dziesiętkroć drożej kosztowała człowieka pułacza, Antona-hadżego, niż to, za co wypędzał z mieszkania Abrama-ogłu. Śmiała się też z tego cała Angora i już tegoż samego wieczora miała o tem skomponowaną „tiurki“, którą wszędzie przez nos śpiewano. Abram-ogłu przez zięcia odzyskał napowrót całą fortunę, zostawszy znów agentem generalnym spółki angielskiej.

Ludzie się dziwili, jak to mogło wszystko stać się, albowiem powstał tu na nogi człowiek zdeptany przez własny ród? Łamali też sobie głowy nad tem, czy to być może, aby cudzy ludzie, cudzoziemcy, nie

znający ich patryarchalnego zwyczaju, mogli tyle pięknego i dobrego pomiędzy nich wnosić?— „Ajat,“ cud boży — powiadali na to fataliści muzułmańscy; ale chrześcijanie kręcili tylko głowami, przypominając sobie czyny sprawców prześlicznego przykładu szerokiej moralności, które wcale odbiegały od prawa kanonicznego. Rzecz nabierała szczególniejszej wagi ztąd jeszcze, że Walery, prócz zamiaru pojednania się z rodziną żony, miał misję zbadania dalszej trasy kolei żelaznej do Siwas, którą do Angory teraz prawdziwi inżynierowie robili.

Nowina ta, o ile zakłopotala Turków fanatyków, o tyleż ducha dodała postępowcom, którzy wzdychają do zrzucenia jarzma despotyzmu azyatyckiego, co tak sromotnie teraz przed światem napiętnował ohydą i barbarzyństwem cały naród osmański, a ten teraz ze wstydu i poniżenia nie śmie oczu podnieść przed światem ucywilizowanym. Podczas gdy krwiożerczy fanatycy, w swych zwycięstwach jak kopy siana na głowach, bełkotali w „nargilach“ szmerząc na ucho, derwisz Kuzgun, w sąsiedniej z „konakiem“ kawiarni, wyciągnąwszy cybuch bursztynem do ponurego zgromadzenia, rzekł:

— „Giedżeniu böjuk karini war, Aflach bilir jarin ne gohrurur“—iktibal! (Noc brzemienna porankiem, Aflach jeden wie, co zorza oświeci — przeznaczenie!).

— „Ewet!“ (tak)—podchwycili postępowcy.

Miedzy postępowcami zasiadał Hans, który już więcej nie odstępował Walerego, i kurząc, jak zawsze, swą historyczną porcelankę, kawą przychlipywał najgłośniej.

— Tak, skoro będziecie mieli prawdziwy „Kara-pampur“—rzekł—to i przeznaczenie mieć będziecie w kieszeni... „Ja, sol!“

Podczas gdy postępowcy na to wybuchnęli śmiechem, starowiercy, a wśród nich i puhacz - człowiek, ponuro się zasrożyli.

— Chyba chciałeś powiedzieć — wtrącił zjadliwie Anton-hadzi — że pustki mieć będziemy w kieszeniach?!

— Aman!—odpowiedzieli na to fanatycy i westchnęli jak bawoły.

W czerwonym zabarwieniu zorzy zachodu stanęła we drzewiach postać zgrzana Dydaka. Mazura twarz przybrała figlarnie złośliwy wyraz.

— Hans! pan woła—rzekł kuchmistrz, a potem zwrócony do Kuzguna, podał mu kamionkę benedyktyнки—a to „droga osoby“ dla ciebie pan przysyła, żebyście słodko noc przespalili—i na ostatku dodał w stronę Antona-hadżego: — tobie zaś kuldonłyku, saraf Abram-oglu darowuje wszystkie swe ruchomości, spoczywające pod twym płotem, abyś miał czem „strofy“ popłacić...

— Szeroka dłoń! szeroka dłoń! — huknięto dookoła ze śmiechem.

Ale człowiek-puhacz, przycisnąwszy rękę do ust, do serca i do czoła, na znak głębokiej wdzięczności, skoczył na nogi, i poleciał strzają zabrać rupiecie, prezent z łaski Boskiej, co nie dopuściła jego „sierocę“ krzywdy. — Filary despotyzmu, wstecznicstwa i obludy, harpagoni, niczem nie pogardzają, choćby to plwocinami wzgardy było oślinione...

Gdy wszakże człowiek-puhacz mógł w sobie po szekspirowsku powiedzieć: „wszystko dobrze, co się dobrze kończy,“ była zato inna osoba, która tego o sobie wymówić nie śmiała. Była nią mianowicie Maryam, siostra Diurju, która w chwili bankructwa ojca, aby coś ocalić z jego majątku dla rodzeństwa, dostała była sfigowany skrypt antydatowany. A choć majątek ojca wystarczył na pokrycie wszystkich długów i pozostawało z niego tyle, że wystarczyło na utrzymanie rodziny młodszej, to obludna faryzeuszka, Marjam, zagrabiła te resztki na podstawie fałszywego skryptu, powiadając, że to jej posag. Wśród krwawej zawieruchy i panowania zbrodni politycznej

kainowski ten postępek wyrodnej córki i siostry zniknął był niepostrzeżenie i teraz dopiero w całej swej ohydzie wystąpił na jaw. Ormianie powszechnie twierdzili, że zbrodnie tego rodzaju, jak ta, sprowadziły właśnie na nich całą pomstę Bożą, co krwią i ruiną ukarała zato cały ich naród. Wszyscy się od niej odwrócili, a mąż „tiftikdži,” stracił mir u wszystkich i musiał uciekać na zawsze z Angory.

Tymczasem pod wpływem pięknej Diurju, a może i budowy kolei, miasto Bajareta nieszczęśliwego żyć na nowo zaczęło. Dopomagał do tego najwięcej nowy wali, Hüsnipasza, który pod swem masonstwem wschodniem ukrywał sporą dozę rewolucjonizmu młodotureckiego. Brakło mu tylko człowieka, z którymby mógł działać nieznacznie w myśl tych idei; owóz przybycie Walerego i całego personelu europejskiego znakomicie do tego dopomogło.

Będąc teraz panem sytuacji, Walery postanowił dalej przeprowadzać myśl organicznej pracy wśród Ormian, stawiając na początek zakazany dawniej pomysł urządzenia teatru w Angorze. Pasza terazniejszy nie tylko mu teraz nie przeszkadzał, ale sam dopomagał z całych sił, ku niezmiernej uciechu „wartabeta” Abramjana i Turków postępowych.

Jak za dni fałszywych inżynierów, tak i obecnie, gdy zrana przy otwarciu robót duchowna asystencya muzulmańska ją porzuciła, to wieczorem nastąpiło przedstawienie: „Arki Noego i Kara pam-pura.”

Widowisko tym razem odbyło się w „hawlu,” krytym dziedzińcu domu dawnego Abrama-ogłu, który dla niego odkupiony został przez Walerego i darowany napowrót rodzinie. Aktorami byli ciż sami, co i na pierwszej ongi próbie, z tem, że Artin musiał zgolić wasy i mocno się ublańszować, aby zatrzeć ślady wieku.

Wśród publiczności, naturalnie, nie brakło i Hüsnipaszy, oraz wszystkich znakomitych dygnitarzy

„wilajetowych.” Ale co najwięcej było budującego, oto, że obok „monsignora,” biskupa katolickiego, zasiadał znany szejch derwiszów, Mewlewi, a przy nim „kalender” Kuzgun z nieodstępnym cybuchem i lamparcią skórą na plecach. I pomimo to, ziemia się nie zawaliła!...

Na szczęście, podobno staraniem Hansa, przybyła wędrowną muzyka braci Słowian z nad Welta-wy, aby Polakowi Ormianinowi dopomódz w potrzebie. Znakomicie też wypadło, gdy przy podniesieniu kurtyny orkiestra zaintonowała hymn turecki, gdzie zasadniczy ton melodyi, naśladowany z mekania koźlego amoroso, oddawały prześlicznie oboje, a firyntury chromatyczne, burkot magli przypominające, puzon z tołumbasem doskonale wykonały. Turcy, kiwając głowami, robili „témíné” leciuchne w stronę paszy i głośno wzdychali z zachwytu. Ale już nie było słów do wyrażenia rozrzucającego uczucia, gdy Noe, Ohanes, poruszał gołębia, wołając patetycznie:

Lećże teraz mój gołąku w spokoju,
I przynieś nam znak oliwny pokoju!

W prawdziwą jednak burzę uczuć serdecznych zamieniło się to usposobienie, gdy prześliczny chłopak, najmłodszy brat Diurju, zupełnie do niej podobny, za anioła przebrany, gołębia z uwiązaną gałązką oliwną w dzióbku wniósł na scenę. Podczas gdy jedni cmokali i gładzili sobie piersi, wygłaszając: — „aman, amany!” (zmiłujcie się! zachwyty), Kuzgun powstał i wyciągnawszy swój berdyszek derwiszowski w stronę walego paszy, zawołał:

— „Kani kanle ijkamazlar, kani su ilé ijkarlar!”
(krew nie krwιά, lecz wodą się zmywa).

Pasza i dostojnicy muzulmańscy potakująco kręcili głowami na znak podzielania tego zdania, co było niesłychanie śmiałem wobec jeszcze niezupełnie przygasłego zarzewia fanatyzmu. Na dobitkę Czezi zagrali: — „Good sawe the king,” jakby pogroźkę bu-

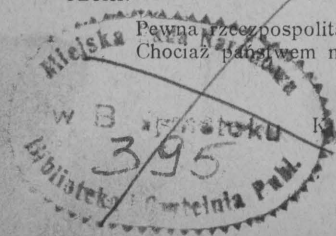
rzycielom pokoju i sprawiedliwości, a Ormianie z dumą spoglądali na swego rodaka, Anglika i Polaka. Hans przeszedł sam siebie w przedstawieniu „Kara-pampura,” a to dzięki Gomułkowskiemu, który dopilnował, że artysta wyszedł na scenę całkiem naczeczko, będąc zajęty preparowaniem ogólnem ucztę, którą po przedstawieniu widzowie i aktorowie razem spożyli.

Widocznie, żeby nie zakłócać harmonii powszechnej, tak pasza, jak i szejch derwiszów, nie mówiąc o Kurgunie, pozwolili sobie nieco pociągnąć szampa, tak niby to srogo przez „Dostojną Księżę” zakazanego. Nic też istotnie nie zamąciło radości wielkiego dnia dla Angory, w którym sztuka sceniczna „à la franka,” razem z „Kara-pampurem,” przyszła z pomocą dzieciom słońca, „surjawansom,” do pokonania fanatyków, lunatyków, „induwanów”...

Gdy z powodzi słów „Dostojnej Księżę,” jak również i innych nie mniej dostojnych ksiąg, albo dzikie podżegań hasła, lub kłaki retoryczne latały po świecie, i zawieruchy krwawej zażegnać tu nie mogły, to instynktowe odruchy rasy słonecznej nieznanie ją stłumiły na razie, aby niebawem zabić i rany społeczne. Atomy słońca intelektualnego wszechświata, jednostki „Surjawansy,” przedarłszy cienie chmury wewnętrznej burzy narodu, pokonały ciemność dusz ludzkich i oliwną gałąź pokoju nanowo wniosły. Rodzinie uniwersalnej, światłych i dobrych istot, do zbratania nic nie przeszkadza, bo dla niej nie litera, ale prawda miłosierdzia wszystkim. A swój dar łaski czynienia mądrego i przyjemnego czerpie ona ztąd, że pochodzi z kraju, o którym wieszcz rzekł:

Pewna rzeczpospolita jest zawsze i wszędzie,
Chociaż państwem na ziemi nie była i nie będzie...
(Mickiewicz: „Zdania i uwagi”).

K O N I E C .



395A